

Lubuskie Pismo Literacko-Kulturalne

ProLibris

ILUZJA

Nr 1-2(62-63) Zielona Góra 2018 ISSN 1642-5995 Nr indeksu 370754

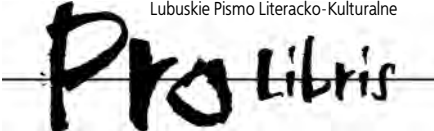


Eseje Wiersze Proza Szkice krytyczne Sztuka



Sfinansowano ze środków WiMBP im. C. Norwida w Zielonej Górze

Lubuskie Pismo Literacko-Kulturalne



Pro Libris

Lubuskie Pismo Literacko-Kulturalne Pro Libris nr 1-2 (62-63)/2018

Prace plastyczne wykorzystane w numerze
Franciszek Bunsch

© Copyright by Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna im. C. Norwida, Zielona Góra 2018

Redaktor naczelny
Andrzej Buck

Layout
Magdalena Gryska

Sekretarz redakcji
Ewa Mielczarek

Korekta
Joanna Wawryk

Stale współpracują:
Joanna Kapica-Curzytek, Małgorzata Mikołajczak, Robert Rudiak, Czesław Sobkowiak, Mirosława Szott,
Joanna Wawryk

Fotografie:
Archiwum WiMBP im. C. Norwida, Paweł Brol, Lidia Kurzawa, Aneta Michałowska, Mirosława Szott, Alicja Błazyńska

Wydawca
Pro Libris – Wydawnictwo Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki Publicznej im. Cypriana Norwida,
al. Wojska Polskiego 9, 65-077 Zielona Góra

Skład komputerowy, opracowanie graficzne
Firma Reklamowa GRAF MEDIA, tel. 68 451 72 78

Druk i oprawa
TOTEM

Nakład – 250 egz.

ISSN 1642-5995

Nr indeksu 370754

Adres redakcji:
WiMBP im. C. Norwida w Zielonej Górze, al. Wojska Polskiego 9, 65-077 Zielona Góra (z dopiskiem Pro Libris);
e-mail: prolibris@wimbp.zgora.pl; www.wimbp.zgora.pl; www.prolibris.net.pl

Od redakcji

Luty tradycyjnie przynosi rozstrzygnięcie ważnych przedsięwzięć literacko-kulturalnych organizowanych przez Bibliotekę Norwida w Zielonej Górze. W ostatni czwartek miesiąca – 22 lutego br. – poznamy laureatów dorocznych konkursów: Lubuskiego Wawrzynu Literackiego, Lubuskiego Wawrzynu Naukowego oraz Lubuskiego Wawrzynu Dziennikarskiego. W przedostatnim numerze zamieściliśmy obszerny materiał autorstwa Mirosława Szott i Roberta Rudiaka, w którym została szczegółowo przedstawiona historia tego najbardziej prestiżowego w województwie wydarzenia w świecie kultury i nauki. Recenzje bądź omówienia kilku książek pretendujących do Lubuskich Wawrzynów 2017 pomieszczone zostały w numerze, który trzymają Państwo w rękach. To niejedyne atrakcje, z którymi pragniemy Państwa zapoznać. Zachęcamy także do przeczytania fragmentu nowej powieści Mirosława Kuleby, znakomitego prozaika, regionalisty i ampelografa (notabene dwukrotnego laureata LWL), jak i kolejnego tekstu Zofii Mąkosi (tegorocznej pretendentki do LWL), soczystych opowiadań Adama B. Wierzbickiego, *Zapisków do zimy* Czesława Sobkowiaka (trzykrotnego laureata LWL). Akcentując tegoroczne Wawrzynowe święto, publikujemy teksty autorstwa sekretarzy poszczególnych kategorii charakteryzujące tegoroczne zgłoszenia do nagród.

Namawiamy do przesłania rozmowy z red. Anną Sobecką, tekstu Janusza Łastowieckiego, który przypomina sylwetkę zmarłego w ubiegłym roku poety Zygmunta Kowalczyka, a także artykułu Mirosława Szott pt. *Andrzejki i wilkanowski Ogród sztuk*.

Polecamy poezję Władysława Kłępki, Karola Graczyk, Adama B. Wierzbickiego, Haliny Jerulank, Jerzego Szewczyka oraz laureatów 3. Zielonogórskiego Slamu Poetyckiego. Na szczególną uwagę zasługuje również szkic Barbary Curzytek, która przybliży pojęcie języka *palenquero* oraz ślady dziedzictwa afrykańskiego w Kolumbii.

W numerze prezentujemy kilka tekstów poświęconych baśni i baśniowości. Publikujemy drugą część opracowania dotyczącego baśni lubuskiej Roberta Rudiaka oraz artykuły Joanny Wawryk i studentów UZ, którzy zajęli się różnymi odsłonami baśniowości we współczesnych tekstach kultury.

Pragniemy także zwrócić uwagę na szatę graficzną najnowszego numeru, wykorzystującą prace plastyczne znakomitego grafika Franciszka Bunscha, który również w lutym br. będzie gościł z wernisażem w Bibliotece Norwida.

Pro Libris od lat stara się wspierać twórczość młodych autorów, m.in. poprzez Konkurs „Debiut Poetycki Pro Libris”. Niestety, z uwagi na małe zainteresowanie i niewystarczający poziom nadesłanych zestawów wierszy, w tym roku nie udało się wyłonić laureata piątej edycji. Skłania to do przemyślenia formuły Konkursu. Niezmiennie zależy nam na pozyskiwaniu i promowaniu twórczości debutantów i młodych autorów, dlatego namawiamy do nadsyłania swoich prac. Być może warto rozważyć utworzenie w „Pro Libris” nowej rubryki zatytułowanej TWÓRCZOŚĆ MŁODYCH. Przedstawiamy Państwu ten projekt, licząc na reakcję środowiska literackiego i rozpowszechnienie tej informacji wśród młodych autorów.

Spis treści

Miroslaw Kuleba , Podróż anachroniczna do Baraniej Czuby	6
Adam Bolesław Wierzbicki , Wiersze [Immunitas, Powtórka z romantyzmu]	15
Zofia Mąkosa , Gdzie jest mój dom	17
Władysław Kłepka , Wiersze [Milczenie jest mową, Kłępsk: Biblia dla ubogich, Weduta, Radość dla oczu]	21
Marcin Radwański , Kolekcjoner (fragment powieści)	25
Karol Graczyk , Wiersze [Sakramenty, Świętość, Nadlatują ptaki, Rejs]	27
Renata Diaków , Pierwszego dnia zapłonął OGIEŃ	31
Halina Jerulank , Wiersz [*** Chwyć mnie...]	37
Czesław Sobkowiak , Zapiski do zimy	38
Adam Bolesław Wierzbicki , Ostatnia robota	42
Adam Bolesław Wierzbicki , Pierwsza wypłata	46
Jerzy Szewczyk , Wiersze [Na Dzień Narodzenia, Wigilijna noc książek]	49

ZBLIŻENIA

„Zrobił tu wszystko, co miał do zrobienia”. O gdańskim i zielonogórskim Andrzeju K. Waśkiewicz z Anną Sobecką rozmawia Mirosława Szott	51
Janusz Łastowiecki , Jest pan szlachcicem? Wspomnienie o Zygmuncie Kowalczyku	56
Monika Simonjetz , Czasopisma społeczne, kulturalne, artystyczne i literackie we współczesnej bibliotece	58
Robert Rudiak , Początki baśni lubuskiej (cz. 2)	63
Mirosława Szott , Andrzejki i wilkanowski Ogród sztuk	67
Eugeniusz Kurzawa , Mirosława Szott laureatką nagrody literackiej	71
Robert Rudiak , Zielonogórski Slam Poetycki po raz trzeci	73
Elżbieta Kościucha-Wieczorek , Wiersze [Wiedźma, *** drzewo...]	74
Witold Stankiewicz , Wiersze [Być poetą, Pokory uczyć kornika (fraszka)]	76
Alicja Leśniewska , Wiersze [Demiurg, *** A co gdybyśmy...]	78
Małgorzata Domagała , Zgłoszenia do 24. edycji konkursu Lubuski Wawrzyn Literacki	80
Paweł Kalisz , Książki zgłoszone na Lubuski Wawrzyn Naukowy 2017	83
Robert Rudiak , Piąta edycja Lubuskiego Wawrzynu Dziennikarskiego	85

EKSLIBRIS W PRO LIBRIS

Z teki Agaty Buchalik-Drzyzgi	86
-------------------------------------	----

PREZENTACJE

Franciszek Bunsch , Zwierzenia autora	89
--	----

KOLEKCJONER LUBUSKI

„Dawne pudełka od zapalek wyróżniają się niespotykaną oryginalnością...” Rozmowę z filumenistą, filatelistą, filokartystą, bibliofilem i... ogrodnikiem Mieczysławem Jerulankiem przeprowadziła Ewa Mielczarek	91
--	----

VARIA

Joanna Wawryk , Rozbite lustro. O współczesnym bycie baśni	95
Katarzyna Balon , Od cnotliwej księżniczki do wyzywającej piękności, czyli jak disnejowska wersja <i>Matej Syrenki</i> wpłynęła na zmianę losów i wizerunku bohaterki baśni Hansa Christiana Andersena	99

Mateusz Miłkaszewicz , Gra komputerowa <i>The Wolf Among Us</i> sposobem na powrót do świata baśni	102
Malwina Wajda , Współczesne Kopciuszki	106
Joanna Kapica-Curzytek , <i>Espirit</i> na schodach	111
Barbara Curzytek , Niezwykły język <i>palenquero</i> i ślady dziedzictwa afrykańskiego w Kolumbii	112
Uriel Cassiani Pérez , Wiersze [Nasze kości, Szpaler słoneczników]	114
RECENZJE I OMÓWIENIA	
Na zachodzie wiele zmian Zofia Mąkosa, <i>Wendyjska winnica. Cierpkie grona</i> ; Krzysztof Koziółek, <i>Góra Synaj</i> ; Marek Krajewski, <i>Mock. Ludzkie zoo</i> (Alina Polak-Woźniak)	116
Konwencjonalna awangarda Katos Jacek Katos, <i>Partes Corporis, Animae Fragmenta...</i> (Mirosława Szott)	117
Pisarka z Zielonej Góry Halina Grochowska, <i>Pokłon, Poklask</i> (Czesław Sobkowiak)	120
Wspomnienia, które przychodzą i odchodzą Eugeniusz Paukszt, <i>Spowiedź Lucjana Skobiela</i> (Joanna Kapica-Curzytek)	121
Niemcy o Polsce i Polakach <i>Moja Polska – moi Polacy</i> (Barbara Krzeszewska-Zmyślony)	124
Uroki azylu Agnieszka Ginko, <i>Kruche</i> (Czesław Sobkowiak)	124
Filozof z Wolsztyna Sławomir Jastrzębiec-Kozłowski, <i>Józef Maria Hoene Wroński</i> (Czesław Sobkowiak)	125
Palimpsest i Przestrzeń, czyli krajobraz lubuskiego pogranicza <i>Lubuski palimpsest</i> , red. Marta J. Bąkiewicz (Czesław Sobkowiak)	127
„Rzecz w tym, by minąć inaczej niż świat”. Traktat o życiu Czesława Sobkowiaka Czesław Sobkowiak, <i>Jedno miejsce</i> (Małgorzata Mikołajczak)	130
Waśkiewicz po lubusku i nie tylko... <i>Andrzej. Andrzej K. Waśkiewicz we wspomnieniach</i> , zebrała i oprac. Anna Sobecka (Robert Rudiak)	131
Księga Waśkiewicz <i>Andrzej. Andrzej K. Waśkiewicz we wspomnieniach</i> , zebrała i oprac. Anna Sobecka (Czesław Sobkowiak)	135
KSIĄŻKI NADEŚLANE	137
AUTORZY NUMERU	139

Podróż anachroniczna do Baraniej Czuby

Żyjemy w świecie przenikniętym Boskością, w świecie nadprzyrodzonym.

Jan Paweł II

Podróż jest zawsze wędrówką z rzeczywistości realnej do świata naszej wyobraźni. Albo na odwrót: cel podróży najpierw pojawia się w marzeniu, by potem ulec materializacji, której niezbędnym etapem jest droga bądź bezdroże, stacja kolejowa i kolejowa infrastruktura, asfaltowa szosa, rzeka, morski szlak, otchłań pełna gwiazd. Pokonując przestrzeń, nieodmiennie przemierzamy się też pomiędzy dwiema rzeczywistościami: materialną, doświadczaną namacalnie i powszednią oraz tą, której rzeczy istność nie jest z tego świata (Witkacy mówił o wistości rzeczy: „Nie szukaj już niczego / Bo wistość tych rzeczy / Jest nie z świata tego”). Jest zatem podróż – ta prawdziwa, wedle mapy naszych marzeń – wędrówką pomiędzy światami. Jest czynnością magiczną i niekiedy mistyczną. Jest też anachroniczna, jeżeli potrafimy poddać liniowy bieg czasu dezynwolturze naszej fantazji.

Pod koniec XIX wieku poczmistrz Siegfried Beck z Jeleniej Góry wydał własnym sumptem książeczkę o Pogórze Kaczawskim, przeznaczoną dla miłośników geografii, natury i turystyki. Ważnym jej komponentem jest podróż koleją żelazną, otwartą 16 sierpnia 1895 roku odcinkiem Kaczawskiej Linii Kolejowej ze Złotoryi do Świerawy. Odległość między punktami końcowymi, na trasie Liegnitz-Goldberg-Schönau, wynosiła 36 kilometrów i 711 metrów. Ponieważ po stu latach pilnej pracy linię kolejową około 2000 roku zamknięto dla ruchu pociągów, dzisiaj w tę podróż możemy wybrać się tylko w rzeczywistości alternatywnej. Jej realność zależy od siły naszej wyobraźni. Podążajmy zatem po zarośniętych trawą torach, mając za przewodnika poczmistrza Becka – pamiętając jednak, że cel naszej podróży jest wyjątkowy: to stacja końcowa Barania Czuba, która nigdy nie istniała.

Z Legnicy do Złotoryi 21,4 km. Po odjeździe z legnickiego dworca kolejowego ukazują się nam całkiem blisko po lewej budynek generalnej dyrekcji poczty z urzędem pocztowym, później zamek królewski z dwiema wieżami.

Ów zamek królewski to jedna z najstarszych warowni piastowskich, pierwszy murowany zamek na ziemiach polskich. Powstał na miejscu grodu obronnego plemienia Trzebowian, którzy w VIII wieku obwarowali sztuczną wyspę w rozlewiskach Czarnej Wody i Kaczawy. W sercu swoich nieprzebranych borów, na szczytach wygasłych wulkanów i pośrodku przepastnych bagien, składali podobno pogańskim bogom ofiary z ludzi. Thietmar zanotował o Słowianach, że niemy gniew bogów łagodzą u nich ofiary z ludzi i bydła. W języku miejscowego plemienia ta krwawa żertwa zwała się *trzeba*. *Trzeba*, *trza* – w znaczeniu potrzeba, mus, przymus, konieczność, bezwzględny wymóg mordowania ofiar dla zapewnienia pomyślności swego ludu, obecny w wielu społecznościach i niekiedy tak wynaturzony jak u Majów czy Azteków – którzy wyrwanie

żyjącemu człowiekowi serca uznali za dobry sposób jego przemiany w boskiego motyla bądź kolibra – zanim został przekreślony przez ofiarę Jezusa Chrystusa na krzyżu. Trzebowianie wchodzili w jakieś relacje międzyplemienne ze Ślężanami, siedzącymi wokół świętej góry Śląska, Ślęży, na której odbywały się, jak pisze Thietmar, *execranda gentilitas*.

A może imię własne Trzebowian wzięło się od sposobu traktowania jeńców, branych w nieustannych potyczkach z sąsiadami, bo w wielu językach słowiańskich trzebieenie to okaleczanie mężczyzn, dla ich pohańbienia; trzebić to czyścić, rzezać albo wałaszyć samca, stąd *wziąwszy brzytwę, utrzebili go i był rzezany*, stłudz bywali trzebieni czy uwałaszani, zaś konie waśniwe, gdy je utrzebić, spokojniejsze bywają.

W XIII wieku legnicki zamek stał się książęcą siedzibą Bolesława II Rogatki, cudaczego Piasta, dziedzica rozległej monarchii Henryków śląskich, który zakończył żywot jako pośledni książę legnicki i bankrut. Zapomniany dziś historyk Feliks Koneczny nie szczędzi mu słów potępienia:

Postęp germanizacji Śląska ułatwiała jeszcze niesłychana lekkomyślność wrocławskiego księcia, Bolesława Łysego zwanego Rogatką. Książę ten nie miał na oku żadnej polityki, żadnego wytkniętego celu, żył z dnia na dzień łupiąc i rozbijając swoich i sąsiadów, byle tylko nabrać pieniędzy, o które w ciągłych był kłopotach. Bogatsze mieszczaństwo składało mu okupy, poczem znowu dawał im wytchnąć, żeby mieli czas zagospodarować się na nowy okup; tymczasem zaś wyprawiał się na posiadłości swych braci i na Śląsk Górny. Wojen z braćmi prowadził bez liku, a nie chodziło mu nawet o powiększenie swego panowania, tylko o łupy i okupy wojenne. Nareszcie, gdy wszyscy dokoła zubożeni nie mogli już dostarczyć łupów i zapełnić choć na chwilę wiecznie pustą sakiewkę tego książątka, zastawił on ziemię lubuską margrabiom brandenburskim, a przez to już z trzeciej strony otworzono wrota germanizacji. Stopniowo, ale stale, przedzierała się niemczyzna na prawy brzeg Odry. Książę Rogatka wziął sobie za wzór zwyrodniałych niemieckich rycerzy, tak zwanych Raubritterów; panowie ci siedzieli na swych zameczkach na górach, nie mając z czego żyć, bo gardzili wszelką pracą, a zwłaszcza rolnictwem. Ale nie ubliżało ich honorowi zaczajac się po leśnych drogach na kupców i łupić ich! Żyli z prostego rabunku, jakoby zbójce leśni. Wstyd przyznać, że ten wybrzyk niemieckiej cywilizacji przypadł do smaku wrocławskiemu księciu, odpadłemu od pnia narodowego. I Rogatka ze swoją drużyną wybierał się nieraz na takie polowania.

Jeszcze gorszego zdania był Koneczny, wielki historyk Polski wykłuty przez komunistów, o piastowskich przodkach Bolesława Rogatki:

Henryk Brodaty, choć Piast z rodu, był zupełnie niemczony; do tego stopnia, że trudno go nawet uznawać za Polaka. Jego ojciec, Bolesław Wysoki, przebywał za młodu dużo na dworze „cesarza rzymskiego”, a króla niemieckiego, dawał nawet posiłki wojenne cesarzowi Fryderykowi na wojnę z włoskim miastem Medyolanem; już Bolesław Wysoki trącił niemczyzną, nauczysz się od swego ojca, Władysława II, wyglądać z Niemiec pomocy przeciw innym Piastom. Druga zaś żona Bolesława Wysokiego, a matka Henryka Brodatego, Adelajda Sulzbach była rodowitą Niemką; nie lubiała pasierba, owego biskupa Jarosława, a swego syna wychowała zupełnie po niemiecku. To wychowanie niemieckie miało się ciężko dać we znaki polskiemu ludowi na Śląsku.

W tym miejscu warto się zastanowić, jakim środkiem lokomocji odbywa się nasza podróż. Składający się z trzech wagonów osobowych skład ciągnie pruski parowóz towarowy typu G7, wyprodukowany w 1895 roku przez fabrykę Vulkan w Szczecinie. Wspaniała lokomotywa, niemal niezniszczalna – ostatni parowóz tego typu PKP wycofały ze służby w 1966 roku – napędzana jest dwucylindrowym silnikiem bliźniaczym na parę nasyconą i ma na przedzie kotła wysoki komin, przypominający ekstrawagancki męski cylinder. Masa służbowa parowozu wynosi 52,6 tony, jego długość to 16 613 milimetrów, moc 660 koni mechanicz-

nych, ciśnienie w kotle – 12 atmosfer. Lokomotywa może rozwinąć prędkość maksymalną 45 kilometrów na godzinę, po równinie ciągnie pociąg o masie 1400 ton z prędkością 40 kilometrów na godzinę, zaś na pochyłości 5 promili, występującej tu i ówdzie na trasie, skład o masie 600 ton z prędkością 30 kilometrów na godzinę. Trzecia oś wiązana parowozu, o stoczonych na 5 milimetrów obrzeżach, jest silnikowa, osie druga i czwarta mogą się przesuwać na boki o 10 milimetrów, co pozwala lepiej pokonywać łuki. Trzyosowy tender pruskiej serii 3T12 może zmieścić 12 metrów sześciennych wody i 7 ton węgla. Węgiel pochodzi z wałbrzyskiej kopalni węgla kamiennego Vereinigte Glückhlf-Friedenshoffnung, znanej po latach jako Victoria. Dzisiaj pozostały po niej tylko biedaszyby.

Skład tworzą trzy wagony osobowe, wyprodukowane przez fabrykę mostów i konstrukcji żelaznych Beuchelt & Co. w Grünbergu na Dolnym Śląsku. Zanim zielonogórska firma Beuchelta zaczęła budować wagony amunicyjne, naczepy wojskowe i ciągniki saperskie dla Wehrmachtu, a w końcu kadłuby U-Bootów dla admirała Raedera, zresztą zielonogórzanina, wybudowała 497 mostów kolejowych i drogowych, wśród nich najsłynniejszy Most Cesarski, dzisiaj Grunwaldzki, we Wrocławiu. Dziełem grünbergczyków-zielonogórzan są też mosty na liniach kolejowych Bolesławiec-Nowa Wieś, Jelenia Góra-Wleń i Podgórze-Kłodzko oraz przez Kaczawę na trasie Miłków-Legnica. A także ponad 25 tysięcy wagonów kolejowych, produkowanych od 1886 roku, jak te w naszym pociągu. Pierwszy z wagonów za lokomotywą jest drugiej klasy, środkowy ma przedziały klasy pierwszej i drugiej, ostatni jest wagonem klasy trzeciej. Podróżujemy wagonem pierwszej klasy, w luksusowym przedziale obitym jedwabną materią, z pluszowymi kanapami dla sześciu osób. O tym później, kto zajął miejsca w tym rozkosznym gniazdku.

Kolejka jest wytworem niemieckiej myśli technicznej i niemieckiego przemysłu, wspaniale rozwijającego się w końcu XIX wieku. Niemcy to naród, który buduje maszyny. Ich państwo działa jak dobrze skonstruowana i utrzymana w najwyższej sprawności maszyna. To efekt specyficznych zdolności i cech charakteru jego obywateli. Maszyny budują nowe maszyny, wszystko sprzęga się w jeden wielki industrialny organizm, bieg spraw staje się porządkiem procesu technologicznego. Ma to niekiedy, w pewnych epokach, nieprzewidziane konsekwencje: ludzie zostają zredukowani do funkcji trybików we wszechpaństwowym mechanizmie. Niemcy stają się wtedy niewolnikami swych maszyn, państwo-maszyna, działające według instrukcji będącej najwyższym prawem, zmusza ich do wytwarzania czołgów zamiast maszyn rolniczych, produkowania coraz większych ilości karabinów maszynowych, bombowców i gazów bojowych. Logika procesu dziejowego zredukowanego do instrukcji technologicznej, odczłowieczonego, popycha ich nieuchronnie do kolejnej wojny, ponieważ masa krytyczna karabinów i czołgów wyzwała taką właśnie reakcję. Niemcy zaczynają formować armie, budować żelbetowe panzerwerki, ryć transeje i okopy, Niemcy przystępują do burzenia miast i palenia wiosek swoich sąsiadów, budowania obozów koncentracyjnych, komór gazowych i krematoriów. To proces cykliczny, poddany prawom jakiejś osobliwej fatalistyki, kumulujący się w kolejnych falach agresji, nad którą Niemcy nie potrafią zapanować. W Wielką Sobotę palą olbrzymie ogniska, Osterfeier. To zamiłowanie do oczyszczającej mocy ognia trwa w nich niezmiennie. Pamiętają, że płomienie stosu Zygfryda spopielili Walhallę.

W oddaleniu od miasta przesuwa się Wzgórze Zwycięstwa, z którego roztacza się widok na pole Bitwy Kaczawskiej w 1813 roku. Dalej pociąg mija niewielkie stacyjki Polewice (Pahlowitz – 7,259 km od Legnicy), Wilczyce (Wildschütz – 11,183 km) i Kozów (Kosendau – 16,107 km), położone w żyznej dolinie Kaczawy. Dwa kilometry od Kozowa znajduje się Rokitnica (Röchlitz), bardzo stara wieś z kościołem liczącą 480 mieszkańców, założona na początku XI wieku.

Bitwa Kaczawska była największym starciem armii napoleońskiej z wojskami szóstej koalicji na terenie Śląska. 26 sierpnia 1813 roku, w padającym całą dobę ulewnym deszczu, zwały się ze sobą trzy korpusy

francuskie, liczące sto tysięcy żołnierzy, ze stutysięczną rosyjsko-pruską Armią Śląska dowodzoną przez feldmarszałka Blüchera. Deszcz zamoczył zamki karabinów skałkowych, czyniąc je niezdatnymi do strzału – walka odbywała się na bagnety, kolby, szable i tasaki. Zakłuto, zarąbano i załuczono na śmierć około dwudziestu tysięcy ludzi, których nikt do końca nie policzył. Po stronie francuskiej były to oddziały sformowane głównie z młodzieży najmłodszych roczników, bardzo słabo wyszkolone i o niskim morale, typowe wojsko „jednej bitwy”. Weterani pozamarzali wcześniej w rosyjskich śniegach podczas kampanii przeciwko „barbarzyńskiemu kolosowi Północy”, nazwanej przez Napoleona kurtuazyjnie Drugą Wojną Polską.

Wszystkie pola bitew wszystkich czasów to cmentarzyska młodych ludzi, wysłanych na śmierć przez tych, którym udało się w młodości uniknąć tego losu. Pragnęli zostać bohaterami, tymczasem leżą tutaj, w błocie, pod sierpniową ulewą, z trójkątną dziurą od bagnetu w sercu. Może to tylko jeden ze sposobów pozbywania się niebezpiecznych konkurentów do kobiet i pieniędzy, praktykowany od niepamiętnych czasów przez liniejących samców. Patrzyłem na masakrę Czechenii, wojny w Abchazji i Jugosławii, wszędzie pełni zapału młodzieńcy strzelali do swoich wrogów, zwykle takich samych młodzieńców tylko w mundurach obcej armii.

To jest pobojuwisko – napisał największy polski pisarz współczesny, mieszkaniec pobliskiej Szprotawy – orzełki są jeszcze zupełnie wyraźne, pozwożono ich wszystkich, młodzi ludzie, rzadko który z zabitych żołnierzy był starszym człowiekiem, poszarpani przez kule, pokrwawieni, pobladli, leżący nieruchomo na piasku w swoich zielonych mundurach, orzełki połyskiwały na guzikach, czapki kładziono na piersiach poległych, ksiądz odprowadził mszę, żywi kolejno znosili umarłych kolegów do wykopanego w białym piasku dołu, pośpiesznie zasypano dół, mewy podrywały się w powietrze, wystraszone przez karabinowe strzały, i oto ten okrutny świat ofiarował mi czyjeś oczy, czyjeś ramiona, czyjeś usta.

A jednak – przez cały ogromny przestwór dziejów ludzkich młodzi mężczyźni chwyтали za broń, by walczyć o różne sprawy, od sławy i bogactwa poczynając, na świętej miłości ojczyzny kończąc, zależnie od chwilowej koniunktury. Wojna upaja bowiem ciosami siekier, jak zauważył Ernst Jünger. Sam odczułem jakiś wyjątkowy powab sytuacji, kiedy się nosi broń pośród uzbrojonych mężczyzn, gotowych na śmierć. Kiedy jest się samemu gotowym na śmierć, absolutnie nie wierząc w taką kolej rzeczy. Chodzi o wzniosłość tej sytuacji, o swoją postawę wobec spraw ostatecznych. O dumę z tego, że się pokonało własny strach.

W czasie wojny tylko uzbrojony człowiek ma rację i prawa, ma szansę na przeżycie, cywile są poza wszelkim prawem, zdani na łaskę i niełaskę zbrojnych. Tu nic się nigdy nie zmienia, szaleńcy z Państwa Islamskiego mordujący dzieci niewiernych zawrócili cały postęp cywilizacyjny do czasów rekonkwisty, a nawet do epoki walk o wygodniejsze jaskinie. Taka sytuacja, kiedy broń daje ci pełnię praw i władzy nad bezbronnymi, nad kobietami, które są najcenniejszą wojenną zdobyczą, wymaga niezłomnej siły moralnej, żelaznego kręgosłupa, szlachetności, która pozwoli trzymać w ryzach ciemne żądze.

Nie było bardziej przeciwnego naturze sposobu prowadzenia wojny niż starcia piechoty w epoce wojen napoleońskich, szyki liniowe pały do siebie salwami z karabinów z odległości kilkunastu kroków, po obu stronach padały pierwsze szeregi jak skoszony łąn, strzelały do siebie kolejne szeregi, cóż za krwawy absurd, dla dowódców życie żołnierza było warte nie więcej niż ołowiana kula, naważka prochu i przybitka. Opowiadali mi czecheńscy bojownicy Dudajewa, że w czasie walk o Grozny zdarzało im się wpadać wprost na grupy żołnierzy rosyjskiej piechoty morskiej. Jedni i drudzy stawali wtedy jak wryci, oko w oko, celując do siebie z kałasznikowów, ale nikt nie naciskał na spust – trudno zabić człowieka, patrząc mu w oczy, jest coś, co nagle studzi gorączkę wojny, coś bardzo silnego, silniejszego niż bitewny szal. Ale być może to tylko wyobraźnia wzdragała się przed widokiem ludzkiego ciała szarpanego kulami. Rozchodzili się, każdy w swoją stronę, a kiedy tylko znajdowali ukrycie, natychmiast rozpoczynała się beładna strzelanina, jakby

koniecznie trzeba było rozładować w taki właśnie sposób śmiertelne napięcie. A tutaj – przed kościołem św. Bartłomieja w Rokitnicy strzelali do siebie, niemal opierając bagnety na karabinach o piersi przeciwnika, jest stary sztych, który to pokazuje. 28 sierpnia 1813 roku poległ w tej potyczce za pruskiego króla i ojczyznę młodzieńcy, szesnastoletni berlińczyk Gustav Humbert, który jako ochotnik walczył w szeregach 2. pułku lejbnuzarów pułkownika Stössela. Pochowano go pod romańską absydą kościoła w Rokitnicy, ufundowanego przez świętą Jadwigę. Mój ojciec miał szesnaście lat, kiedy jako ochotnik ruszył z oddziałem AK do Powstania Warszawskiego, lecz został zatrzymany przez Rosjan. Patrzyłem na Powstanie Warszawskie jego oczyma, a przecież gdyby dotarł wtedy do stolicy, mógł zginąć i ja nigdy bym się urodził, jak nie urodził się żaden z synów berlińczyka Humberta poległego w walce z kawalerią napoleońską, jak nie urodziła się żadna z jego córek, rudowłosych i zielonookich Niemek, całkiem jak ta, która została pierwszą moją kobietą, piętnastoletnia Renate z Baarleben, uczennica szkoły pielęgniarskiej w Magdeburgu. Ona też nie pojawiłaby się w moim życiu, gdyby jej ojciec, kilkunastoletni ochotnik Volkssturmu, miał mniej szczęścia i zamiast na amerykańskich żołnierzy trafił na Rosjan, nie patyczkujących się z hitlerowskimi gówniarzami dźwigającymi panzerfausty.

Mam ciągle przed oczami ten obraz z książki największego współczesnego polskiego pisarza, osaczonego schizofrenicznymi wizjami, widok warszawskich powstańców z ich dowódcą: generał Bór-Komorowski powoli obraca głowę w moją stronę, ci chłopcy i dziewczęta powoli obracają swoje głowy w moją stronę, i ten chłopiec szesnastoletni powoli obraca swoją głowę w moją stronę, a ja patrzę w oczy tego chłopca, jasne spojrzenie, sierpniowy dzień... W jego książkach było to jakoś tak:

Matka żyła z palcem na ustach, aby ich tylko nie rozstrzelano, w tym kraju zdarzały się bowiem wypadki bardziej osobliwe niż w jakimkolwiek innym zakątku świata, portrety różnych wodzów pojawiały się, okopy ciągle kopano, a na drodze z okopu do okopu szło się boso za bronią, przelatujący na swych koniach najeźdźcy, zależnie od tego skąd przybyli, myśleli – a to że przeklęta szlachta, a to że ostatnia enklawa nędzy i korupcji w kniei Europy: „Porządek panuje w Warszawie” – meldowano co jakiś czas, kreślono linię Ribbentropa, od losu Warszawy zależy los Europy, coś się stało w Warszawie, coś zdarzyło się w Warszawie, a on patrzył na to wszystko i wstrzymywał oddech, i widział – generał Bór-Komorowski powoli obraca głowę w jego stronę, ci chłopcy i dziewczęta powoli obracają swoje głowy w jego stronę, i ten chłopiec szesnastoletni powoli obraca swoją głowę w jego stronę, a on patrzył w oczy tego chłopca, jasne spojrzenie, sierpniowy dzień, wtedy pobiegł, sam miał szesnaście lat, widział dokładnie: ten mężczyzna w jasnym popielinowym płaszczu, w ciemnym kapeluszu, ci chłopcy stojący na parapetach okien, wśród płomieni, i te oczy przemieniające się w błoto, jak krucha porcelana gdzieś w pobliżu, jakiś pałac jak tabędzi serwis Bruehla, ten błysk, to lśnienie życia, czy ocalałem – pytał, czy na pewno ocalałem, gdyż chciał opowiedzieć nam zadziwiającą historię: oto starsza kobieta wśród tłumu na chodniku, koło kościoła świętego Krzyża, macha rękami, coś pokazuje, upada, nie-ruchomieje, mężczyzna za kierownicą samochodu nagle przestaje być hardym karkiem, dzieci spadają w przepaść, serie z karabinów maszynowych, strzały snajpera, czołgi, czołgi, w napierśnikach napoleońskich można było gotować rosół, a czołgi, roczna produkcja czołgów w takiej ilości, jaką Hitler dysponował w 1939 roku, to już był inny świat, więc pełzną czołgi po kocich łbach, przez potężne wyrwy w murze widać wnętrze kościoła, pod brukiem ulic leżą pokotem młodzi chłopcy i dziewczęta i wtedy z Krakowskiego Przedmieścia startuje samolot, straszliwie podziurawiony kulami, płonący, z figurą Chrystusa która legła na chodniku, strzaskana; wracały ciągle te oczy przemieniające się w błoto i ten mężczyzna o suchej twarzy powoli obracał głowę w jego stronę, to dlatego matka żyła z palcem na ustach, aż nie mogła pozbierać myśli z przerażenia, zaś ojciec martwił się, bez przerwy był zamyślony, a on nie wiedział, czy ojciec w końcu zrozumiał co sprawiało że wszystko szło na marne, prawdziwy obraz Ziemi Odzyskanych nie pasował po prostu do radia ani telewizji, ta samowola prowincjonalnych kacyków, bandytyzm, złodziejstwo, nikt nie miał dla nikogo litości,

mężczyźni pili wódkę i wypadali z pociągów, pochłaniało ich morze, pochłaniała ich każda skiba ziemi, dorosli bez przerwy opowiadali o jakiejś krwawej masakrze i ciągle gdzieś tęsknili, chcieli powracać, tylko dzieci nie znały wojny i potrafiły jeszcze jakoś żyć na tym pobojuwisku, nastały czasy, kiedy na ulicy zabierano złote obrączki, wchodzili do czyjegoś mieszkania i zabierali obrazy, meble, pianina, to przecież kraj, w którym od czasu do czasu różni zaborcy wyrzucają na bruk fortepian Chopina, jego ojciec wołał nie mieszkać w willi, wołał nie mieć wydań zagranicznych, dolarów, wywiadów, wołał pisać prawdę, więc nie opublikowano mu ani jednego słowa, a w tym czasie pisarze żerujący na dramacie młodzieży i prostych ludzi nie mieli żadnych zastrzeżeń ani nawet wątpliwości, gorliwie robili karierę, zostać pisarzem to było dla niektórych cwaniaków tak jakby przed wojną pochodzić z ziemiańskiej rodziny, dyplomata można zostać, do Paryża można, być sumieniem narodu, najlepiej jednak smakował Zachód, pisarz z ludu budził zdziwienie, niepokój, jak taki spoza grupki śmie – głośno dawali wyraz panowie czujący się właścicielami narodu, wybitny pisarz, wybitny reżyser teatralny czy filmowy, paszport jak nie litewski to francuski, lokalny Tomasz Mann w winiarni Fukiera, fascynująca inteligencja, chłodna precyzja prac naukowych o Conradzie, coś jak muśnięcie tego, co dzieje się naprawdę, a tu pisarz umierający w klatce, prawie całkowicie głuchy i ślepy, dlaczego pan nie upomniał się o Mandelsztama? nie został żaden ślad; po prostu wszystko polegało na tym, aby wykorzystując wszelkie wpływy znaleźć się w pobliżu, całymi rodzinami do życia pierwszej kategorii, do podręczników, do antologii dla zagranicy, mianowali ich jak na posadę radcy kulturalnego przy ambasadzie, nie każdy potrafił schronić się w najbiedniejszym kącie, by pisać parę słów prawdy, które nigdy nie zostaną opublikowane, dlatego też z powodu ojca usiłowała go zniszczyć w szkole, jakiś tęp, zażarty propagandzista, zdemoralizowana aktywistka, z ową siłą przekonania czerpaną z brutalności, bezczelności, wyćwiczenia w kłamstwie; katów w nikczemny sposób łączą podobne tajemnice, dziewczęta w piękny i niewytłumaczalny sposób łączą podobne tajemnice, kiedyś dwie może dwunastoletnie dziewczynki usiadły koło niego na ławce, pytały kilka razy która godzina, mówiły coś o całowaniu się, ich usta rozchylały się już z przedziwną kobiecą rozkoszą, otwierały się tak powoli, one uśmiechały się do niego, wreszcie, wyraźnie się ociągając, odeszły, a on zaczynał rozumieć, że dziewczyna jest wspaniałym światem, dumnym i niezależnym, chociaż niektóre dziewczyny trwonią swoje piękno bezwstydnie, bezużytecznie, miotają się w końcu wulgarnie, zaplątane we własną nieszczerłość, może w pewnej chwili braknie im jakiegoś onieśmienia, jakiejś wyniosłości, własnej prawdy, wiary w cokolwiek, bolał nad tym, że dziewczyny tę całą swoją fascynującą delikatność dobrowolnie, świadomie skazują na zagładę, traktując ją tylko jako środek prowadzący do celu, którym jest takie bezwolne poruszanie się między różnymi przedmiotami, co niektórzy nazywają dobrobytem, ale oto już ulicą idzie powód wszelkich wojen, powód wszelkiej brutalności, ta stara kobieta, strzępy jej sukni wloką się po chodniku; pewnego dnia pełzając wśród pokrwawionych łachmanów jak pod Sommą zaczął pisać opowiadania, miał trzynaście lat, ktoś biegł w stronę morza na wielkim pobojuwisku pod Kołobrzegiem, na maszynach do pisania ustawionych wprost na piasku pisano ostatnie rozkazy, stali tam sławni wodzowie, żołnierze przeżyli się przed nimi, a potem wygrzebywano ich szkielety z piasku, natomiast wodzowie krążyli gdzieś między swoimi willami a biurami w środku cywilizowanej Europy, bywali w Wenecji, w Paryżu, szable mieli przy boku, hełmy bojowe na głowach, z paskiem pod brodą, zaś cenne obrazy na ścianach willi, i żadnego szkieletu, żadnego szumu morza, nie mieli już nic do powiedzenia, wiadomo kto mógł wtedy swobodnie zabierać, przewozić antyki; ktoś, kto miał odpowiedni paperek, ten rzeczywiście zdobył najcenniejsze przedmioty, ciekawe w jakim kraju obecnie się znajdują, jeżeli zniknęły intarsjowane meble, obrazy, kafle z pieców, kominki, a zwłaszcza łabędzi serwis Bruehla, najpiękniejszy antyk świata, który na pewno ciągle istnieje i jest ozdobą schowków byłych dygnitarzy, na pewno nie uległ zniszczeniu w piwnicach zamku Sagan, chociaż amatorzy szabru brodzili wśród skorup porcelany, czasem dochodzą wieści o dzbankach, o talerzach z serwisu łabędziego, transakcje są utrzymywane w najgłębszej tajemnicy ze względu na zastrzeżenie prawne hrabiny Bruehl, wartość każdego „schwana” zmusza do milczenia, do ukrywania go przed ludzkim okiem, tajemnicze zniknięcie serwisu łabędziego Bruehla stanowi jedną

z największych zagadek w dziejach sztuki, a rozwiązanie tej tajemnicy, według niego, znajduje się w zamku Sagan na Dolnym Śląsku, tym samym gdzie w ruinach wiatr rozwiewał pożółkłe kartki rękopisów, być może jeszcze Stendhala i Liszta, którzy byli goszczeni w tym zamku, jeszcze tak wiele mógł się dowiedzieć o tych zamierzonych sprawach, ale nie miał ubrania, aby pojechać na egzaminy na studia, był prawie bez zębów przed ukończeniem dwudziestego roku życia, i ciągle w niejasny sposób przywiązany do nocy, często zauważał, że ludzie przestawali się krępować wobec niego, gdy tylko zorientowali się, że jest synem chłopca, zamiatacza ulic, stróża, co innego gdyby był synem jakiegoś dygnitarza, ziemianina, dyplomaty, pisarza wypatrującego, gdzie zrobić lepszą karierę, po prostu czyste światło jego oczu nie podobało się ludziom i ludzie koniecznie chcieli to jasne światło zabić, rozumiał, że jasne światło jego oczu stanowiło tę masę wypchaną do dołów z dziurą w tyle głowy, stanowiło zbiorowisko ofiar, zbiorowisko zwierzyny łownej na ogrodzonych murami, drutami kolczastymi, czołgami i karabinami terenach myśliwskich, i rozumiał, że w ostatecznym rozrachunku najważniejsza jest odwaga moralna, to, czy ma się odwagę żyć zgodnie ze swoimi poglądami, więc już do końca patrzył ze wzruszeniem na matkę, która chodziła w łachmanach jakby uciepiona kosza na kartofle, gdyż nie miała ochoty przechadzać się pięknie ubrana między drutami kolczastymi i chodziło jej o coś najważniejszego w życiu, spostrzegł również, że jego siostrami cały świat tak się zachwycał, a dzisiaj nikt nawet nie pomyśli, gdzie one są, co się z nimi stało, a jego siostrzyczki i braciszki umierali na zapalenie płuc, dzieci wszędzie wtedy umierały na zapalenie płuc, kiedy po latach wrócił do domu, na wydmach pod Kołobrzegiem zobaczył, że morze wgrzyzło się w cmentarzyk, na którym spoczywały jego siostrzyczki i braciszki, wyciągali do niego z głębi swoje rączki, ileż tam dziewcząt pięknych leżało, myślał sobie czasem, że chętnie ożeniłby się z jedną z nich, gdyby żyła, i chociaż dawno już nie ma tego miejsca, pochłoniętego przez morze, gdzie fale wsiąkały tuż przed progiem jego domu, podmywały próg, czasem ślepa zielonkawa ściana sunęła korytarzem, meduzy swobodnie kurczyły się i rozkurczały w pokojach, nago wbiegały do ogrodu i przytulały się do kropel deszczu – nigdy nie wyzwolił się spod wpływu tego miejsca, rozumiał w końcu, że kultura, sztuka, literatura, to wszystko jest śmiechu warte, akademie malarskie we Wrocławiu i jeszcze do niedawna spoczywające we Wrocławiu prochy filozofa wojny Clausewitza okazały się doskonałymi instrumentami do podboju świata, filozofia, kultura, strzały w tył głowy, ręce skrępowane drutem kolczastym, druty kolczaste, mury, naelektryzowane zapory, wreszcie czterometrowej wysokości mur betonowy Berlina, piętnaście tysięcy strażników, i w końcu z całego pięknego, kulturalnego, cywilizowanego świata zostały tylko nożki od cekaemów i puste taśmy po nabojach, ale coś się dziwić – miał ciągle w oczach notatnik Leonarda da Vinci czy Einsteina, nie zapamiętał nazwiska tego uczonego obywatela niewątpliwie zasłużonego dla militarystyki, notatnik pełen opisów konstrukcji skrzydeł, samolotów, czołgów, armat, bomb atomowych i neutronowych, rysunki były tak precyzyjne, że byle terrorysta, nawet analfabeta, mógłby skonstruować każdą z machin, którą wyobraził sobie mistrz, to taka ta wasza sztuka w przerwach między zabijaniem, draniem! – krzyczał; filmy, nagrody „Oscara”, jachty, wywiady z gwiazdami filmowymi, piękny wspaniały świat, a gdzieś tam ludzie mają zakneblowane usta, są wdeptywani w błoto, są wypychani do masowych grobów ze związanymi drutem kolczastym rękami, wszystko w porządku, świecie – powtarzał ze złowieszczym spokojem – nie przejmuj się tak ostrożnymi doniesieniami agencji prasowych, gdyby pewnego dnia wyróżniło jakiś naród, zostawiając tylko dyplomatów, prowincjonalnych kacyków i korespondentów agencji prasowych, świat nic by nie zauważył, człowiek stanął na Księżycu – przypominał nam o tym ze złowieszczą rezygnacją – lecz ciągle wracała myśl, że na terenie byłego obozu jenieckiego Stalag VIII C tylko fontanna pozostała, ciągle pamiętał o stosie lalek uwięzionych w obozie koncentracyjnym i o tym, że ludzie ciemni, nie potrafiący skoncentrować się duchowo, wymyślali obozy koncentracyjne, ponieważ duch ludzki był dla nich jakąś groźbą, miał przed oczami umieranie dzieci po wojnie, brak penicyliny, a gdyby mógł zawieźć umarłą wtedy dziewczynkę do Nowego Jorku, do Los Angeles, byłaby dzisiaj wspaniałą kobietą otuloną w futro, dumną i zazdrosną, przytuloną do swojego pana, może pływałaby jachtem Onassisa z arcydziełami malarstwa, ze złotymi kurkami

kranów – jak Maria Callas, Jacqueline Kennedy, pływałyby jachtem, z którego Nathalie Wood... jak mocno zapadła w jego wyobraźni Nathalie Wood, która pewnej nocy utonęła w Pacyfiku, ciągle wtedy padał deszcz i dookoła ocean, ocean, wystarczy, by lina wymknęła się nam z rąk, ciągle widział w oddali Bałtyk i pierwsze próby Wernhera von Brauna, widział człowieka w pasiaku w obozie koncentracyjnym i człowieka na Księżycu, chociaż poznał też smak zupełnie fantastycznych chwil, kiedy córeczki trzymając się za ręce, przemykały po pokojach, zanosząc się śmiechem czystym, głośnym, beztroskim, bezczelnym, prowokującym, były to rzadkie momenty, w których jego dom nappełniał się światłem, a drzewa owocowe przez wiele lat znaczyły kształt nieznanego ogrodu, nieznaney posiadłości, i w tym zakątku chroniło się lato, wśród zarośli nieprzebytych, w powietrzu drgającym, aż po ów dzień, kiedy na wyrzutni startowej załśnił jak diament amerykański prom kosmiczny Challenger przyczepiony do potężnego zbiornika na paliwo ciekłe, który miał wynieść w przestrzeń międzyplanetarną pierwszego zwykłego człowieka, trzydziestosiedmioletnią Christę McAuliffe, nauczycielkę z miejscowości Concord w stanie New Hampshire, dzień, kiedy miliony zwykłych ludzi, którzy umierali z głodu, zamazali na drogach, płynęli zatłoczonymi statkami do Ameryki, patrzyły z nadzieją na szczupłą, młodą kobietę, która wyszła spomiędzy nich, i na prom, największe osiągnięcie ludzkości, nikt jednak jeszcze nie wiedział, że losy najwspanialszej wyprawy kosmicznej spoczęły w rękach ludzi zaślepionych techniką i że przez nich największy triumf zmieni się w największą katastrofę, której przyczyną jest w istocie pogarda dla człowieka, ten dzień, kiedy Challenger wylądował na ustach młodej kobiety, twoich ustach, a Voyager II w sześćdziesiątym drugim dniu swojego lotu w głąb Galaktyki przekazał na Ziemię fotografie powstańców warszawskich.

Oto jego mitologia, najlepszego polskiego pisarza naszych czasów. Mówię twoimi słowami. Jak jeszcze mam tobie złożyć hołd?

W czasach Humberta to były jednak inne wojny, zabijano się z pewną dozą elegancji, niemal uprzejmości. Na tle malowniczej batalistyki, przystrojonej w kolorowe mundury, kapelusze z piórami, przybranej sztandarami ze złotym i srebrnym haftem, żołnierska śmierć wydawała się niejako nieistotnym deliktem. Nawet jeśli topniały w ogniu kartaczy całe czworoboki piechoty, tysiące ludzi w jednej bitwie. Przynajmniej dla wodzów tych armii były to szczegóły rozważane przy szampanie i świeżych ostrygach, dostarczanych wprost z łowisk Bretanii. Dowodzący 9. Korpusem Wielkiej Armii Pierwszego Cesarstwa Francuskiego marszałek Claude Victor-Perrin, książę Belluno, tuż przed bitwą kaczawską kwaterował na północnym krańcu Dolnego Śląska, w Zielonej Górze. Zamieszkał w domu wielkiego miejscowego winiarza i przemysłowca, Förstera. Wokół marszałka krzątał się jego dwór: dwóch kucharzy, dwóch masztalerzy, kamerdyner, trzech osobistych garderobianych, mistrz stołu, stajenny i czterech zwykłych służących. Również szeregowi generałowie francuscy walczyli w asyście zwykle dwóch kucharzy. Kiedy gospodarz kwatery poskarżył się marszałkowi, że jego żołnierze objadają w zielonogórskich sadach niedojrzałe jeszcze wiśnie, ten rozkazał wystawić warty, aby wiśniom umożliwić spokojne dojrzewanie. Jeden z pułkowników korpusu Victora pozostawił w pamiętniku gospodarzy, u których kwaterował, niezwykle wykwintne podziękowania: *J'aurais désiré partager plus longtemps le plaisir d'être chez vous (Que Dieu vous conserve). Votre souvenir sera toujours dans mon coeur. Grünberg ce 15 Juillet 1813. Percy Chaud, 46 régiment commandant.*

Nic dziwnego, że grünbergczycy zachowali miłsze wspomnienia o francuskich żołnierzach z wrogiej armii Napoleona niż o sojusznicznych oddziałach rosyjskich. Kozacy i Kałmuci z rosyjsko-pruskiej Armii Śląska „zdumiewali młodzież swoją nieokrzesaną dzikością i przerazili wszystkie służące podkradając tłuszcz do kaganków, który pożerali jako delikates, popijając spirytusem opałowym lub najbardziej ordynarnymi fuzlami”.

Ów litościwy marszałek, z pietyzmem strzegący zielonogórskich sadów, był to ten sam człowiek, który na swoje pięćdziesiąte pierwsze urodziny w dniu 7 grudnia 1815 roku sprawił sobie prezent: egzekucję starego towarzysza broni, innego napoleońskiego marszałka, Neya, księcia Moskwy. Tego samego Neya,

który jako ostatni francuski żołnierz Wielkiej Armii opuścił rosyjską ziemię, wycofując się na polski brzeg Niemna. „Jeden cesarz, dwóch królów, ośmiu marszałków i sześćset tysięcy żołnierzy – wszyscy zostali pobici – napisał o nim Macdonell. – Wszyscy oprócz tego syna bednarza z Saarlouis”. Wnet marszałek Victor, zasiadający w składzie sądu wojennego po restauracji Bourbonów, głosował za wyrokiem śmierci na Neya, który do końca pozostał przy Napoleonie.

Małostkową mściwość Victora można sobie tłumaczyć chyba tylko jego krwawymi kompleksami, których nie potrafiły przeważyć ani wojenne powodzenie, ani łaskawość fortuny, ani nawet niesłychane zaszczyty, tak pożądane przez parweniusza. Oto książkowy przykład tego, że nic nie jest w stanie uszlachetnić człowieka z natury lichego, dla którego wszelka wzniosłość jest niedosiężna.

[...]

Dalej pociąg mija niewielkie stacyjki Polewice (Pahlowitz – 7,259 km od Legnicy), Wilczyce (Wildschütz – 11,183 km) i Kozów (Kosendau – 16,107 km), położone w żyznej dolinie Kaczawy. Dwa kilometry od Kozowa znajduje się Rokitnica (Röchlitz).

Na wzgórzu położonym za cmentarzem kościelnym w Rokitnicy znajduje się ruina zamku wzniesionego przez księcia Henryka Brodatego w 1210 roku. Zamek został częściowo zburzony w 1428 roku przez husytów, a w 1451 całkowicie rozgrabiony przez mieszkańców Wrocławia i Świdnicy.

Na tym zamku w Rokitnicy, jednej z najstarszych murowanych budowli w Polsce, spędzał miodowy miesiąc Henryk I Brodaty z młodszą żoną Jadwigą, późniejszą świętą. Jadwigę, którą protestancki kronikarz Śląska Cureus nazwał „osobliwym klejnotem i wielką ozdobą śląskiej ziemi”, pochodziła z rodu bawarskich hrabiów i książąt Rzeszy Diessen-Andechs o oszałamiających koligacjach w całej Europie, z którego wywodziło się 41 biskupów, prałatów, opatów i księży, liczni fundatorzy kościołów i klasztorów, jej ciotkami były święte Mechtylda i Edeltruda, a wujem ojca święty Otto, biskup Bambergu, przyjaciel Bolesława Krzywoustego, apostoł słowiańskiego Pomorza. Brat babki Jadwigi, Filip I von Heinsberg, został arcybiskupem kolońskim i kancerzem Fryderyka Barbarossy. Jadwiga urodziła się w rodowym grodzie Andechs nad jeziorem Ammersee między rokiem 1178 a 1180 jako córka Bertolda VI, hrabiego Andechs, księcia Meranii, Kroacji i Dalmacji, oraz jego drugiej żony Agnieszki miśnieńskiej, córki margrabiego Marchii Łużyckiej Dedo V z Rochlic, wywodzącego swój ród od cesarza Karola Wielkiego. Na ślub z Henrykiem, synem piastowskiego księcia Bolesława Wysokiego i Niemki Adelajdy, hrabianki Sulzbach, udała się około 1190 roku wprost z klasztornej szkoły w Kitzingen, w wieku dwunastu lat. Informują o tym najstarsze rękopisy opisujące jej żywot: „Sunder die heilige furstin sancte hedbig do si bas czbelf ior alt. do bart si vortreut dem durchlaustin furstin henrich der do bas eyn furste in der slesie vnd in polenlant”. W rok po ślubie, mając trzynaście lat i trzynaście tygodni, urodziła swoje pierwsze z siedmiorga dzieci, Bolesława, który zmarł jako dwunastolatek. Sześciorko z tej siódemki pogrzebała sama, umierały w dziecięcym wieku.

Jadwigę nad zwłokami męża, którego nie odwiedziła na łożu śmierci, stosując się do papieskiej klątwy, Jadwigę nad zwłokami syna Henryka Pobożnego, któremu Tatarzy obcięli głowę: *velle quod vult Deus*, chce tego, czego chce Bóg.

(Fragment nowej książki Mirosława Kuleby *Prasiodolity z Sokołowca. Barania Czuba w Sokołowskich Wzgórzach na Pogórzu Kaczawskim. Monografia mineralogiczna*).

Immunitas

Uodporniłem się na ból, jaki zadają prawe sierpowe
Andrzeja Gołoty czy pałka psa uderzająca z precyzją
po piętach i nerkach na policyjnym dołku o czwartej
nad ranem, gdy całe miasto śpi i nikt nie słyszy krzyku
katowanej ofiary, wzywającej na pomoc wszystkich

Świąt. Uodporniłem się na skrajne temperatury, od
styczniowych mrozów, jakie nawiedzają północną Syberię
po czterdziestostopniowy żar, lejący się z nieba w lipcowe
południe, towarzyszący żniwiarzom podczas niepewnej
pogody, zwiastujący nadchodzącą burzę czy ulewę.

Uodporniłem się na głód, jaki towarzyszył więźniom
Oświęcimia poganianym kolbami esesmanów, idącym
w katorżniczym i ekstremalnym marszu żywych, którego
zwycięzcami byli ci, którym udało się nie ukończyć go

śmiercią. Uodporniłem się na zmęczenie, niczym czarnoskóry
Amerykanin niesłusznie podejrzany o mord na trzech białych
kobietach. Ścigany po plantacjach Georgii w latach trzydziestych
ubiegłego wieku, przez dziesiątki policjantów i setki ubranych
w białe kaptury członków Ku Klux Klanu. Uodporniłem się

na pragnienie, jakie nęka wycieńczonych podróżnych, błądzących
od tygodnia bez map i kompasu, po rozgrzanych piaskach
pustyni Gobi, z nadzieją wypatrujących w oddali zieleni drzew.

Uodporniłem się na brak snu, jaki znosi matka urodzonego
tuż przed menopauzą jedynaka, czuwająca nocami przy jego
łóżku w obawie przed powikłaniami, jakie może przynieść
niedoleczona grypa, angina czy chociażby przeziębienie.

Tylko jak do tej pory, mimo ogromnych wysiłków, starań
oraz nauk pobieranych u najlepszych mentorów, nie udało
mi się uodpornić na miłość. Jednak czuję, że ten czas kiedyś
wreszcie nadejdzie.

Powtórka z romantyzmu

Przestańmy do siebie mówić imionami
literackich bohaterów, zwłaszcza tych
romantycznych idealistów i straceńców.

Oni zazwyczaj umierali w samotności
z poczuciem klęski goryczy i niespełnienia.
Powtórki są zazwyczaj nudne, jak pisał

klasyk literatury dla młodzieży, albo to
już było, można jeszcze usłyszeć z ust
wyeksploatowanej gwiazdy polskiej sceny.

Nadszedł czas, by nie oglądać się już za siebie,
choć doznane krzywdy bolą, nawet bardzo bolą,
a blizny pozostaną do końca życia. Już czas
o nich zapomnieć i śmiało popatrzeć w przyszłość,
wziąć siłę z dobra i miłości, by postarać się wspólnie
stworzyć namiastkę raj. Jednak tylko razem, gdyż

samotność nawet w raju jest nie do zniesienia.

Gdzie jest mój dom

– Po co mam tam jechać? Nie mówię po niemiecku. Będę z wami chodzić, sztucznie się uśmiechać i udawać, że coś rozumiem – tłumaczyłam. – Jutro idę do pracy. Będziemy musieli całą podróż odbyć w ciągu jednego dnia. Jeśli pojedziesz sam, przenocujesz w hotelu i spokojnie wrócisz – chwyciłam się ostatniej deski ratunku.

– Proszę cię, pojedź ze mną, z tobą będzie mi rażniej. Wiesz, że nie wypadało odmówić. Nie znam tych ludzi ani miejsca, a chcę mieć jakąś bratnią duszę przy sobie. – Tadeusz nie dawał za wygraną.

– No dobrze – zgodziłam się niechętnie. – Ale robię to tylko dla ciebie.

Wyjechaliśmy wczesnym rankiem. Dzień był pochmurny, a od czasu do czasu padał przelotny deszcz. Mimo że był to koniec maja i większość roślin miała w pełni ukształtowane liście, to wciąż dawało się zauważyć niszczycielskie dzieło silnych styczniowych mrozów, które spadły na ziemię pozbawioną śniegu. Na parking, gdzie zatrzymaliśmy się na kawę, duży skwer obsadzony ozdobnymi krzewami irgi miał brunatną barwę. Suche gałązki zaczynała przerastać trawa. Martwe były też azalie i rododendrony znajdujące się w pobliżu wejścia do baru.

Jadąc, rozmawialiśmy o czekającym nas spotkaniu. Mąż miał być tłumaczem dla małżeństwa, które po raz pierwszy przyjeżdżało odwiedzić miejsce urodzenia starszej pani. Poprosił go o to wspólny znajomy. Aby dojechać do Gościszowa – wsi leżącej na Dolnym Śląsku, musieliśmy pokonać blisko trzysta kilometrów.

– Dlaczego nie wynajęli sobie tłumacza? Przez ich skąpstwo tłuczemy się taki kawał drogi – gderalam.

– Nie wiesz, czy są skąpi. Może potrzebują kogoś życzliwego.

– Po co w ogóle przyjeżdżają? Pamiętasz tabuny niemieckich emerytów w ubiegłym roku na Mazurach? Mają nadzieję odzyskać ten swój *Heimat*?

– Może po prostu tęsknią do dzieciństwa albo odwiedzają groby swoich przodków. Nie widzę w tym żadnego zagrożenia. To starzy ludzie, a młodzi żyją teraźniejszością. Nie przypuszczam, żeby ktoś przy zdrowych zmysłach chciał dzisiaj zmiany granic.

– No nie wiem. Ja tam wolę patrzeć im na ręce. Byłabym spokojniejsza, gdyby siedzieli w swoim niemieckim raju, a na wczasy jeździli do Egiptu.

Przed południem byliśmy na miejscu. Pogoda się poprawiła. Zza chmur wyjrzało słońce i zrobiło się znacznie cieplej. Zaparkowaliśmy na małym placu przed kościołem. Postanowiliśmy go obejrzeć, bo do spotkania zostało jeszcze trochę czasu. Weszliśmy przez metalową furtkę w kamiennym murze. Kościół zbudowany z bloków kamiennych był stary i piękny. Mógł mieć z osiemset lat! Obeszliśmy go dookoła i stwierdziliśmy z zalem, że drzwi są zamknięte. Budowlę otaczał zadbane trawnik, a gdzieś tam stały fragmenty płyt nagrobnych z niemieckimi napisami oparte o mur. Dalej, za okazałym grobowcem, znajdował się współczesny cmentarz.

Wróciliśmy na parking. „Nasi” Niemcy trochę się spóźniali. Wreszcie zobaczyliśmy nadjeżdżającego volkswagena. To byli oni. Powoli wysiedli z samochodu. Mogli mieć ponad siedemdziesiąt lat. Kobieta

ubrana była w luźne spodnie, bawełnianą bluzkę i pikowaną kamizelkę. Mężczyzna w koszulę z krótkim rękawem włożoną w spodnie. Ponieważ miał wyraźny brzuszec, pasek podtrzymujący spodnie przesunął się zbyt wysoko, przez co jego sylwetka wyglądała trochę śmiesznie. Było też coś dziwnego w jego twarzy. Z początku nie wiedziałam, o co chodzi. Dopiero potem, kiedy przyjrzałam mu się dokładnie, zauważyłam, że ma szklane oko.

Przywitaliśmy się. Mówili coś do mnie, a ja, nic nie rozumiejąc, przykleiłam do twarzy sztuczny uśmiech. Greta wyjęła z bagażnika tekturową teczkę, a Fritz wyciągnął aparat fotograficzny. Ruszyliśmy zwiedzać wieś. Główna droga prowadziła nieco w dół, jednak my nie poszliśmy dziurawym asfaltem, spod którego wyglądał stary bruk. Greta poprowadziła nas przez mostek przerzucony nad potokiem, a potem drogą równoległą do głównej trasy, ale położoną wyżej. Dzięki temu mieliśmy większą część miejscowości u naszych stóp.

Wieś leżała w wąskiej i długiej dolinie, na dnie której wartko płynęła niewielka rzeczka. Widok, który roztaczał się przed nami, był pomieszanym pięknem i brzydotą. Nie musiałam patrzeć oczami Grety, by dostrzec urodę starych zabudowań. Wyraźnie zwracały na siebie uwagę duże piętrowe budynki o spadzistych dachach i oknach zakończonych łagodnym łukiem, rozrzucone między gierkowskimi klockami.

– Większość – tłumaczyła Niemka – należała kiedyś do przypałacowego gospodarstwa.

Wszystkie były w złym stanie. Widać, że nikt nie dbał o kilkunastowieczne budowle. Niektóre miały uszkodzone dachy, a we wnętrzach rosły bujne krzewy. Przeszliśmy już spory odcinek drogi, kiedy przed naszymi oczami odsonił się niezwykle obraz. Za rzeczką i szeregiem domów, po drugiej stronie głównej trasy, wznosiły się majestatyczne ruiny renesansowego pałacu. Greta przystanęła i patrzyła z niedowierzaniem na ściany z otworami po oknach, przez które było widać niebo i płataninę drzew i krzewów. Jak różny musiał być to widok od tego zapamiętanego z dzieciństwa! Po chwili ruszyliśmy dalej. Greta opowiadała Fritzowi i mojemu mężowi o tym, co gdzie było przed wojną.

– Tam stała szkoła. – Wskazała w kierunku nieestetycznego betonowego pawilonu handlowego z lat siedemdziesiątych. – Tu był spichrz, a tam młyn i mleczarnia. Tu, koło skrzyżowania, duża gospoda. A blisko niej kościół ewangelicki. – Pokazała na wysokie kamienne mury pozostałe po wypaleniu wnętrza.

Za każdym razem udowadniała prawdziwość swych słów, wyciągając ku nam rękę z plikiem przedwojennych fotografii.

Szliśmy dalej. Wieś ciągnęła się na przestrzeni kilku kilometrów wzdłuż bystrej rzeczki. Woda w niej była tak czysta, że widać było piaszczyste dno i małe rybki. Na brzegach przysiadali ptaki, próbując napić się wody. Kaczka znalazła łagodne zejście i prowadziła swe pisklęta ku wartkiemu nurtowi.

Miejscowość mogła mieć niezwykle czar. Wszystko pasowało do siebie – magiczne ruiny pałacu, zagrożone zawaleniem stare budynki, bujna zieleń i urokliwa rzeczka. Jednak całe piękno psuł wszechobecny brud i nieporządek. W wodzie i na jej brzegach leżały plastikowe butelki, obite emaliowane garnki, połamane zabawki i metalowe pozostałości po trudnych do zidentyfikowania narzędziach. Wstydziłam się tego bardziej niż umierania zabytków. Wiem, że nie wszystko z przeszłości można ocalić, jednak ten brak dbałości o czystość otoczenia przynosił wielką ujmę moim rodakom.

Po ponadgodzinnej wędrówce dotarliśmy do celu – miejsca, w którym Greta spędziła dzieciństwo. Domu już nie było. W lutym 1945 roku czołg radziecki wypadł z zakrętu na wąskiej drodze i w niego uderzył. Budynek został rozebrany. Niemka wiedziała o tym, jednak chciała tu przyjść. Na dawnej posesji jej rodziców, tuż przy piaszczystym trakcie stał niewielki murowany dom. Ktoś pomalował go na jaskrawy różowy kolor, co niestety nie dodało mu urody. Podeszliśmy do furtki w betonowym płocie. Pies leżący dotąd przy budzie zerwał się i naprężając łańcuch, zaczął gwałtownie szczekać. Zza domu wyszedł mężczyzna. Miał około pięćdziesiąt lat. Tadeusz, usiłując przekrzyczeć jazgoczącego psa, wyjaśnił, kim jesteśmy i zapytał, czy moglibyśmy wejść na podwórze. Mężczyzna uciszył hałaśliwe zwierzę i otworzył furtkę. Po chwili dołączyła do niego kobieta o ciemnej karnacji i cygańskiej urodzie. Oboje byli bardzo życzliwi. Po-

wiedzieli, że Greta może oglądać, co tylko zechce. W sadzie, między młodymi jabłonkami, chodziły kaczki i kilkutygodniowe kurczaki. Było tego mnóstwo. Przed kurnikiem leżała sterta nawozu, w której grzebało kilka kogutków. Kiedy Greta poprowadziła resztę towarzystwa w głąb podwórza, zapytałam gospodynię, skąd tu przybyła.

– Ja jestem stąd, ale moi rodzice przyjechali z Jugosławii. Tak samo jak wszyscy we wsi.

– Jak to z Jugosławii? Przecież jesteście Polakami!

– To prawda. Kiedyś nasi dziadowie żyli w biedzie i dali się namówić Austriakom na przesiedlenie do Jugosławii. Założyli tam wsie, z ugorów i lasów zrobili pola, posadzili sady i winnice. Jak wybuchła wojna, zaczęli nas, Polaków prześladować. Chorwaci za to, że jesteśmy wrogami Niemców, a Serbowie za katolicką wiarę. Niejedno gospodarstwo poszło z dymem. Po wojnie, choć żał było zostawić dorobek życia swojego i swoich dziadów, Polacy z Jugosławii osiedlili się tutaj, w Bolesławcu i w kilku okolicznych wsiach. Ale powiem pani, że nikt tu szczęścia nie znalazł.

– Dlaczego? Przyszliście na gotowe. Były umeblowane domy, ziemia, wszystko!

– Jakie wszystko? Rodzice mówili, że jak przyjechali, większość dobytku zabrali Ruscy albo szabrownicy. Ziemię przejął PGR. W Jugosławii byli gospodarzami. Tutaj mogli albo pracować w PGR-ze, albo dojeżdżać do pracy w Bolesławcu. Zawsze tęsknili za tamtymi stronami. Nigdy się nie przyzwyczaili.

– Przecież to takie piękne miejsce.

– Ale nie swoje własne. Ja się tu urodziłam, a chyba przez tę tęsknotę rodziców nie czuję się u siebie. No i przez tych Niemców. Ciągłe przyjeżdżają i mówią: „To było nasze”.

Zatrzymaliśmy się obok sklejonej byle jak stodoły. Fritz wciąż robił zdjęcia, a nieopodal, na kawałku muru, który okazał się resztką cembrowiny starej studni, siedziała Greta. Tadeusz wyjaśnił mi po cichu, że to miejsce to prawdopodobnie jedyny ślad po niemieckim gospodarstwie. Greta jedną ręką kurczowo trzymała się cembrowiny, a jej wzrok prześlizgiwał się po beładnie porozrzucanych sprzętach, korytkach dla drobiu, stercie połamanego eternitu i zardzewiałej zgrabiарce do siana.

– Ich weiß nicht, wo mein Haus ist* – wyszeptala bezradnie.

– Czy pan wie, gdzie był stary dom? – zapytał Tadeusz.

– Tak! Niech pan jej powie, że tu zaraz. Tam, gdzie traktor.

Rzeczywiście. Zniszczony, zepsuty traktor stał na lekkim podwyższeniu z ziemi i z gruzu. Do metalowego elementu maszyny przyczepiony był łańcuch, a pod traktorem leżał drugi w tym obejściu pies. Greta przez chwilę patrzyła tam z niedowierzaniem. Potem podniosła się bez słowa i ruszyła w stronę furtki.

Na parking wróciliśmy główną drogą. Jeszcze na chwilę zatrzymaliśmy się w ruinach pałacu, ale okazaliśmy się tam nieproszonymi gośćmi, bo w cieniu starych renesansowych murów siedziała grupa mężczyzn rozlewająca tanie wino do plastikowych kubeczków. Zanim wsiedliśmy do samochodów, wymieniliśmy się adresami. Niemcy obiecali przysłać nam zdjęcia ze wspólnej wycieczki, a potem odjechali.

W drodze powrotnej miałam przed oczami obraz Grety siedzącej na murku i rozglądającej się po podwórzu. Nie wiem, kiedy przeniosłam się myślami w inne miejsce. Ubiegłego lata razem z kuzynostwem pojechalismy na Litwę – w rodzinne strony naszych wspólnych przodków. Zatrzymaliśmy się w Podbrodziu u Pawła, jeszcze innego krewnego. Następnego dnia zawiózł nas tam, gdzie stał kiedyś dwór moich dziadków. Po kilku kilometrach skręciliśmy z asfaltowej szosy w piaszczystą drogę. Wśród pól znajdowało się spore podwyższenie terenu, porośnięte starymi drzewami, krzewami i trawą.

– To tu – powiedział Paweł.

Wysiedliśmy z samochodu i rozejrzeliśmy się wokół. Był środek ciepłego sierpniowego dnia. W wysokich trawach brzęczały owady, a gdzieś tam w chaszczach widać było stare pokrzywione jabłunki – jedyne

* Nie wiem, gdzie jest mój dom.

ślady ludzkiego bytowania. Poza nimi nie dostrześliśmy niczego, nawet zarysów fundamentów. Przyglądałam się uważnie drzewom rosnącym na obrzeżach wzniesienia. Podobno dziadek sadził drzewo na przywitanie kolejnego dziecka. Powinno być ich jedenaście. Moja mama dostała lipę. Która z dwóch była dla niej?

– Paweł, dlaczego tu nie ma żadnego śladu po domu?

– Kiedy wywieźli ich na Syberię, wszystko stało puste. Kto chciał, przychodził i brał, co mu wpadło w ręce. Ludzie mówili, że na polach wkoło wiatr rozwiewał listy, dokumenty, zdjęcia. Widać nikomu nie były potrzebne. Po trzech latach z sowchozu przyjechały traktory, ludzie przyczepili liny do belek i przewrócili stary modrzewiowy dwór, stodołę i obory. Wszystko potem gdzieś wywieźli. Może i kamienie z fundamentów wybrali, żeby żaden ślad po nich nie został.

Myślałam o tym, kiedy wracaliśmy ze spotkania z Gretą i jej mężem. Moi dziadkowie i ich dzieci przeżyli Syberię. W latach pięćdziesiątych przyjechali do Polski, by zacząć wszystko od nowa. Kilkanaście lat temu mama pojechała odwiedzić miejsce swego urodzenia. Czy tak jak Greta siedziała, rozglądając się bezradnie wokół i szukała śladu rodzinnego domu?

Już za późno, by ją o to zapytać.

Marzec 2013 r.

Milczenie jest mową

Milczenie boga pozwala mi mówić

Roberto Juarroz, przeł. Krystyna Rodowska

Z zamkniętymi oczami
widzę
słowo zawieszone
w powietrzu
określa ciebie

Tam dalej
kołyszący lot kruków
unoszą pętlę
ponad drzewami

Milczenie jest mową
nadzwyczaj wymowną
i zacieśnia węzeł

Kłępsk: Biblia dla ubogich

W drewnianym kościółku
namalowaną
Biblię Pauperum
odczytuje słońce

My patrzymy
czy za Ewą
idzie Adam
gdzie Kain
gdzie Abel
i skąd tu tyle
Aniołów
aż głowę
szum skrzydeł
rozrywa

Weduta

W zielonej przejrzystości
mieszają się style
domów sprzed wieku
Budzę się w słowach
ciszy poruszonej
oddechem zielonym
Pejzaż tego miasta
wrasta we mnie
codziennie

Radość dla oczu

Realny świat w kolorach
z dominantą zieleni
w Zielonej Górze
Chociażby to podwórko
złocisto-zielonkawe
liście milinu
i purpurowe
dzikie wino
A wiatr w igraszkach
goni za sikorką
modraszką

Kolekcjoner

(fragment powieści)

Tej nocy budził się wielokrotnie. Dręczyły go sny o byłej żonie i nienarodzonym dziecku. Rzucił się na łóżku i otwierał oczy, spoglądając przy tym na elektroniczny budzik stojący na nocnym stoliku. Zmęczony tym wszystkim wstał już po czwartej rano.

Podreptał do łazienki i zapalił papierosa. Palił tam, odkąd na dworze zrobiło się zimno i nie chciało mu się wychodzić na balkon.

Później nastawił wodę na kawę i wziął się za robienie jajecznic. Termometr zawieszony za kuchennym oknem wskazywał minus dwa stopnie Celsjusza. Nie jest źle, jak na grudzień – pomyślał, przedstawiając okienko na ściennym kalendarzu. Był dwudziesty czwarty grudnia. Wigilia Bożego Narodzenia.

Miał sporo czasu, aby przygotować się do wyjścia. Nie spieszył się więc. Wziął prysznic i starannie ogolił się. Wybrał elegancką koszulę i dobrał do tego spodnie.

Kolejną godzinę spędził przy komputerze, sprawdzając najnowsze wiadomości i słuchając przy tym lokalnego radia. Spiker ogłosił brak śniegu w mieście aż do początku stycznia. Przez chwilę zastanawiał się, czy jest to dla niego dobra, czy zła informacja. Mam to gdzieś – wyszeptał w końcu cicho do siebie. Od kilku lat nie obchodził żadnych świąt, a celebrował tylko i wyłącznie swoje zwycięstwa w konkursach szachowych.

Odkąd wziął się za sportową rywalizację na poważnie, jego ranking wzrósł dwukrotnie. Udało mu się wystąpić na kilkunastu turniejach lokalnych i kilku krajowych. Nie był wybitnym graczem, ale posiadał spore umiejętności, które wciąż doskonalił.

Ćwiczył codziennie, niezależnie od wszystkiego, co robił w ciągu dnia. Gdy wybijała dwudziesta pierwsza, zasiadał do komputera i wykonywał wcześniej przygotowane zadania bądź zmagał się w wirtualnym pojedynku. Czasami dochodził do wniosku, że to jedyne zajęcie, które motywuje go jeszcze do życia.

Minęła szósta rano. Niespiesznie wyłączył komputer i przeszedł do przedpokoju. Zapakował do torby drugie śniadanie. Dziesięć minut później był już na przystanku autobusowym. Palił papierosa i przyglądał się oczekującym pasażerom.

Większość z nich emanowała radością i podnieceniem. W powietrzu unosił się melancholijny i świąteczny nastrój, który nie do końca mu się udzielał. Był na to obojętny, ale nie zaciętrzewiony. Miał dystans do ludzi i siebie. Życie nauczyło go już wiele.

Przepuścił przy wejściu staruszki i zajął miejsce tuż za drzwiami, gdzie znajdował się grzejnik. Zacierał ręce z zimna i naciągnął czapkę. Uśmiechnął się w przestrzeń, nie patrząc na nikogo.

W firmie pojawił się kwadrans przed czasem, co było u niego normą. Przywitał z szatniarzem, zarejestrował wejście kartą chipową i wskoczył do windy.

Od tygodnia w jego dziale panował chaos związany z brakami personalnymi. Kilka kobiet rozpoczęło właśnie urlopy macierzyńskie, a do tego posypały się zwolnienia chorobowe. Wyglądało na to, że rozpoczęte projekty nie będą zakończone w terminie, co wpływało negatywnie na panującą atmosferę.

Przygotował sobie kolejną kawę i usiadł przy biurku. Pomimo wszystko dopisywał mu humor i po raz kolejny stwierdził w duchu, że lubi swoją pracę.

Programowaniem zajmował się od czasów młodości i nigdy nie sprawiało mu to większej trudności. Od zawsze wykazywał talent do cyfr i rozwiązywania problemów matematycznych. Już w szkole osiągał na tym polu sukcesy, będąc laureatem kilku krajowych olimpiad. Cały jego świat to liczby, które układał w tylko sobie znane wzory.

Kwadrans później w biurze pojawiła się jego współpracowniczka. Była to drobna kobieta w średnim wieku, wiecznie uśmiechnięta i emanująca serdecznością. Pracowali ze sobą już kilka lat i tak naprawdę kochał się w niej od pierwszego spotkania.

Na pewno zdawała sobie z tego sprawę, a może sama też coś do niego czuła. Była jednak szczęśliwą, spełnioną żoną i matką dwójki dzieci. Ich wzajemne uczucia były więc tylko platoniczne i niepozabawione dystansu, który między sobą ciągle utrzymywali.

Około południa wyszedł na zaplecze i wybrał w telefonie numer swojego starszego brata. Długo nikt się nie zgłaszał.

– Co tam? – usłyszał, gdy już miał zakończyć próbę połączenia.

Głos jak zwykle był podniesiony i nerwowy. Zacerpnął powietrza i odezwał się spokojnie.

– Chciałbym potwierdzić, że będę dzisiaj u was na kolacji.

Mężczyzna po drugiej stronie słuchawki krzyknął na kogoś.

– Dobrze, zaczynamy około osiemnastej. Muszę uciekać – powiedział po chwili, kończąc szybko rozmowę.

Odetchnął głęboko, wpatrując się pustym wzrokiem w ekran. Nie był do końca przekonany, czy pomysł spędzenia kolacji wigilijnej w towarzystwie brata i jego żony był rozsądny. Od śmierci rodziców była to jednak jego najbliższa rodzina.

Mógł spędzić ten wieczór jak zwykle w pojedynkę, co wcale nie wydawało mu się przygnębiające. Przyzwyczał się już do samotności i nie czuł się źle w swoim towarzystwie. Przekonał się, że większość ludzi go irytuje i czasami ciężiej mu było przebywać wśród ludzi niż u siebie w mieszkaniu.

Teraz było już za późno. Był umówiony i nie mógł zmienić decyzji. Pocieszał się, że nie będzie źle i da radę wytrzymać te kilka godzin. Zresztą nie miał w zwyczaju zmieniać decyzji w ostatnim momencie.

Po piętnastej zaczął szykować się do wyjścia.

Gdy wyszedł przed budynek, zaczęło mocno padać. Kłął pod nosem, ponieważ akurat dzisiaj zapomniał wziąć ze sobą parasola. Wsiadł do powrotnego autobusu całkowicie przemoczony, co zepsuło mu humor.

Na miejsce dojechał po pół godzinie. Wbiegł do klatki w strugach deszczu, zakrywając głowę teczką, co niewiele pomagało. Wszedł na drugie piętro i skierował się na prawo. Wyciągnął klucze. Nagle coś zwróciło jego uwagę. Zrozumiał, że w pośpiechu przeoczył ważny szczegół.

Zrobił dwa kroki w tył i stanął na środku korytarza. Drzwi naprzeciwko, gdzie mieszkała jego sąsiadka, były uchylone. To nie było normalne.

Podszedł powoli, nasłuchując, czy nie dobiega zza nich jakiś odgłos. Panowała jednak zupełna cisza. Zbliżył się jeszcze bardziej i delikatnie pchnął drzwi.

Przedpokój tonął w półmroku i wyglądało na to, że nikogo nie ma w mieszkaniu. Wydało się to mu niepokojące. Zrobił krok do przodu i wszedł do środka. Sprawdził najpierw kuchnię, następnie duży pokój i sypialnię. W końcu odwrócił się i wszedł do łazienki.

Leżała w wannie z zamkniętymi oczami. Na pierwszy rzut oka wyglądała, jakby spała.

Upadł na kolana. Złapał mocno za głowę i ramiona. Krzyczał, żeby się obudziła i otworzyła oczy. Potrząsał jej wiotkie, blade i nagie ciało, które było już martwe.

Po chwili zwolnił ucisk, a jej zwłoki zanurzyły się z powrotem w wodzie. Wydawało mu się, że śni jeden ze swoich największych koszmarów.

Sakramenty

Trzeba było poświęcić sporo czasu i zdrowia
(pieniądze nie grają roli), żeby odciąć się od korzeni,
od schematu. Młodzieńczy bunt kazał się go wystrzec
za wszelką cenę. Za cenę prób, błędów i kłótni.

Nowoczesność pędzi zbyt szybko, żeby nie oderwać się
od momentu startu, więc trzeba spróbować wyprzedzić i ją.

Z czasem zadyszka bierze górę, wtedy przestajemy myśleć,
zaczynamy robić. Wszystko się miesza, jak pranie w bębnie

starej pralki. Życie zdaje się być okrągłe, bo kiedy odeszliśmy
już pod sam biegun, żeby się odsunąć i zrobić po swojemu,
żeby nie powielić schematu rodziców, stajemy w tym samym miejscu.
Teraz myślimy tylko o tym, żeby wejść w ich role.

Świętość

Kiedy w końcu zasiadam w fotelu ze szklanką whisky,
mniej żeby ją pić, bardziej – celebrować po przydługim,
udanym dniu w pracy – słyszę głośnie pukanie do drzwi.

Pukają, bo podobno ktoś dał im prawo, żeby zapukali.
Ale moim prawem jest nie wpuścić ich do domu
i kiedy o tym myślę – oni już są w środku, pakują rzeczy

zdjęte z moich półek w czarne walizki i pożółkłe teczki
i każą wychodzić, bo na mocy prawa, które sobie przyznali,
mogą mi rozkazać, czego tylko pragną, lecz wiem doskonale,

że nie tak działa prawo. Będziemy się bić. Będziemy się mordować.

Nadlatują ptaki

Od kilku dni znowu nic się nie dzieje. Zapominam o tobie,
ty o mnie, pewnie za kilka dni znowu sobie przypomnimy.
Na chwilę. Będzie wtedy lepiej niż wczoraj i gorzej niż kiedyś.

Często się zastanawiam, czy właśnie w tym domu chciałbym,
żebyś była i czy ty zawsze chcesz wejść w te same drzwi,
na których doskonale znasz każdą niezmywalną plamę.

Powtórzę: tych plam nie da się już zetrzeć. A przecież
nawet drzwi czasem zmieniamy w naszych domach.
Może one są ważniejsze od ludzi, może to tylko substytut

zmiany. Kiedy już trzymam w ręku klucz, by przekroczyć próg,
nastaje dzień. Ten lepszy niż wczoraj. Zapominam o kiedyś
i wiem, że jeśli żadne inne kiedyś nie mogło być lepsze,

to i żadne dzisiaj lepsze być nie może. Minęła zima, nadlatują ptaki.

Rejs

Małe drewniane łodzie płyną do Europy,
kiedy idziemy na wódkę w sobotnie wieczory.
Te są wreszcie ciepłe, długie i upojne.

Małe drewniane łodzie płyną do Europy,
spotkani Ukraińcy kojarzą Matejkę,
ale nazwiska Wałęsa nigdy nie słyszeli.

Małe drewniane łodzie płyną do Europy,
kiedy siadamy na leżakach po średnim koncercie
z lekkim piwem w dłoni (kładziemy je na ziemię).

Małe drewniane łodzie płyną do Europy,
kiedy ktoś urywa kłamkę w toalecie.
Obsługa lokalu nie umie jej przykręcić.

Popłynęlibyśmy gdzieś latem, na czyste akweny,
kiedy małe drewniane łodzie popłyną do Europy,
tymczasem budzi się dzień, a my z nim, na kacu.

Ci pobożniejsi, odświętni – szturmują kościoły,
kto nie świętuje z nami, ten jest terrorystą.
Małe przepełnione łodzie topią się po drodze.

Pierwszego dnia zapłonął OGIEŃ

Otrzymałam dar życia w miesiącu, gdy świat stanął w ogniu. Wszystko, co dotąd zdawało się być stałe, ulegało destabilizacji. Było to przerażające, ale konieczne, by mógł wypełnić się mój los. Już wtedy, w tej pulsującej czerwieni chwili, wszystko zostało zapisane na siedmiu kartach mojej Księgi Życia. Zapłonął Ogień, który ożywia i porusza, który ogrzewa i oczyszcza, który podsyca pragnienia, a potem bezlitośnie je trawi. Choć wtedy nie byłam jeszcze tego świadoma, ale gdzieś głęboko wzrastało we mnie tego przecucie. Póki co byłam wielkim dziełem, ale tylko na początku, bo człowiek tworzy wielkie dzieła tylko na początku. W każdej dziedzinie życia pełną wartość ma tylko pierwszy krok. Ten krok jest pewny, nie ma w nim wahania, nie ma wątpliwości. Kolejne są już napiętnowane niezdecydowaniem i chęcią ciągłego poprawiania, które czasem powoduje, że zaczynamy dreptać w miejscu. A wszystko przez to, że zapominamy, jak to było, gdy stawialiśmy pierwszy krok. Umyka nam uczucie pewności, które zawsze wypływa z tego samego źródła. Jest ono czyste i daje ogromną siłę. Powoduje, że niczego się nie lękamy. Dlaczego więc wciąż z niego nie pijemy? To proste – do źródła trzeba iść pod prąd.

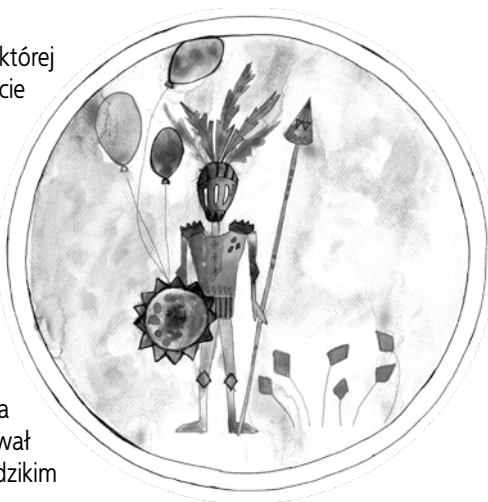
Nie wiem, czy moi rodzice byli szczęśliwi w dniu moich narodzin. Nic z tamtego dnia nie pamiętam. Może to lepiej. Mam jednak pewność, że byli szczęśliwi, gdy udali się do źródła, by zaczerpnąć z niego wody życia. Wiem, że wtedy czuli w sobie potężną moc, siłę, którą podzielili się ze mną. Jestem im za to bardzo wdzięczna, co oznacza, że mam zamiar zrobić dobry użytek z otrzymanych darów. Będę je pomnażać i dzielić się nimi.

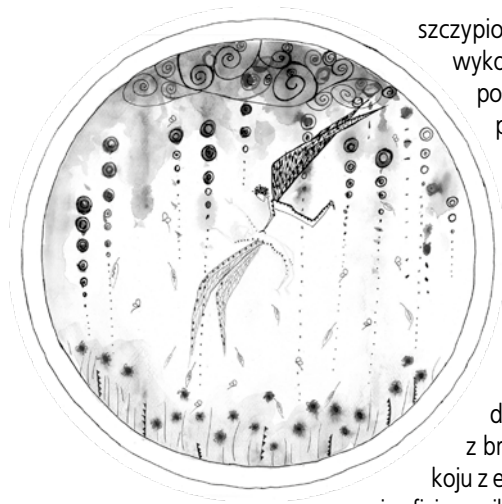
Pierwszego dnia było mi ciepło. Pierwszego dnia nie czułam lęku. Pierwszego dnia czułam się szczęśliwa. Pierwszego dnia nie domagałam się czułości. Pierwszego dnia sami mi ją dali. Potem musiałam płakać, krzyczeć, wołać lub milczeć, a ogień wciąż przygasał.

W starym domu, w kuchni przy oknie stała wersalka, na której spałam. Przez trzy dni w miesiącu mama stawiała na parapecie szklankę wypełnioną wodą. – To dla księżycy – mawiała.

Nie wiem, czy księżyc wypijał tę wodę w nocy, czy ją ją wypijałam, ale rano szklanka zawsze była do połowy pusta (lub pełna tylko do połowy – jak kto woli). Lubiłam spać w kuchni, bo w kuchni było ciepło. Przed zaśnięciem wpatrywałam się w tańczące na ścianach i na suficie ogniki, wyskakujące przez szpary między żeliwnymi, kuchennymi płytami rozgrzаныmi do czerwoności przez tańczący pod nimi ogień.

Któregoś dnia tato rozłożył tę kuchnię na pojedyncze kafle, bo była już zbyt stara. Znów było mi zimno, choć to była pełnia lata. Tato chyba to wiedział, bo na podwórku zbudował prowizoryczną kuchnię, na której smażył dla mnie jajecznicę z dzikim





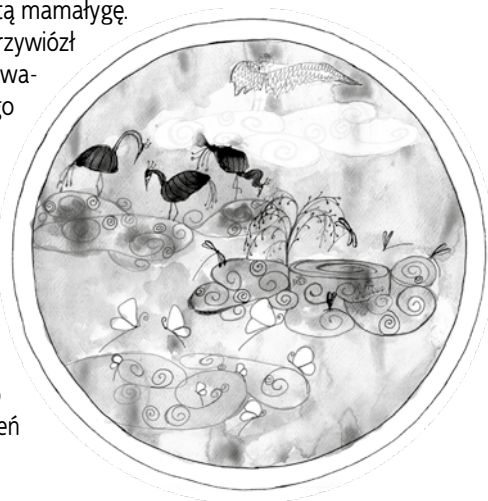
szczypiorem, który przynosiłam z lasu okalającego nasz dom. Tato wykopał był dół, po jego bokach ustawił po dwie cegły, a na nich położył żeliwną płytę. Takie palenisko wystarczyło, bym znów poczuła ciepło i kojące szepty płomieni. Wciąż spałam na kanapie stojącej przy kuchennym oknie, ale mój sen nie był kuchenny. Pewnej nocy obudził mnie smród przypalonych jajek. Mama postawiła na elektrycznej kuchence garnek z czterema jajkami. – Będą na śniadanie, bo rano nie zdążę ugotować – powiedziała i zniknęła w pokoju.

Gdy się obudziła, jajek już nie było. Na czerwonym palniku elektrycznej kucharki skwierczał rozgrzany do czerwoności garnek. Tylko to było widać w czarnym, śmierdzącym dymie. Po tygodniu na miejscu starej kuchni stała nowa, z brązowych kafli, ale moja kanapa została przeniesiona do pokoju z elektrycznym grzejnikiem. Nie było już tańczących na ścianach i suficie ogników, nie było szemranych rozmów sosnowych polan i zapachu schnącej na zapiecku łuczyny. Mój sen przestał być kuchenny. Odtąd stał się on mroczny, z wyłaniającymi się spomiędzy gałęzi fikusów strachami bez oczu, bez twarzy, bez ciepła.

Babcia rozpaliała kuchnię codziennie. Zawsze najpierw zapalała kawałek starej gazety i tą płonąca, papierową pochodnię podpalała łuczynę położoną pod stosem drewna ułożonego na palenisku. Każdego ranka, wykonując tę czynność, mamrotała coś pod nosem. Długo myślałam, że starsi ludzie tak mają, że mamrotanie do siebie przychodzi z wiekiem, ale byłam w błędzie. Babcia, rozpalając ogień, wypowiadała zaklęcie: – Płoń święty ogniu, płoń i ogrzewaj mój dom.

U babci ciągle było ciepło. Na kuchennej płycie w srebrnym czajniku zawsze lekko bulgotała woda, by w każdej chwili można było zaparzyć aromatyczną herbatę. W piekarniku na blasze suszyły się dyniowe pestki, którymi napychałam sobie kieszenie, zanim pobiegłam lepić bałwana, grać w hokeja drewnianymi patykami na zamrożonym zbiorniku przeciwpożarowym albo szusować na sankach lub jeździć w kuligu. W żeliwnym rondlu z wolna pyркаły różne przysmaki. Rarytasem były gołąbki z kaszą gryczaną. Parujące, z lekko podpieczoną kapuścianą skórką, ociekające tłuszczem. Do dziś czuję ten smak i aromat, choć wraz z odejściem babci odeszła też kaflowa kuchnia, a jej miejsce przy kominie zastąpiła bezduszna blaszana kuchenka działająca na prąd.

U dziadka też było ciepło. Za dnia gotował na płycie żółtą mamaligę. Uwielbiałam tę potrawę, której sposób przyrządzania dziadek przywiózł ze sobą z zielonej krainy położonej nad Seretem. Długo wpatrywałam się w gorący, parujący, złoty krąg, zanim pozwoliłam, by go pokroić i pochłonać. Wieczorami dziadek piekł dla mnie jabłka. Otwierał kuchenne palenisko i nad żarzącymi się węglami obracał pogrzbacz, na który nabity był owoc. Uwielbiałam te chwile pachnące żywicą i jabłkami. Potem siedziałam na dziadkowym tapczanie, parzyłam sobie palce, obierając gorące jabłko ze skórki i słuchałam dziadkowych opowieści o wojnie. W końcu wsuwałam się pod puszystą pierzynę i wsłuchując się w szemranie ognia, obserwowałam fosforujące punkty połyskujące na ramionach krzyża zawieszzonego nad drzwiami. Było mi ciepło. Wtedy jeszcze było mi ciepło. Ogień



płonął. Skupiał wokół ludzi, których kochałam i którzy mnie kochali. Jednoczył ludzi, których słuchałam i którzy mnie słuchali. Wtedy nie było miejsca na samotność, bo ogień buduje więzi, nawet wówczas gdy trawi wszystko, nieopatrzenie wymknąwszy się spod kontroli.

Błogostawieni ubodzy duchem, albowiem do nich należy królestwo niebieskie¹

Wszyscy zawsze mi powtarzali, że bym była dobrym człowiekiem, sprawiedliwym, przyzwoitym, mądrym, ale im bardziej pielęgnowałam któryś z przymiotów człowieka uduchowionego, niemal natychmiast go traciłam. Przez to tracenie rozrastała się we mnie pustka, która w myśl praw natury musiała zostać czymś zasiedlona, by zachować równowagę.

Pierwsze pojawiły się zdolności. Byłam zdolna do wszystkiego, ale byłam do niczego. Chciałam robić tysiące rzeczy, ale nie wierzyłam w ich powodzenie. Wzrastając w cieniu bogiń, które wszystko wiedziały lepiej i wciąż mnie poprawiały, nie mogłam pozwolić sobie na bycie frywolną i wygrzewanie się na zapiecku. Dlatego też coraz częściej zostawiałam tam swoje marzenia. Sama zaś robiłam dla innych różne rzeczy, by się im przypodobać. Dawałam, bo chciałam, by i mi dawano. Ponieważ to dawanie było interesowne, nie otrzymywałam wiele w zamian, co powodowało moje poczucie osamotnienia.

Potem nastąpił upadek moralności. Myślałam, że mojej, gdy oberwałam różgą za pisanie na naklejkach na zeszyty „kocham cię”, ale nie pamiętam do kogo. Za to krwiste pręgi na nogach pamiętam do dziś. Pamiętam także, że bardzo chciałam być kochana, ale nikt mi tego nie powiedział. Słowa „kocham cię” były zakazane, były napiętnowane moim bólem, były naznaczone czerwonymi pręgami.

Następna strata dotyczyła przyzwoitości, gdy pewien chłopiec z mojej klasy wymieniał się ze mną znaczkami, przynosił dla mnie rumiane jabłka, odprowadzał do brzozonej góry, gdy po lekcjach wracałam pieszo do domu, podarował mi pierścionek z mieniącym się tysiącami barw oczkiem, a potem wyprowadził się, nie wiem dokąd. Wtedy z pierścionka wypadło tęczęwe oczko i złote serce, w którym wcześniej tkwiło, zionęło pustką.

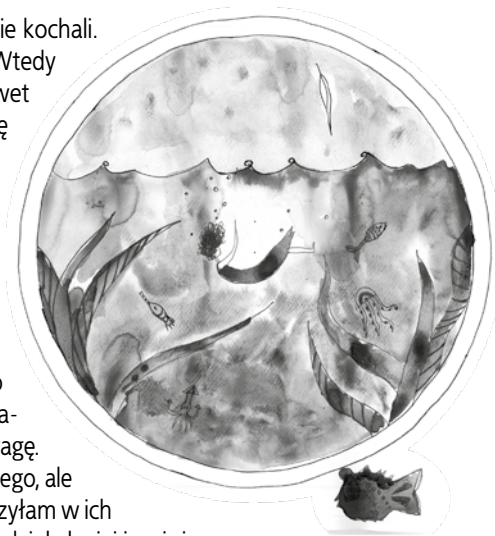
Kolejna była sprawiedliwość, na którą przyszedł koniec, gdy na świecie pojawiła się moja młodsza siostra, zabierając tę resztkę ciepła, która mi pozostała. Nie miałam do niej o to żalu, ale napawało mnie to smutkiem. Chciałam jej powiedzieć, że ją kocham, ale wciąż pamiętałam piekący ból tych słów, więc próbowałam jej to okazywać na swój niezdarly, dziecięcy sposób. Nie wiem, czy rozumiała. Mam nadzieję, że czuła.

Potem rozsypały się ideały, gdy nie pozwolono mi zagrać Kopciuszka w szkolnym przedstawieniu. Kopciuszkiem została wnuczka dyrektorki szkoły, a ja miałam spełniać jej marzenia o pójściu na bal, na którym miała tańczyć z księciem, o którym ja marzyłam.

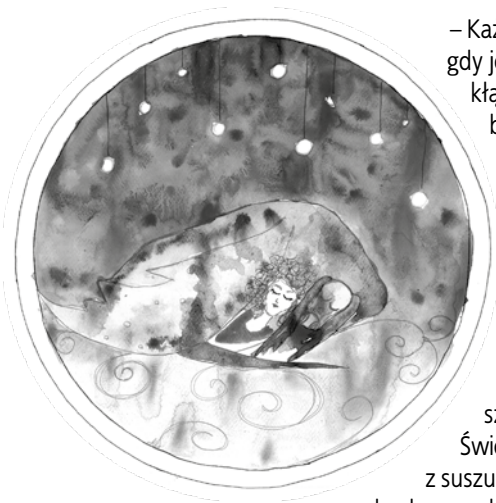
W obliczu tylu klęsk i strat postawiłam na intelekt. Wtedy jeszcze nie wiedziałam, że w zetknięciu z wiarą ma on drugorzędne znaczenie.

Opowieści Jaguchy

Jagucha nie była moją prawdziwą babcią, ale mogłaby nią być. Była wystarczająco stara i mądra. Ludzie we wsi z niej sztydzi, wytykali palcami, gdy szła boso z podwiniętym lnianym fartuchem, w którym nosiła zioła. Zbierała je o różnych porach dnia i różnych porach roku.



¹ Wg Biblii Tysiąclecia.



– Każda roślina ma swój czas – mawiała. – Trzeba ją zerwać wtedy, gdy jej lecznicze moce w pełni zasiedlają kwiaty, liście, owoce lub kłaczka. Najlepiej kilka dni przed pełnią, gdy przybywa księżycy, bo wtedy w roślinach przybywa mocy.

Potem je wiązała w pęki i suszyła na słońcu albo w cień. Jej kuchnia pachniała rozmaitymi ziołami. Pod okapem nad kuchennym piecem, w stojach, w każdym kącie domu, w dzbanach, wszędzie były zioła. Babka wąskolistna, która według chińskiego cesarza Shen Nung jest „księciem” wśród ziół, na szybsze gojenie się ran. Kwiaty czarnego bzu na gorączkę i kaszel. Wprawdzie Jagucha nie odprawiała pod krzewem rosnącym na jej podwórku guseł, ale zawsze suszyła kwiaty i robiła sok z czarnych jagód tej magicznej rośliny. Świeże gałązki piołunu na pozbycie się z domu mrówek, a napar z suszu na niezbyt żołądka. Dziewanna, której kwiaty zaglądały przez kuchenne okna, miała strzec domu Jaguchy przed czarownicami, czyli jak uważali pozostali mieszkańcy wsi, przed nią samą. Jagucha nie była czarownicą.

Ona była wiedźmą, czyli tą, która wie, która czyni dobro. Jasnotę białą, której wyskubywałam kwiatki i wysysałam z ich dna słodki nektar, Jagucha polecała na uregulowanie trawienia. Lubczyk, który dodany do potrawy ukochanego sprawiał, że miłość zostawała odwzajemniona, zajmował w ogrodzie szczególne miejsce. Wiele kobiet ze wsi korzystało z darów natury, z których Jagucha umiała wydobyć magiczną moc, ale żadna nie przyznawała się do tego. Dawniej ludzie bacznie obserwowali naturę, szanowali ją i się od niej uczyli. Dziś ludzie biegną do apteki i kupują pigułki na wszystko: na katar, na ból brzucha, na lepszą pamięć, na gładszą cerę, na... Tymczasem Jagucha spacerowała wśród łąk i lasów, zbierając skarby natury i miała w swoim magicznym domu pachnącą aptekę. Ja uwielbiałam przesiadywać w Jaguchowej kuchni, grzać się przy zapiecku i słuchać jej opowieści.

Dawno, dawno temu, kiedy ludzi na Ziemi było niewiele, kiedy ludzie nie umieli mówić, ale potrafili się modlić, wznosili oczy ku niebiosom i niemo błagali, by Bóg nauczył ich rozpałać ogień, bo cierpieli z zimna. Wtedy Bóg usłyszawszy ich prośby rzekł:

– Najpierw znajdźcie i wskażcie mi miejsce dogodne do rozpalenia ognia.

Ludzie znaleźli jaskinię nad brzegiem morza i wskazali to miejsce jako dogodne do rozpalenia ognia. Wtedy po raz wtóry rzekł do nich Bóg:

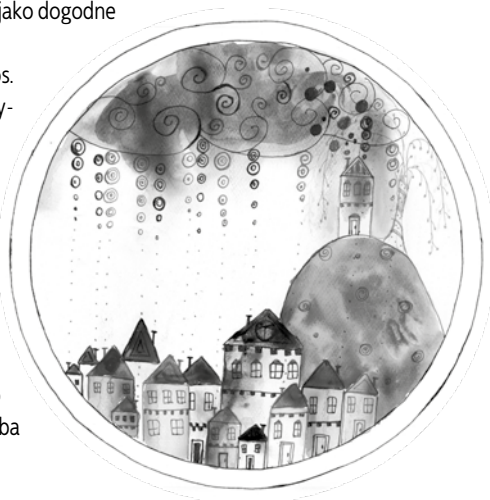
– A teraz nazbierajcie chrustu i suchych traw i ułóżcie z nich stos.

Ludzie uczynili, co im kazał Bóg. Potem zadowoleni z dobrze wykonanej pracy zasiedli wokół stosu z drewna i czekali, ale nic się nie wydarzyło. Wtedy znów usłyszeli głos Boga:

– A teraz weźcie dwa krzemienie i uderzajcie jednym o drugi, aż spomiędzy nich wyskoczy iskra.

Ludzie znów zrobili, jak kazał Bóg i stał się cud. Zapłonął ogień. Odtąd ludziom było ciepło. Czuli się bezpiecznie. Było im dobrze. Dbali, by ogień nie wygasł.

Minęło wiele pokoleń, gdy do jaskini przyszedł obcy człowiek zza widocznych na horyzoncie gór. W jego oczach widać było głęboki smutek. Zgromadzeni wokół ogniska ludzie zapytali (trzeba



ci wiedzieć, że ludzie, spędzając wokół ogniska wiele czasu, nauczyli się ze sobą rozmawiać, jedni mówili, inni słuchali):

– Co możemy zrobić, by cię pocieszyć?

A on im pokazał, bo tak jak oni kiedyś, nie umiał mówić. To jego pokazywanie mogłoby oznaczać: „Rozpalcie taki sam ogień dla mnie, bym mógł go zanieść moim braciom i siostram”.

Wtedy najstarsza kobieta z plemienia opowiedziała mu o modlitwie, o szukaniu dobrego miejsca i sposobie rozpalania ognia. Na koniec nauczyła go krzesać iskry i błogosławiła mu, mówiąc:

– Idź i przekazuj tę mądrość kolejnym pokoleniom.

Człowiek zza gór uczynił tak, jak mu nakazała kobieta. Wrócił do swoich i rozpałił ognisko w górskiej jaskini, a potem nauczył wszystkich, jak rozpalać ogień i jak o niego dbać, żeby nigdy nie zgasł.

Znów minęło wiele pokoleń. Ludzie przenieśli się z jaskiń do wygodnych, ogrzewanych domów. Przestali palić ogniska, nawet w ogrodach. Zapomnieli o tym, że trzeba znaleźć właściwe miejsce, że trzeba nazbierać chrust i suche trawy, by ułożyć z nich stos i podpalić, by móc zasiąść dookoła ognia i przekazywać tę pradawną mądrość.

– Czy to oznacza, Jagucho, że ludzie znów przestaną umieć mówić? – zapytałam nieco przerażona, bo z opowieści Jaguchy wywnioskowałam, że to ciepło ognia rozwiązało ludziom języki.

– Nie, nie przestaną umieć mówić, ale obawiam się, że przestaną się wzajemnie słuchać, rozumieć, współodczuwać i darzyć czułością.

Na samą myśl o tym dostawałam gęsiej skórki. Nie umiałam sobie wyobrazić braku czułości na świecie. To tak, jakby nagle zgasł ogień we wszystkich kuchniach świata. Zniknęłoby ciepło, zapachy, smaki, pozostałby tylko smutek i chłód. Przenikliwy, szary chłód bijący od monitorów komputerów i ekranów telewizorów, to zimne niebiesko-szare światło, które w naturze zdarza się tylko przez krótką chwilę każdego dnia o świcie, by zniknąć wraz z pierwszym promieniem wschodzącego słońca.

Pierwsza rozmowa ze Strzelcem

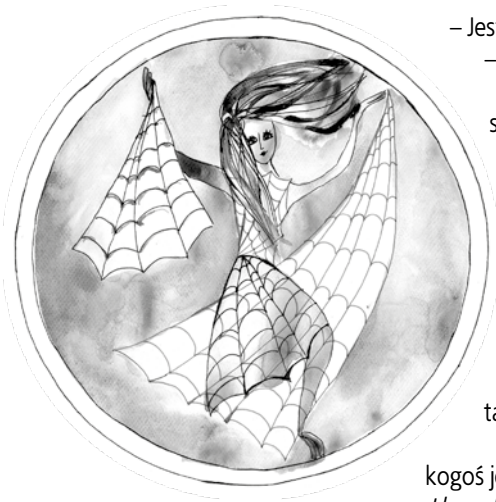
Wtedy, pierwszego dnia, zaczęły się moje sny o Strzelcu. We śnie widziałam dziewczynkę. Była podobna do mnie. Miała na sobie sukienkę w kwiatki. Nieustannie grała w jakąś grę. A może to była jakaś zabawa, taka w sam raz dla dziewczynek? Pamiętam jej podskakujące rytmicznie kitki z czerwonymi kokardami i śpiew, a właściwie coś, co śpiew przypominało, może to były wyliczanki...

– Kim jesteś? – zapytała zdumiona dziewczynka na widok mężczyzny, który nagle, nie wiadomo skąd, pojawił się przed nią, trzymając w ręce łuk i strzałę. – Wyglądasz jakoś znajomo, a przecież nigdy cię nie widziałam.

– Jestem Strzelcem – odpowiedział ten, który się zjawił. – Wyglądam znajomo? To dziwne? Jestem tu pierwszy raz. Ciebie też widzę po raz pierwszy. Skąd się tu wzięłaś?

– Stamtąd – odpowiedziała dziewczynka, wskazując na gwiazdy. – Między Astraeą a gwiazdozbiorem Skorpiona jest mój pierwotny dom. Stamtąd przychodzę – powiedziała dziewczynka i spojrzała na Strzelca. To dziwne, ale nagle zawładnęło nią nieznane dotąd uczucie. Nie umiała go nazwać. Opuściła w dół oczy i dodała: – Ja też widzę cię pierwszy raz, choć możliwe, że już cię kiedyś widziałam we śnie, a może tylko przeczuwałam twoją obecność... A dlaczego się tu zjawiłeś?





- Jestem ci przeznaczony.
- Co to znaczy, że jesteś mi przeznaczony?
- To znaczy, że któregoś dnia nasze drogi się połączą. Wtedy się spotkamy.

– Ale po co?

– Po to, żeby wypełnić to, co jest nam przeznaczone.

– Wiesz, co jest nam przeznaczone? Znasz przyszłość? Widzisz ją? – zapytała zaciekawiona dziewczynka.

– Nie wiem, co wiem, ale wiem, co czuję... – powiedział z odcieniem niepewności w głosie Strzelec i zapatrzył się w jakąś odległą przestrzeń, jakby widział coś, czego ona, dziewczynka nie mogła zobaczyć. – Też mam przeczucie, że tak właśnie będzie – dodał z nutką niepokoju w głosie.

Strzelec zamilkł i rozejrzał się wokoło, jakby szukał wzrokiem kogoś jeszcze, kogo nie widział, ale wyczuwał jego obecność.

– *I los odczytaj swój w niebieskim znaku, gdzie cię zważono, byś ujrzał, jak lekki i słaby będziesz, gdy zechcesz się bronić*² – zabrzmiał czyjś głos.

Strzelec ponownie rozejrzał się wokoło, a nie ujrawszy nikogo, zwrócił się do dziewczynki:

– Słyszałaś? – zapytał zdumiony.

– Co? Nie rozumiem, o co pytasz.

– Nic, nic. Pewnie się przesłyszałem – powiedział Strzelec. Popadając w zadumę, dodał po chwili: – Lepiej już pójde.

– Ale dokąd?

– Tam, skąd przyszedłem.

– A gdzie to jest?

– Jest to tam, gdzie być powinno.

– I tam będziesz na mnie czekał?

– Tak, będę czekał.

– To chyba będziesz czekał bardzo długo i będziesz się bardzo nudził, bo ja nie wiem, jak do ciebie trafić.

– Nie martw się tym. Trafisz z pewnością. A nudził się nie będę. Mam tam mnóstwo pracy.

– Tak? A co będziesz robił?

– Zasadziłem winorośl w moim ogrodzie. Będę ją pielęgnował. Młode krzaczki są takie delikatne i wrażliwe. Łatwo je złamać teraz, kiedy są jeszcze małe.

– Musisz je bardzo kochać, skoro tak się o nie troszczysz.

– Tak, troszczę się o nie, bo wiem, że kiedyś odwziewczą się mi, wydając słodkie grona. Wtedy je zerwę i podzielę się z tobą – powiedział Strzelec i czule spojrzął na dziewczynkę. Ona zaś odpowiedziała mu równie czułym spojrzeniem, a na jej ustach pojawił się nieśmiały uśmiech.

Ilustracje: Dominika Diaków

2 John Milton, *Raj utracony*.

* * *

Chwyć mnie
przyciągnij
oswój
mą płochliwość
przytrzymaj
przy sobie
zanim zechcę
odejść
zawstydzona
cicha
i niepewna siebie
w odmętach nicości
nie daj mi utonąć

Zapiski do zimy

Od siebie

W sztuce i literaturze chodzi o jedno – to najważniejsze. Mówić, pisać i tworzyć wszelkie dzieła wyłącznie od siebie. To uwiarygodnia każde słowo, każdą kreskę i położoną farbę na płótnie. Lepiej, gdy rzecz jest trochę słabsza niż wzmacniać artystyczny wyraz używaniem cudzego głosu. Ten słabszy będzie prawdziwszy i w gruncie rzeczy mocniejszy.

Kropka

Kropka ma wiele znaczeń jako znak lub moment zakończenia czegoś w biegu życia. Pisał Izaak Babel, że ma siłę wiążącą większą niż żelazo skuwające serce. Jednak dopóki serce bije, dopóty i z taką kropką można sobie poradzić. Różnie bywa, nic nie bywa ostateczne. Świat i człowiek w świecie poddany jest także regule *in statu nascendi*.

Odszedł Janusz Koniusz

Odszedł Janusz Koniusz (30 marca 2017). Po modlitwach i ceremonii pogrzebowej urna z jego prochami – prochem tym samym, z którego powstał, o którym pisał w swoich wierszach – została złożona w grobie. Padał deszcz. Władza miejska odczytała list pożegnalny. Książd odmówił modlitwę i poświęcił miejsce spoczynku Janusza. Ze strony literatów, których sporo przybyło (także Ireneusz Szmidt z Gorzowa), bardzo osobiście, uczuciowo przemówił Robert Rudiak. Miałem kilka słów przygotowanych, chciałem powiedzieć, ale nie zdążyłem dojść do mikrofonu, bo już zaczęło się składanie kwiatów i wieńców, więc zrobił się ruch i nie dało się. Wszystko toczyło się szybko. Jakby za szybko. I rozeszliśmy się do autobusów i aut. Poczuję nie-

dosyt. Poetę powinien zegnać przede wszystkim jego wiersz. Jakiś szczególny w treści. Nikt takowego nie przeczytał, ja też nie. Szkoda. A to byłoby piękne. Czytanie poezji nad grobem. Przyszedł mi taki pomysł do głowy za późno. Tak oto pożegnany został ktoś, kto w zasadzie lubuskiemu środowisku literackiemu poświęcił całe życie. Opublikował książki prozy i poezji oraz liczne artykuły. Mniej lub bardziej udane. Dokumentacja dokonań, gdyby ją rzetelnie zrobić, byłaby pokaźna. Największą jego zasługą było to, że w połowie lat 50. nie zabrakło jemu i innym chęci i ambicji, by starać się o powołanie ważnych dla miejscowej literatury i kultury instytucji. Zwłaszcza pisma „Nadodrze” (to się udało i ono przez lata odgrywało ważną rolę). Poprzedziła je jednodniówka „Ziemia Lubuska”. „Nadodrze” wychodziło co dwa tygodnie. Wszyscy tam drukowaliśmy swoje teksty. Tam się chodziło głównie do Wałkiewicza. Bez tej platformy medialnej byłibyśmy na pewno głuchą prowincją pod każdym względem. Bez szansy na zauważenie i zaistnienie w ogólnopolskim kontekście. Potem powołanie oddziału ZLP także wzmocniło znaczenie lubuskiego regionu. Przestaliśmy być anonimowi. To jeszcze nie sukces, ale jednak coś ważnego, zwłaszcza dla ówczesnej „pionierskiej” grupy. Koniusz chciał być przede wszystkim pisarzem, marzył o napisaniu naprawdę wartościowych książek literackich (tego jednego wiersza, który zostanie), tylko tym chciał się zajmować, a poszło jego życie trochę innym torem. Jego przyjazd tutaj (po studiach) spowodował, że usytuował się na poboczu polskiej literatury. Na prowincji. Co innego przecież, gdyby to były Katowice, Warszawa, Kraków, a nawet Poznań. Na innym polu tam odbywała się literacka

orka, mogąca dać jemu cenny plon, inne docenienie, rozmowy, inspiracje, promowanie w pismach, skalę wydawniczych nakładów. Zielona Góra interesowała literacką Polskę, owszem, zwłaszcza Palmiarnia na Winnym Wzgórzu. Przyjeżdżali tu chętnie uznani, wielcy pisarze polscy na spotkania (Broniewski, Przyboś, Szymborska, Koziół, Piętaś, Karpowicz...), ponieważ głównie za sprawą starań Janusza Koniusza. Dla jego własnego autorskiego sukcesu musiało to być oczywiście za mało. Jak zawsze liczą się w ostatecznym rozrachunku napisane stronicie. A potem wejście w szerszy obieg i świadomość literacką. Poza tym Janusza cechował temperament organizatora i inicjatora różnorodnych imprez, wydarzeń, konferencji, dni, zjazdów, sesji i spotkań nie tylko w Zielonej Górze, ale i w małych lubuskich miastach i miasteczkach. Mogliby o tym coś powiedzieć: Gućo Łapszyński, Anna Makowska-Cieleń, Janusz Werstler, Wiesław Sauter, Tadeusz Firlej – gdyby jeszcze żyli. Wszędzie, gdzie bywał, niemal każdego człowieka (nawet przypadkowe osoby) dopytywał o to, co się dzieje lub co może się dziać, co można w jego okolicy zrobić i wymyślić w sferze kultury. Jego to nakręcało do końca życia. W taki sposób zapewniał sobie poczucie swojej ważności. Poniekąd poprzez LTK, ZLP i „Nadodrże” tkwił w centrum spraw literackich i kulturalnych regionu. Starał się też pomagać pisarzom, będącym w kłopotach (Wojciech Czerniawski, Papusza...). Ludzi o takim zapale organizatorskim już nie ma. Trochę szkoda. Nadeszła inna epoka. Nie za bardzo mająca na uwadze interes ogółu, ale własną kieszeń. Dokonania literackie, jak i funkcje społeczne i zawodowe Koniusza zapewne będą rzetelnie opisane. Bo już mogą. Zdałem sobie sprawę, że nikogo z tamtego czasu już nie ma – poza żyjącym, wiekowym Henrykiem Szyłkinem (z którym Janusz dużo współpracował). Nikogo. Miałem z Januszem Koniuszem w różnych latach kontakt. Pracowałem krótko w „Nadodrzu”, gdy był redaktorem naczelnym tego pisma. Odwiedzałem go też w domu przy al. Niepodległości. Na jego poddaszu. Bywało, że nie zgadzałem się z nim, czego nie ukrywałem, również kłóciliśmy się w różnych sprawach – mniejszych, większych. Miewałem jakieś tam pretensje i żale, ale to nie zmieniało się w gniew lub stałą niechęć. Nie

było odwracania się plecami. I on potrafił przyjmować mój krytycyzm, czyli inne zdanie. Zostały pośmiertne wiersze, które do druku (*Wiersze ostatnie*) przygotował Eugeniusz Kurzawa.

Mgła

Dzień zasnuty mgłą. Mgła nad rzeką, nad polami. Wszystko w niej przycichło. Zarysy drzew wyłogodniały. Są nieco jakby zjawy. Nie za dużo widać, ale niemal doskonała aura dla nostalgicznych myśli.

Ulica Bohaterów Westerplatte

Kilka miesięcy trwał remont tej ulicy. Przyglądałem się z zaciekawieniem wszystkim pracom, ludziom, ciężkim maszynom, wykopom, stertom piasku, zwojom kabli... Chwilami wątpiłem, czy z tego budowlanego bałaganu zdoła wyłonić się godna podziwu przestrzeń. I wyłoniła się, tchnąca nowością i elegancją. Jaki teraz asfalt, jakie chodniki. Nocą urok ulicy podkreślają świąteczne światełka, przymocowane do ulicznych lamp.

Każdy dzień

Każdy dzień, bez wyjątku, według pewnego autora jest dobry. Czy na pewno? Czy nie za łatwa ta filozoficzna formułka? Może lepiej, bo prawdziwie, uznać, że każdy dzień jest ważny, bezpowrotny, nie do odkupienia. Tego rodzaju założenie zapewne do czegoś przybliży. Natomiast unifikująca teza, że każdy dzień jest „dobry”, wprowadza rozchwianie pod wieloma względami. Są lepsze i gorsze dni. A nawet godziny – pełnie cienia lub słońca.

Źródła

Istotne źródła prawdy są dwa. Jednym, czy nie najważniejszym, jest Ewangelia. Trudno mi czasem pojąć, że tak ważne i rozległe spojrzenie we wnętrza człowieka, a w zasadzie wytyczenie nowej drogi ludzkości, iście rewolucyjnej na owe bardzo skomplikowane czasy, mogło się wtedy dokonać, dwa tysiące lat temu. Drugie źródło prawdziwych poszukiwań, polegających na docieraniu do głębi człowieczego ja, upatrywałbym w sztuce. Jeśli sztuka ma mieć znaczenie, musi obejmować to, co wyrasta z treści życia. Oczywiście nic w jej obrębie nie jest

proste, jednoznaczne, łatwe, poukładane, ułożone we wzory. Towarzyszy jej męka odkrywania prawdziwego wyrazu i sensu. (Nie docenia się tego wysiłku). Reszta to propaganda i opanowująca współczesne umysły reklama. Jedynie silne osobowości są w stanie zachować dystans. Czasem prawdą jest łaża, kamień, spójrzanie, czułe lub spracowane ręce. Wrażliwi ludzie o tym wiedzą.

Zdania A.W. Szewczuk

Anna Wiwiana Szewczuk jest sympatyczną, zielonogorską poetką. Nowym tytułem wydawniczym przypominała o swoim istnieniu. To dobrze. Nie było możliwe wydanie w pewnym wydawnictwie aforystycznych zdań, to postanowiła opublikować je własnym nakładem. I wyszła nie tak dawno (otrzymałem ją w lipcu 2017) cieniutka co prawda książeczka, ale nie do zbagatelizowania. Robi dobre wrażenie, mimo edytorskiej skromności, ten dwudziestostronicowy arkusz *Aforyzmy*. Na okładce czarno-biała ilustracja, obraz Elżbiety Balickiej z Lubka – subtelne, kobiece twarze, oczy, ptak, motywy kwiatowe. Arkusz zawiera notę *O autorce*, ale i wyposażony jest w ISBN. Poetka już wcześniej (2007) próbowała sił w poetyce aforizmu. Oznacza ten gatunek przekroczenie progu pewnych egzystencjalnych doświadczeń, wejście w sferę myśli mających raczej uogólniać niż być obrazem emocji. Mało kto by się spodziewał, że drzemie w Szewczuk, obok tkliwych lirycznych nastrojów, także dość zdystansowany wobec świata – powiedziałbym – filozoficzny duch. Aforyzmy są jednozdaniowe. Jak mgnienia refleksji. Jeden kęs chleba, tyk wody, haust powietrza. Niektóre zawierają i wyrażają potoczne, znane prawdy, będące w powszechnym obiegu (np.: „Naśladowaj lepszych, unikaj gorszych”, „Słowem można przytulić, oczarować, zniszczyć”), powtarza je Anna, ale własnymi słowami, a to przecież nie takie proste. Nie najlepszym pomysłem jest podzielenie tych myśli na cztery cykle (*Człowiek, Profesja, Natura, Pieniądze*), bo takiego zabiegu dokonuje raczej wybitny autor, wydający książkę pokazną objętościowo, zbiór mądrości, i o wyrażnie skryzystalizowanym horyzoncie intelektualnym. Ale możemy nie szczędzić zielonogorskiej poetce słów uznania, kiedy

czytamy takie oto zdania: „Od wysłuchania drugiej osoby powinno się zacząć dialog”, „Zrozumienie jest cechą boską”, „Wiersze rodzą się, zanim przyjdzie wiosna”, „Sztuka leczy bezszkodliwie”, „Puls nieba czuwa nad nami”, „Bez pieniędzy trudno jest być wiecznie młodym”. Jak widać, niektóre zdania dotyczą powszedniego życia, zasad, które dobrze jest przestrzegać, ale zapędza się Szewczuk także w regiony z lekka metafizyczne. Moim zdaniem te krótkie zdania mogą spełniać swoją rolę pożytecznie jako inspiracje do indywidualnych, czytelniczych przemyśleń. Wtedy ich drugie życie może uzyskiwać sens.

Chleb

Sierpień mijał. Minął. Bociany i inne ptaki odleciały. Było duszno. Gorąco. Szło ciężkie deszczowe lato. Najwięcej mogą o tym powiedzieć gospodarze, którym przyszło w tych uciążliwych warunkach zbierać zboża i owoce z plantacji. A my? Kupujemy chleb, jemy chleb, nie brakuje go. Ogromny trud polnej roboty, gospodarskiej uprawy ziemi, raczej nie zaprząta nikomu głowy. Pracują jakieś traktory i inne maszyny. Nowoczesne zrobiło się życie. Odrealnił się jego kształt. Wieś prawie przestała być wsią. A jeszcze nie tak dawno trzeba było mieć silne ręce, iść za pługiem, wytrzymywać żniwny skwar, zgarniać pot z czoła, dźwigać worki z ziarnem, zwozić siano, słomę, ręcznie zbierać kartofle, zadawać krowom, koniom, trzodzie chlewnej. Widziałem to wszystko na własne oczy. Pracę od rana do wieczora, która decydowała o „być albo nie być”. Teraz w marketcie plastikową kartę lekko przykładam do czytnika w kasie ten i ów i cały koszt rozmaitości jest jego. Wydaje się, że produkty są jakby znikąd, pięknie opakowane, na półkach, w szerokim asortymencie. A nie są.

Kamień

Wczoraj udało się. Przywiozłem znaleziony na polach Zawady, odkopany z darni, pokaźnej wielkości kamień. Duży i prawdziwie ciężki. Było to dla mnie coś ważnego. Już więcej nie muszę. Nie chcę. Szukałem i znalazłem. Oglądam go. Jego chropawą fakturę. Ten kamień uosabia moje i nie tylko moje życie, któremu staram się podołać i udźwignąć. Wiem,

czym ono jest. Nie piórkiem na wietrze ani puchem dmuchawca. Chociaż i tym także.

Zdania

Nastała lekka zima. Zapowiadają jednak wejście silnych mrozów. Czekam na płatki śniegu. Czytam różne dyskusje, teksty, wypowiedzi. Także bardzo negatywne o Polsce. Trafiają się celne, polemiczne sformułowania, jakby perełki, np.: „I tylko pieniądź wami rządzi, zero ideałów” albo: „nienawiść już mózgi wyżarła”. Cała nadzieja w myślących i wytrwałych, którzy nie dadzą się zakrzyczeć.

Koniec roku

Na koniec roku napisałem wiersz pt. *Rok* – dość rozległy. O tym, co w nim było, a było dramatycznych zdarzeń bardzo wiele. Tych globalnych i zupełnie drobnych, z zasięgu ręki. Wszystko było. Pewnie się już tego nie pamięta. Zostało jeszcze kilka dni, które są piękne. Dzisiaj rano po obudzeniu się zobaczyłem w okiennych szybach rozświetlone niebo. Nad horyzontem czyste, w odcieniach turkusowych barw, nieco wyżej lekkie chmury, od spodu fioletowe smugi. Światło wchodziło do środka pokoju i we mnie. Słychać było ćwierkanie wróbli. Podniosłem się.

Ela

Pewna Ela kupiła dzisiaj przed południem ode mnie książkę. Była uśmiechnięta. Napisałem jej w dedykacji, że jest niezawodna. Też się uśmiechnąłem.

Z poezją

Wszystko, co zdarzyło się w moim życiu, miało związek z poezją. Wielki związek. Bez niej moja droga wyglądałaby całkowicie inaczej. Z jej powodu spotykałem wielu ludzi. Najkrócej mówiąc, poezja broniła mnie w różnych trudnych, a nawet w niebezpiecznych sytuacjach. Może kiedyś o nich napiszę. Dodawała mi sił. Sprawiała, że z niektórych rzeczy bez żalu umiałem rezygnować. To, co dla wielu było głupstwem, które można odrzucić, dla mnie stanowiło zachwycającą wielkość. Według jej tajemnic

poniekąd układał się i układa mój los od bardzo dawna. Mam oczywiście poczucie, że otrzymałem coś bardzo kruchego, a jednak decydującego o moim trwaniu.

Idę deptakiem

Idę deptakiem, w pobliżu Muzeum, staram się patrzeć uważnie, rozglądać, jest piękny dzień czerwca. Uświadomiłem sobie, że w zasadzie już nikogo ze znajomych nie spotykam. Niestety. Postarzeli się, są chorzy, tkwią w domach oraz pomarli. Mijam obce twarze. Pod koronami lip idę z takim poczuciem. Obcy obok ludzi, więc z kim choćby o drobiazgach porozmawiać? Życie mocno samotnieje. Inne miary wypada przykładać do zapachów, kształtów, lśnień, drobin, czyichś słów. Napisałem o tym doświadczeniu dawno temu: „Kieliszek wina/ słowo/ kropla samotności/ musi ci wystarczyć”. Szybko, wcześniej, za wcześniej, przyszła taka wiedza. Może uchroniła mnie przed złudzeniami. Może przydała cennej refleksji.

W Święta

Czytałem (w internecie) opowiadanie K. Vargi o osadzonej w polskiej obyczajowości i tradycji wigilijnej wieczerzy. O tym szczególnym w swoim rodzaju dla Polaków świętym czasie rodzinnego spotykania się przy stole i łamania się opłatkiem, śpiewania kolęd. Wyjątkowo zgryźliwe, prześmiewcze opowiadanie, wręcz zapalczywie kpiące. Całą tę ceremonię, a zarazem smak i zapach wigilijnych potraw, opisuje Varga z nieukrywaną niechęcią i obrzydzeniem. I złością. A tytuł opowiadania *Święto zmarłych*. Jak widać, nie szkoda autorowi czasu i talentu na popisywanie się umiejętnością drwienia nawet z „garści siana pod obrusem”. A poza tym, czy należy tak pisać?

I

I znowu wieczór. Jeszcze uporządkować kartki. Przed snem. Zamknąć drzwi na klucz. Czerwone niebo na horyzoncie. Pewnie na zmianę pogody. Jutro się o tym dowiem.

Ostatnia robota

Wasył Bilich leżał nago na łóżku w pokoju hotelowym, ze wzrokiem utkwionym w sufit. Właśnie przed chwilą odprawił dziewczynę z agencji towarzyskiej. Zawsze na kilka godzin przed robotą korzystał z usług panienek z „bałaganów”, choć stawiał jeden warunek, seks miał być bez prezerwatywy. Nie wszystkie się zgadzały, mimo że niekiedy proponował stawkę kilkukrotnie większą, więc z reguły już telefonicznie zwykł negocjować warunki. Usługa jak usługa. Wszystko można kupić, tylko trzeba dogadać się co do ceny. Po seksie myślał już tylko o robocie. Spojrzał na zegarek. Dochodziła piętnasta. Powoli zaczął się ubierać, po czym zszedł na dół do baru hotelowego, by wypić mocną kawę. Kofeina w jego przypadku wspomagała koncentrację, która była niezbędna do perfekcyjnego wykonania zleconego zadania. Niektórzy jego kumple po fachu stymulowali się amfetaminą lub innymi narkotykami. On zawsze był czysty. Pił kawę, siedząc przy kontuarze i swoimi migdałowymi oczami przyglądał się barmance. Podobą mu się. Wysoka, szczupła brunetka, o niemal idealnych wymiarach. W milczeniu popatrzył jej głęboko w oczy. Dziewczyna wyzywająco rozchyliła usta. Zdawał sobie sprawę, że podoba się kobietom. Przy swoich stu osiemdziesięciu pięciu centymetrach wzrostu ważył nieco ponad siedemdziesiąt pięć kilogramów, płaski brzuch, sportowa sylwetka, sprężyste i energiczne ruchy. Jakże różnił się od misiowatych biznesmenów czy handlowców (za jednego z nich mógłby uchodzić), którzy byli częstymi gośćmi tego hotelu. Do tego dodać należy jeszcze ciemną karnację i te jego migdałowe oczy, które tak podobały się kobietom. Nie miałby zapewne problemu, aby dziewczynę zza baru wyrwać do łóżka. Zapewne brała go za biznesmena z Podlasia czy Lubelszczyzny, bo mimo że doskonale mówił po polsku, wyczuć można było u niego delikatny wschodni akcent. I nie musiałby za tę przyjemność zapewne nawet płacić. Jednak on korzystał tylko z usług zawodowych prostytutek. Sam będąc profesjonalistą, cenił profesjonalizm. Dziewczyny z agencji, po wykonanej robocie, wszystko zapominały. Przynajmniej starały się jak najszybciej zapomnieć. On też po wykonaniu tego, co mu zlecono, starał się jak najszybciej zapomnieć.

Spytany przez dziewczynę zza baru, czy życzy sobie coś na obiad, grzecznie odmówił. Zawsze na dobę przed zadaniem nie spożywał nic z wyjątkiem płynów. Uregulował fakturę na nazwisko Jan Gwozdowski, gdyż pod tym nazwiskiem był zameldowany i dodając do tego wysoki napiwek, skierował się ku wyjściu, a następnie udał się na hotelowy parking, gdzie stało jego granatowe BMW. Wsiadł do samochodu i przekręcił kluczyk w stacyjce. Postanowił jeszcze raz objechać Legionowo, choć topografię tego miasta znał już niemal na pamięć. Był tu już po raz czwarty. Za każdym razem przyjeżdżał innym samochodem i za każdym razem nocował w innym hotelu, pod innym nazwiskiem.

Powoli przejechał obok domu, gdzie mieszkał cel. Ponownie przyjrzał mu się dokładnie. Była to nowo wybudowana parterówka z czerwonym dachem, o powierzchni nieprzekraczającej stu pięćdziesięciu metrów, typowa dla przedstawicieli najniższej warstwy klasy średniej, położona w dzielnicy domków jednorodzinnych. Będąc tu ostatnio, upewnił się, że posesja nie jest uzbrojona w kamery, inaczej w nocy musiałby je unieszkodliwić. Wynikało z tego, że cel nie czuł się zagrożony, co ułatwiało wykonanie zadania. Ulica nie

była też monitorowana, co również działało na jego korzyść. Następnie powoli ruszył w stronę centrum miasta, po czym skierował się w stronę drogi wylotowej na Warszawę. Przejechał kilka kilometrów, skręcił w boczną, leśną drogę i zawróciwszy auto, zgasił silnik i skierował się w stronę stojącego kilkaset metrów dalej starego czarnego volkswagena golfa z napędem turbo. Stanął przed autem i dyskretnie rozejrzał się dookoła. W pobliżu nie widział nikogo. Schylił się i spod tylnego koła wyciągnął kluczyki do samochodu. Otworzył bagażnik i wyjął z niego wojskowy polowy mundur, wysokie czarne buty, czapkę z daszkiem w kolorze khaki oraz wiklinowy kosz. Przebrał się na tylnym siedzeniu samochodu, a swoje ubranie włożył do bagażnika. Teraz wyglądał jak rasowy grzybiarz. Postanowił do zachodu słońca pochodzić po lesie, chciał wszystko jeszcze raz spokojnie przemyśleć, by nie popełnić żadnego błędu. Robił tak przed każdą robotą.

Postanowił, że będzie to jego ostatnie zlecenie i po jego wykonaniu wycofa się z branży. Kupił nawet niewielki pensjonat na Krymie. Chciał wreszcie zasmakować uroków stabilnego życia, o których marzył od wielu lat. Wycofałby się prędzej, ale brakowało mu jeszcze kilkadziesiąt tysięcy dolarów na kapitalny remont pensjonatu. Drugim powodem jego decyzji o wycofaniu się była kobieta. Będąc ostatnio u kuzynki w Kijowie, poznał Swietlanę, absolwentkę konserwatorium muzycznego. Była wprawdzie ponad dziesięć lat od niego młodsza, ale oboje zapalali ku sobie uczuciem. Doszło do niego, że po wielu latach ponownie zaczął się bać. Zdawał sobie sprawę, że pracujący w jego fachu nie żyją za długo. Zbyt wiele wiedzą o swoich zleceniodawcach. W przypadku, gdyby wpadli w ręce policji, mogą okazać się niebezpieczni. Mniej wiesz, dłużej żyjesz – mówi się w półświatku. Jest jeszcze druga wersja tego powiedzenia. Mniej wiesz, krócej się przesłuchują.

Wasył miał też kilka zasad, których się trzymał. Nie strzelał do dzieci, kobiet czy przypadkowych świadków. Tak planował robotę, aby nikomu poza celem nie spadł włos z głowy. Jednak najważniejszą była ta, że nigdy nie brał roboty na swoich byłych zleceniodawców. Stąd miał zawsze sporo propozycji, bo każdy, kto wynajął go do roboty, nie musiał się w przyszłości go obawiać.

Był jednym z ostatnich roczników, który załapał się na wojnę w Afganistanie. Wrócił z niej z Gwiazdą Bohatera Związku Radzieckiego oraz bliźną na łydce po kuli wystrzelonej przez mudżahedina. Wkrótce rozpadł się Związek Radziecki, za który przelewał swoją krew. Nowa ekonomiczna rzeczywistość w wolnej Ukrainie nie oszczędziła też zakładu, w którym przed wojną pracował. Postanowił szukać szczęścia w Polsce. Zaczął od zbioru truskawek. Jednak był specjalistą w zupełnie innym fachu. Wygadał się kiedyś przy piwie miejscowym chłopakom, co robił w przeszłości. Ci zaraz poznali go z miejscowym bonzo od ciemnych interesów, który znalazł mu robotę godną jego umiejętności. Zaczął jako ochroniarz. Później przerzucił się na kradzież aut w Niemczech. Była to robota ryzykowna, gdyż luksusowe samochody, na których był największy interes, niezwykle ciężko było przerzucić do Polski, a później dalej na wschód, zaś na starych autach przebitka była zbyt niska, żeby więc wyjść na swoje, odnowił znajomość z kolegą, który stacjonował w NRD i miał tam spore kontakty. Postanowili brać auta na zgłoszenie. Patent polegał na tym, że dogadywali się z właścicielem luksusowego samochodu, dając mu czterdzieści procent wartości auta. Brali dokumenty i kluczyki, gdy auto było już po ukraińskiej stronie, wracali do Polski, by oddać właścicielowi kluczyki i dokumenty. Następnie Niemiec zgłaszał kradzież samochodu i po załatwieniu wszelkich procedur, po paru tygodniach niemiecka firma ubezpieczeniowa wypłacała mu sto procent wartości skradzionego samochodu. Trwało to do czasu, aż jeden z Niemców nagle się rozmyślił i zgłosił kradzież samochodu dużo prędzej, niż było to ustalone. Po pięćdziesięciokilometrowym pościgu dopadli go pod Rzeszowem. Z trzyletniego wyroku odsiedział dwa i pół roku.

Po wyjściu z więzienia, gdzie nawiązał spore kontakty z ludźmi z półświatka, wszedł w ściąganie długów. Robota była o wiele mniej ryzykowna niż kradzieże samochodów, bo praktycznie nie było zagrożenia ze strony policji. Niekiedy wystarczyło, by dłużnik usłyszał wschodni akcent i od razu wyskakiwał z forsy. Opornych czasem trzeba było postraszyć lub przeciągnąć na lince za samochodem po lesie. Trwało to do

czasu, aż jego mocodawca postanowił zlikwidować dłużnika notorycznie uchylającego się od spłaty zobowiązań. W grę nie wchodziły wielkie pieniądze. Chodziło raczej o wzmocnienie prestiżu w gangsterskim półświatku i o to, by dać do myślenia innym zalegającym ze spłatą długów. Tę robotę zaproponowano właśnie jemu. Na początku się wahał, zabijał wprawdzie ludzi, ale to było na wojnie. Jednak bardzo potrzebował tych pieniędzy, gdyż jego matka była poważnie chora. Łapówki dla lekarzy i drogie, zagraniczne leki pochłonyły całe jego oszczędności. Skromna renta matki ledwie starczała jej na żywność i opłaty. Miał tylko ją, starszy brat zginął w Afganistanie w osiemdziesiątym szóstym. Ojca wcale nie pamiętał, wyjechał w delegację budować jakąś tamę na rzece, gdzieś za Uralem i już się więcej w rodzinnym domu nie pokazał. Ponoć związał się z jakąś sporo od siebie młodszą kobietą. Po pierwszej robocie przez trzy dni pił na umór. Próbował zapomnieć. Szybko doszedł do siebie, wykonał jeszcze parę zleceń dla swojego szefa lub ludzi przez niego poleconych. Po każdym wykonanym zadaniu upijał się, tłumacząc sobie, że jeśli nie wykonałby tego, wykonałby to kto inny. Po roku w porachunkach gangsterskich zginął jego mocodawca. Od tej pory robił tylko dla siebie. Stał się cynglem do wynajęcia.

Komisarz Norbert Liszecki wyszedł z basenu, owinął się ręcznikiem i udał się w stronę szatni. Regularnie dwa razy w tygodniu chodził na pływalnię. Jako oficer policji wychodził z założenia, że musi dbać o kondycję fizyczną, by dawać przykład adeptom z Centrum Szkolenia Policji, gdzie był wykładowcą w zakładzie służby kryminalnej. Mimo że przekroczył czterdziestkę, na jego ciele nie było zbędnej fałdy tłuszczu, a atletycznej sylwetki pozazdrościć mógł mu niejeden dwudziestokilkulatek.

W Legionowie mieszkał od niespełna pół roku. Praktycznie nie miał tu żadnych kolegów. Znał życie i na tyle długo pracował w swoim zawodzie, by stwierdzić, że w policji nie ma kolegów tylko znajome twarze. Po Wyższej Szkole Policji skierowano go do pracy pod zachodnią granicę. Wówczas był młody i pełen ideałów, a swoją pracę traktował jak misję i posłannictwo, jednak życie szybko weryfikuje młodzieńcze ideały. Zderzył się z murem układów, powiązań, za którymi stały pieniądze, najczęściej lewe. W żadnej powiatowej komendzie nie mógł długo zagrzać miejsca, pozbywano się go, gdyż na niektóre sprawy nie mógł przemykać oka. Ostatnim miejscem, gdzie pełnił służbę, była Komenda Powiatowa w mieście Żuraw, w województwie lubuskim, gdzie jako podkomisarz był szefem wydziału kryminalnego. W trakcie pracy wpadł na trop handlarzy nielegalnym tytoniem. W sprawę zamieszanych było kilku jego podwładnych, którzy nie tylko ochraniali gangsterów, ale także czerpali zyski z tego interesu. Kilku z nich, dzięki jego uporowi, postawiono zarzuty i zostali oni zawieszani w obowiązkach służbowych. Miał nawet podejrzenia, że w aferę zamieszany jest sam komendant, o czym napisał raport do komendanta wojewódzkiego. Po kilku dniach dostał od niego wezwanie na rozmowę, z której dowiedział się, że sprawę przejmuje komenda wojewódzka, a on został przedstawiony do awansu i na czas zakończenia sprawy zostaje przeniesiony na stanowisko wykładowcy w Centrum Szkolenia Policji w Legionowie. Zdawał sobie sprawę, że jest to odsunięcie na boczny tor. Awans był tylko na otarcie łez, zaś pracę w Centrum Szkolenia Policji można porównać do zsyłki.

Powoli zbliżał się do domu, gdzie z kolacją czekała żona. Staął pod bramą. Jeszcze nie zamontował w niej pilota, zawsze były pilniejsze sprawy. Wyszedł z samochodu, by ją otworzyć. W tym momencie podszedł do niego nieznamy mężczyzna, którym był Wasyl Bilich.

– Pan Norbert Liszecki? – spytał krótko, patrząc mu w oczy.

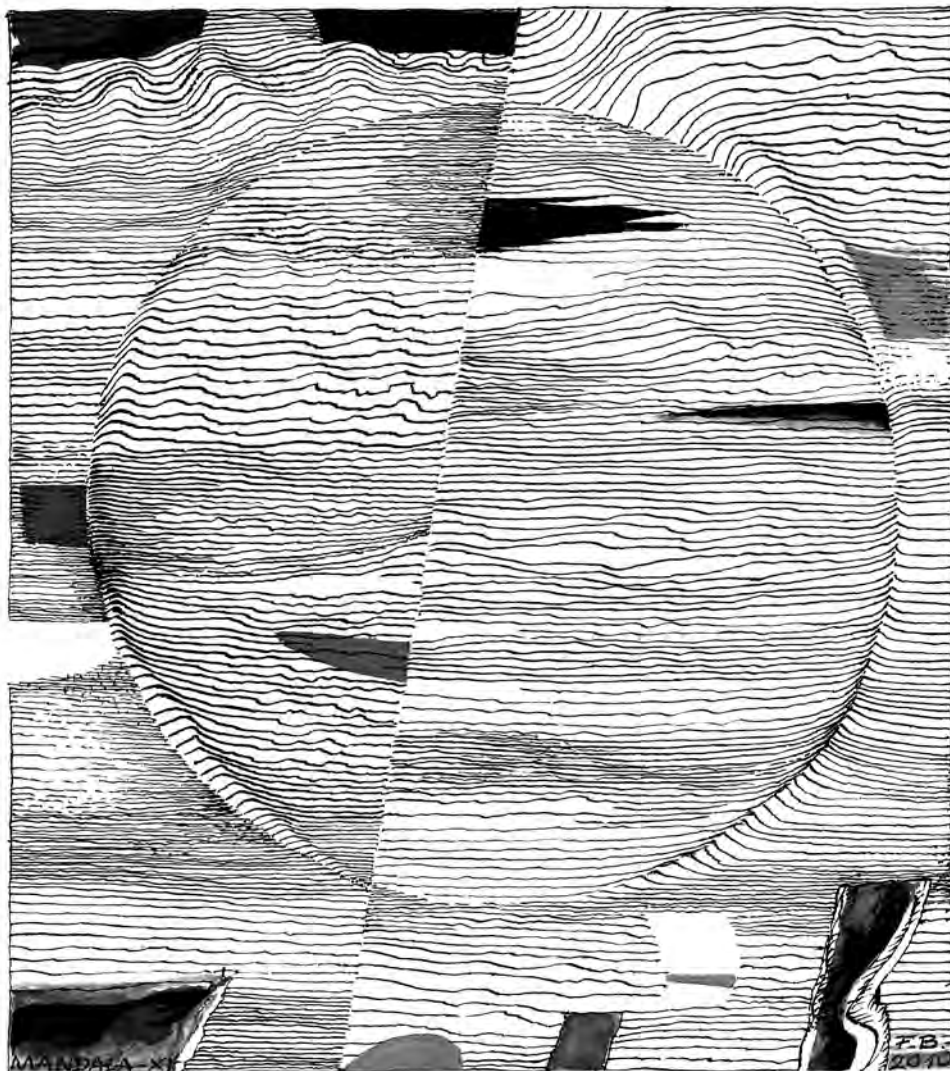
– Tak. A o co chodzi? – odpowiedział komisarz.

W tym momencie z pistoletu wyposażonego w tłumik padły dwa głucho strzały. Kule trafiły go w lewą stronę klatki piersiowej. Gdy już leżał na ziemi, Bilich strzelił po raz trzeci. Tym razem dla pewności w głowę, gdyż cel mógł mieć na sobie kamizelkę kuloodporną. Po czym szybko ruszył w stronę oddalonego o trzysta metrów volkswagena golfa.

– Tatusiu, tatusiu, co ci jest? Żle się czujesz? – usłyszał za plecami dziecięcy głos. Mimowolnie odwrócił głowę. Nad celem stał kilkuletni chłopiec i szarpał go za rękę. – Tatusiu, wstań, co ci jest? – usłyszał jeszcze, otwierając drzwi samochodu.

Ruszył z piskiem opon w stronę miejsca, gdzie zostawił BMW. Po dziesięciu minutach był na miejscu. Pozostało jeszcze spalić golfa, przesiąść się do beemki i po robocie. Po ostatniej robocie.

Coś dziwnego zaprzątnęło mu myśli. W uszach brzmiały mu słowa chłopca: „Tatusiu, tatusiu, co ci jest?”. Drażnił go od środka wewnętrzny robak, gdy uświadomił sobie, że właśnie przed chwilą kilkuletniego chłopca uczynił sierotą. Do faktu, że pozbawia życia, już się przyzwyczał, teraz dotarło do niego, że oprócz życia pozbawia ludzi czegoś znacznie więcej. Niszczy bezpowrotnie ich świat... Z jego migdałowych oczu pociekły łzy, po czym oparł głowę o kierownicę i zasłochał jak dziecko. „Tatusiu, tatusiu, co ci jest?” Słowa chłopca ciągle brzmiały mu w uszach. Coś poruszyło się przy bocznej szybie. Nie zdążył zareagować. Szyba rozprysła się i dwa ułtucia przygwoździły go do skórzanego fotela. „Tatusiu, tatusiu, co ci jest?” – zdążył jeszcze pomyśleć, zanim na zawsze zmętniały jego migdałowe oczy.



Pierwsza wypłata

Obudziłem się przed ósmą. Przez chwilę jeszcze leżałem w łóżku z oczyma utkwionymi w sufit. Obok mnie spała Eliza. Kobieta, która od roku była dla mnie wszystkim. Kobieta, bez której nie wyobrażałem sobie życia, kształtująca mą wrażliwość i poczucie piękna. Kobieta wprowadzająca mnie w dorosłe życie, ucząca, jak godnie żyć, nie krzywdząc innych, by jednocześnie samemu nie dać się skrzywdzić, poniżyć i upokarzać. Poznałem ją w połowie trzeciej klasy, gdy postanowiłem uczęszczać na zajęcia sekcji plastycznej, które odbywały się w Miejskim Domu Kultury, do czego namówił mnie Lubecki, uczący w naszym ogólniaku plastyki, gdzie pracowała jako instruktorka. Już wówczas zaczynałem myśleć o studiach na ASP, choć w domu głośno tego nie mówiłem, nie chcąc narazić się ojcu, który jeszcze zanim poszedłem do liceum, wybrał dla mnie kierunek studiów i uczelnię, gdzie miałem kontynuować dalszą edukację.

– Malowanie obrazów, piękne hobby – powiedział do mnie, gdy w styczniowy wieczór wróciłem z zajęć w MDK. – Jednak niezwykle ciężko z tego wyżyć, szczególnie w naszym mieście, więc na jakiś czas musisz odłożyć farby, pędzle i sztalugi i przyłożyć się do historii. Koneksje koneksjami, jednak egzamin na studia musisz zdać.

Po czym tradycyjnie wygłosił wykład na temat swojej życiowej kariery. Podkreślił, że wszystko, co osiągnął, zawdzięcza wyłącznie swej pracy, uporowi, zawziętości, sprytowi i inteligencji. Nie zapomniał o dzieciństwie bez ojca, który zginął w 1945 pod Kołobrzegiem, zepsutym wzroku z powodu czytania książek przy wężym blasku świecy i o jednej parze zimowych butów, w których ze starszym o dwa lata bratem chodzili na zmianę. Nic dziwnego, że wpadł w gniew, gdy po otrzymaniu świadectwa maturalnego oświadczyłem mu, iż zamierzam złożyć papiery na Akademię Sztuk Pięknych w Poznaniu. Wymiana argumentów przerodziła się w żarliwą kłótnię, po której spakowałem się i przeprowadziłem do Elizy.

– Gdzie on będzie mieszkał?! Z czego będzie żył?! – słyszałem za ścianą jego słowa skierowane do matki, gdy do dużego plecaka pakowałem swoje ubrania. – Teraz, gdy jest ciepło, to chyba pod mostem lub pod namiotem. Ciekawe, gdzie on jakąś pracę znajdzie? Po ogólniaku to najwyżej ulice może zamiatać. Twój brat jest w Kanadzie i z nami od lat nie utrzymuje kontaktu, więc ciekawe, kto mu pomoże. Nie ma czym się przejmować. Zgłodnieje, zmarźnie, to wróci. Zachciało mu się zostać artystą i chce studiować na ASP. Teraz, żeby studiować, trzeba mieć pieniądze. Ode mnie nie dostanie złamanego grosza.

Matka nie odezwała się nawet słowem. Od kiedy pamiętam, w domu nie miała nic do powiedzenia. O wszystkim decydował ojciec. Jej rola ograniczała się wyłącznie do prowadzenia domu. Do czasu moich narodzin pracowała w sądzie jako protokolantka. Po tym jak ojciec otworzył własną kancelarię, była wyłącznie panią mecenasową.

W pośredniaku wybór ofert pracy był niewielki. Potrzebowali spawaczy, tapicerów, stolarzy oraz kierowców z prawem jazdy kategorii C. Jedyną ofertą, z jakiej mogłem skorzystać, była praca w charakterze drwała przy wyrębie osmiusethektarowego spaleniska.

– Jaką pan skończył szkołę? – spytała urzędnicza siedząca za biurkiem.
– Liceum ogólnokształcące – odparłem lakonicznie.
– Ma pan pojęcie o pracy w lesie? – kontynuowała biurwa.
– Nie. Jeszcze do tej pory nie pracowałem. To będzie moja pierwsza praca.
– Robota tam jest niezwykle ciężka. Człowiek codziennie wraca do domu czarny jak Murzyn. Jak znam życie, to zrezygnuje pan po trzech dniach. Byli tu już tacy jak pan i żaden z nich nie przepracował dłużej niż tydzień.

Po wyjściu z biura pracy udałem się do sklepu żelaznego i za pieniądze otrzymane od Elizy kupiłem siekiere.

W dwudziestopięciosobowej ekipie, w której rozpocząłem pracę, byłem jednym z najmłodszych. Było w niej wprawdzie dwóch chłopaków po zawodówkach, młodszych ode mnie, ale oni pili ze starymi, więc uważani byli za swoich. Szybko zyskałem ksywę Młody, a później, gdy dowiedzieli się, że złożyłem papiery na ASP, zaczęli za mną wołać Malarz lub Student. Brygada drwali pracowała w ramach tak zwanych robót interwencyjnych i składała się z największych szumowin i niebieskich ptaków w okolicy. Większość z nich robotę tę przyjęła z musu i traktowała ją jako zło konieczne, gdyż zagrożono im utratą zasiłku dla bezrobotnych i świadczeń z tym związanych. Do karczowania młodników nie trzeba było mieć żadnych kwalifikacji, więc nie mogli odmówić podjęcia pracy. Na dwudziestu pięciu chłopca, siedemnastu zaliczyło odsiadkę w więzieniu, z czego ośmiu siedziało więcej jak jeden raz, a rekordzista spędził za kratami siedemnaście i pół roku. Często w drodze do i z lasu licytowali się, który z nich więcej odsiedzia. Padały dla mnie egzotyczne nazwy miejscowości: Wołów, Rawicz, Wronki, Sztum.

Dzień wypłaty w brygadzie był tradycyjnie dniem wolnym. Nie było sensu gnać osinobusu czterdzieści kilometrów, skoro w lesie praktycznie i tak nikt nie pracował i wszyscy oprócz kierowcy pili kupiony po drodze alkohol. Moja pierwsza wypłata wynosiła milion siedemset tysięcy złotych i starczyła na opłacenie czesnego za pierwszy semestr studiów. Niewielką końcówkę, która miała mi zostać, obiecałem dołożyć Elizie do rachunków i jedzenia, choć pierwotnie zamierzałem kupić sobie spodnie, ale było mi głupio, bo utrzymywała mnie właściwie przez całe wakacje. Idąc na pocztę, spotkałem po drodze Andrzeja Jurczaka, zwanego Hieną, członka naszej brygady.

– A ty co, Młody, nie w Stokrotce? Wszyscy tam już piją. Musisz postawić wkupne – zagadał, podając mi dłoń na powitanie.

– Najpierw muszę iść na pocztę – odparłem.

– Na pocztę jeszcze zdążysz, otwarta do siódmej wieczorem. Chodź lepiej ze mną, poznam cię z fajnymi dziewczynami. Stawiasz wino i ruchanie masz pewne.

– Ale ja mam już dziewczynę – odpowiedziałem, starając się wywinąć.

– I chuj z tego, że masz. Wcale nie każę ci z nią zrywać. Jak nie chcesz ruchać, to przynajmniej wino możesz postawić. Chodź, przejdziemy się, tu niedaleko jest monopolowy. Albo lepiej weź pół litra.

Poszedłem z Hieną do sklepu i kupiłem półlitrową butelkę żytniej.

– Jak razem wypijemy, to pogadam z chłopakami z brygady i przestaną po tobie jeździć jak po łysej kobyłe. Kto nie pije, ten kapuś. Znasz to powiedzenie.

– Ale ja na nikogo nie kapuję – odparłem zmieszany.

– I chuj z tego, że nie kapujesz, ale z nami nie pijesz, więc jesteś już z tego powodu podejrzany. Chodź, poznam cię z moimi koleżankami.

Weszliśmy do starej kamienicy w centrum miasta. Na pierwszym piętrze Hiena bez pukania otworzył drzwi, pokryte zieloną fuszczącą się farbą, z namalowaną na górze, na brązowo cyfrą cztery.

– Dziewczyny, poznajcie mojego kolegę z pracy. Jacek – powiedział, wskazując ręką w moją stronę.

W pokoju, gdzie panował okropny bałagan, przy stole siedziały trzy kobiety w trudnym do określenia wieku. Mniej więcej między trzydziestym a pięćdziesiątym rokiem życia. Na blacie stołu walały się poprzewracane kieliszki, szklanki, butelki oraz resztki nieskonsumowanego jedzenia. Duża, zielona, szklana popielniczka pełna była niedopałków papierosów. Na oparciu jednego z foteli zauważyłem kątem oka pobrudzone gównem białe figi. W całym pomieszczeniu było siwo od nikotynowego dymu. Więc tak wygląda melina – pomyślałem.

– O, jaki młody – powiedziała jedna z nich, wlepiając we mnie wzrok.

– A ładny jak laleczka. Ty, Hiena, taki brzydki, a masz takich przystojnych kolegów – dodała druga, parszając rubasznym śmiechem.

– No, Młody, na co czekasz? Wyskakuj z tej flaszki – powiedział rozkazującym tonem Hiena.

– Dziewczyny przyjechały z Krzywańca na przepustkę i chciałyby się napić i zabawić.

Postawiłem półlitrowkę żytniej na stole. Po jej rozpieniu Hiena zasugerował, żebym dał jeszcze na drugą, bo dopiero załapał smaka. Po wyjściu Hieny jedna z siedzących na wersalce obok mnie kobiet przesunęła się i zaczęła mnie głaskać ręką po kroczu. Zmieszany odsunąłem się od niej.

– O jaki nieśmiały – powiedziała, parsknąwszy śmiechem.

Po kwadransie wrócił Hiena. Przyniósł z sobą dwie butelki wódki i coś do jedzenia, reszty mi nie wydał.

– No, Młody, pokaż, że jesteś gość – powiedział Hiena, napełniając szklankę wódką niemal w trzech czwartych. – Masz pierdolnąć to na raz bez zapitki, inaczej jesteś pizduś.

Przechyliłem szklankę i wypilem niemal do dna. W oczach pojawiły mi się łzy.

– No, Młody, jak na pierwszy raz nie najgorzej. Będą z ciebie jeszcze ludzie – powiedział Hiena, uderzając mnie mocno otwartą ręką w plecy.

Podczas picia trzeciej butelki urwał mi się film. Obudziłem się przed piątą po południu. Obok mnie na łóżku pochrapywał Hiena. Kobiet, które z nami piły, nie było w mieszkaniu. Momentalnie wytrzeźwiałem, gdy zajrzałem do portfela. Nie było w nim nic oprócz dokumentów.

– Ty, Andrzej, gdzie moja kasa? Gdzie te kobiety? – Szarpiąc Hienę za rękę, starałem się go dobudzić.

Hiena otworzył zapuchnięte oczy.

– Co? Nie masz kasy? – zdziwił się Hiena. – To chyba te kurwy musiały ci ją wyciągnąć, jak spałeś. Ja odjechałem zaraz po tobie. Było za duże tempo.

Na drugi dzień stanąłem na progu rodzinnego domu. Ojciec przywitał mnie z marsową miną. Niewątpliwie był to powrót marnotrawnego syna.

– Wiesz, tato – powiedziałem skruszony – dzwoniłem na Uniwersytet Wrocławski. W drugim naborze na prawo pozostało jeszcze dziesięć wolnych miejsc.

– A ile ci potrzeba? – spytał szorstko ojciec.

– No, jedno – odpowiedziałem lakonicznie.

– To pozostało jeszcze dziewięć – skwitował ojciec.

Nazajutrz wybrałem się do miasta na zakupy. Przechodząc obok kancelarii ojca, ku mojemu ogromnemu zdziwieniu, zobaczyłem pod jej drzwiami ojca rozmawiającego nie z kim innym jak moim kumplem z ostatniej libacji, czyli Hieną. Ojciec wręczył mu plik banknotów, po czym uściśli sobie dłonie jak starzy dobrzy kumple i rozeszli się każdy w swoją stronę.

Na Dzień Narodzenia

Czyż odległych wspomnień nie utrwala
Nocy Wigilijnej magia?
Kolorowe drzewka, anioły, święty Mikołaj,
Kolędy i prezenty nie do powtórzenia przez rok cały
Miasto wyciszone gdzieś za świąteczną dekoracją
W tle czarowne chwile – nie sposób być samotnym
Dla bliskich pozostać z serdeczną wzajemnością
I zapalać ognie niosące biblijną prawdę
Pierwsza gwiazda domom przynosi niebo rozgwieżdżone
Łączy we wspólnym uczuciu smak i zapach
Maria w bieli z Dzieciątkiem
Pod drzewkiem pastuszkowie wśród Trzech Króli
Cudowny nastrój niesie muzyka
Wśród nocnej ciszy najgłośniejszej w historii
Gdy bezsilne diabły są na urlopie
Nic nie zmieni dawnych obyczajów

Zielona Góra, 24 grudnia 2017

Wigilijna noc książek

W magazynie książek wigilijny niepokój
Po raz pierwszy zabrały głos dzieła
Brak porządku i hierarchii na półkach – mówiły o północy
Szalona przypadkowość foliały w szafie ułożyła
Na samej górze półka z dziełami Konfucjusza
Obok Dostojewski – czyja to wina?
Kto dawno przebrzmiało prawdy tak blisko dzieł słusznych pomieścił
Stare wciąż wśród nowego skutecznie się przepycha
Słowacki przygnieciony encyklopedią radziecką
Ówdzie strony wyrwane pewnie ręką dziecka
Słownik polsko-czeski bez przivuku
Węgierski z natury niezrozumiały
Na półce górnej już dwa lata gości
Norwid – szata zniszczona, jak za życia poety
Kuchenne foliały, czekające swojej chwili bzdety
Książnica długo trwała w nocnej dyspucie
Kiedy wreszcie doświadczy wigilijnej podniety?

Zielona Góra, 5 stycznia 2018

Zrobił tu wszystko, co miał do zrobienia

O gdańskim i zielonogórskim Andrzeju K. Waśkiewiczu z Anną Sobecką rozmawia Mirosława Szott



Anna Sobecka

„Poznanie Andrzeja – to najważniejsze i najlepsze, co mnie w życiu spotkało” – napisała Pani we wstępie do książki pt. *Andrzej*. Może Pani zdradzić, w jakich okolicznościach poznała się z Andrzejem K. Waśkiewiczem i jakie wtedy robił na Pani wrażenie?

Andrzeja poznałam wkrótce po tym, jak zaczęłam pracować w radiu w Zielonej Górze. To było jesienią w roku 1971, wtedy zbliżał się jubileusz dzie-

zbiórka

sięćlecia zielonogórskiego oddziału ZLP i miałam z tej okazji przygotować audycję. Podpowiedziano mi, że osobą, która najwięcej wie o tym środowisku literackim, jest Andrzej Waśkiewicz. Najlepiej skontaktować się z nim w redakcji „Nadodrza”, bo tam pracuje, byle nie przed godziną 12, bo on śpi do południa – radzili mi. Skontaktowałam się z nim, umówiliśmy się, powiedziałam, o co chodzi. Andrzej przyszedł do radia i pierwsze wrażenie to było zaskoczenie. Dlaczego? Nie znałam Andrzeja osobiście, ale jedną z trzech książek, jakie kupiłam zaraz po przyjeździe do Zielonej Góry, był informator pt. *Lubuskie środowisko literackie* (wydany w 1970), bardzo zresztą przydatny w mojej pracy. Poza tym pozwalał też orientować się w tym, co powinienam przeczytać. Skąd jednak wynikało zaskoczenie? Na okładce książki było zdjęcie Andrzeja: młody, sympatycznie wyglądający człowiek, z tak charakterystycznie lekko przymrużonymi oczami, króciutko ostrzyżony – no cud, miód. A tymczasem na to spotkanie do radia przyszedł gość w skórzanej kurtce 7/8 (to była jesień), z długimi do ramion włosami – nie za bardzo zadbanymi.

Jak się wtedy zachowywał? Co mówił?

Andrzej zachowywał się dość charakterystycznie dla siebie (jak się potem przekonałam): chodził powolnym krokiem od okna do drzwi, paląc papierosa (wszyscy wtedy paliliśmy). „No to co pani właściwie ode mnie chce” – zapytał. Więc tłumaczyć: przygotowuję audycję na dziesięciolecie oddziału. Andrzej na to: „I pewnie mam powiedzieć pani, jaka ta literatura lubuska jest wybitna. Otóż, proszę pani, ona wcale taka wybitna nie jest”. I pewnie zobaczył prerażenie w moich oczach. Bo za moment mamy zejść do studia i będziemy nagrywać. Czego po takim wprowadzeniu miałam się spodziewać? „Ale niech się pani nie martwi, ja rozumiem, pani musi tę audycję zrobić – dodał. – Kilka ciekawych zjawisk to tu jest. Absolutnym zjawiskiem, oryginalnym, jest cygańska poetka Papusza, dobrą prozę pisze Irena Dowgielewicz, ciekawą poezję – Zdzisław Morawski i jest jeszcze Zygmunt Trziszka, który przekroczył już ramy literatury lubuskiej, wydaje w Warszawie, jest znanym pisarzem nurtu chłopskiego i osiedleńcze-

go”. Nie pamiętam, których pisarzy jeszcze wtedy wymienił. Rozmowa została nagrana i wykorzystana w audycji.

Co w nim jako mężczyźnie zwróciło wtedy Pani uwagę?

Wrażenie zrobił na mnie jego dystans. Pokazywał, że nie traktuje wszystkiego emocjonalnie. Potem się przekonałam, że to jest jedna z cech Andrzeja. Bywaliśmy na tych samych spotkaniach dziennikarskich, na tymże jubileuszu i przy innych okazjach. No i był przystojnym mężczyzną – to przede wszystkim. Andrzej mi się spodobał, ale zaskoczyła mnie ta różnica między krótko ściętym chłopakiem ze zdjęcia a mężczyzną z lekką nonszalancją. Chociaż on taki nie był, jak się potem przekonałam, ale wrażenie to wrażenie. Proszę sobie uświadomić: Andrzej miał wtedy zaledwie trzydzieści lat, a już był autorytetem. Po tej pierwszej rozmowie zapadła mi też w pamięć jego erudycja. Był nieprawdopodobnie odcytany i zorientowany w jakichś przedziwnych zupełnie rejestrach i rewirach literatury, socjologii, filozofii. Andrzej czytał bardzo dużo i szybko, ale najważniejsze, że nie czytał „po łebkach”. Zdumiewała mnie zawsze jego koncentracja przy lekturze i niesamowita pamięć! Słowackiego znał na wyrywki. Miał pamięć do literatury, ale nie do rzeczy przyziemnych. Zapominał daty, numery telefonów. Była taka sytuacja, która to ilustruje: pojechał do Warszawy i miał wrócić tego samego dnia. W Warszawie okazało się, że musi zostać dłużej. Chciał mnie powiadomić o tym, ale... nie pamiętał numeru telefonu do domu. Zadzwoił więc do naszej przyjaciółki w Gdańsku (miał w notesie zapisany numer) i prosił ją o pomoc.

Jakie cechy stawały się ważniejsze z biegiem lat?

Oczywiście mówi się, że pomagał młodym poetom, że był takim patronem, opiekunem. To wszystko prawda. Ale to są jego kompetencje i zainteresowania profesjonalne. On sprawiał wrażenie – jak już mówiłam – że z nonszalancją traktuje różne wypowiedzi, sytuacje. Ale za tym kryła się wielka wrażliwość i skromność. Bardzo łatwo było go zranić

i to się wielokrotnie działo. Ale nie był pamiętliwy. Takie zdarzenie dawało mu pewną wiedzę o kimś, ale nie pielęgnował w sobie uraz. Miał delikatną konstrukcję, co pokrywał może swoim dystansem, jakby mu nie zależało na niczym. Był niezwykle życzliwy ludziom i zawsze – jeśli mógł – pomagał. Z czasem dopiero przekonałam się, że boi się kontaktu z bardzo małymi dziećmi. Co innego gdy dziecko już biega, chodzi, zaczyna mówić – wtedy można nawiązać jakąś relację. Ale wziąć niemowlę na ręce – to było ponad jego siły. Bał się, że je upuści, zrobi mu krzywdę. Czasem na chwilę wziął becik z maluchem (jak to było konieczne), ale stał wtedy w bezruchu z wyciągniętymi rękami.

Pan Andrzej wspominał nieraz, że nie był ławym dzieckiem. Określał siebie jako rozpieszczonego chłopca. To podobno z jego powodu przeprowadzali się z mamą raz na wieś, a innym razem – do miasta. Trudno uwierzyć, że nagle dorósł, zmienił się. Kiedy z jedynaka-egoisty stał się społecznikiem i altruistą?

Myślę, że to się stało w okresie dorastania. Gdy był uczniem technikum, jego mama miała zawał serca i przeszła na rentę. Andrzej w tej sytuacji stał się po prostu jej opiekunem. Nie miał ojca, a emocjonalnie był z mamą silnie związany. Wtedy też uświadomił sobie, że może jej zabraknąć. Sądzę, że ta sytuacja pomogła mu szybko dojrzeć, stać się bardzo odpowiedzialnym, i tamtego rozkapryszanego chłopczyka już tylko wspominał, zawsze z uśmiechem. A ponieważ literatura stała się jego życiem, a z natury był człowiekiem dobrym, to gdy mógł – robił coś dla innych.

Czy łatwo było się przyjaźnić z panem Andrzejem?

Andrzej miał mnóstwo znajomych z całej Polski. Wynikało to z faktu, że zajmował się młodymi poetami, jeździł na różne konkursy, uczestniczył w seminariach, zjazdach, konferencjach literackich. Miał wielu przyjaciół, niektóre z tych przyjaźni to były tzw. dozgonne. Ale też pielęgnował te przyjaźnie, wiem, że był lojalny, co jak wiadomo ważne jest szczególnie w trudnych sytuacjach i – jak już mówiłam – był życz-

liwy i pomocny w potrzebie. Miał też umiejętność wyłapywania w ludziach fałszu i doskonale wiedział, kiedy ktoś tylko udaje przyjaźń, koniunkturalnie. Po prostu to wiedział.

Natomiast nie miał w sobie potrzeby, żeby na siłę podtrzymywać kontakty prywatne, np. z dalszą rodziną, jeśli nie było wspólnego języka, tematów, zainteresowań. To samo dotyczyło przygodnych znajomych, sąsiadów. Nie chciał tracić czasu na banalne spotkania, które niewiele dają.

Jak wyglądało jego domowe miejsce pracy? Czy lubił porządek, bałagan na biurku? W jakich godzinach pracował?

Andrzej był niesamowicie pracowity. Co ciekawe, nie pisał „na brudno”. Od razu pisał na maszynie, co pokazuje jego dyscyplinę myślenia, ale też to, że gdy siadał do maszyny – miał bardzo dobrze prze-myślane: co chce, co zamierza napisać. Oczywiście, z wyjątkiem notatek w czasie jakichś spotkań i – to bardzo ważne – notatek do wierszy, pierwszych poetyckich szkiców. To pisał ręcznie, często nieczytelnie, w notesach, na kartkach.

Jeśli chodzi o jego rytm pracy, to wszelkiego rodzaju korekty, redagowanie tekstów, antologii, tomików, czytanie tekstów i korespondencja – to wszystko robił w dzień. Natomiast rzeczy dla niego najważniejsze (np. kiedy pracował nad książką lub nad esejem) pisał w nocy. Podobnie było z wierszami, gdy chodziło o ich ostateczny kształt. Lubiał pracować w nocy, bo było cicho, nikt mu nie przeszkadzał. Zawsze miał na biurku mnóstwo papierów i książek, te zresztą leżały też na oparciach fotela, na stoliku, zawsze pod ręką. Czytał bardzo dużo, nie tylko lektury potrzebne do pracy, nie tylko teksty nadsyłane do oceny czy do druku, ale bardzo wiele książek z różnych dziedzin, co dawało mu niezwykle bogatą wiedzę.

Myślę, że Andrzej był świadomy, że to, co osiągnął, zawdzięczał tylko sobie. Nie dała mu przecież podstaw literaturoznawczych i krytycznoliterackich nauka w technikum rolniczym. A zaraz po studium rocznym w Jarocinie debiutował jako krytyk we „Współczesności” tekstem o Białoszewskim (za który otrzymał III nagrodę w ogólnopolskim konkursie).

Jak odreagowywał stresy, trudne sytuacje? Czy umiał odpoczywać?

Odreagowywał, czytając: książki, prasę, najdziwniejsze czasopisma, a także oglądając znaczki. Tak, odprężały go obserwacje banalne: co dzieje się na ulicy, w warzywniaku, na sąsiedniej budowie. W Gdańsku miał akwarium, stało na regale przy biurku. I wiem, że obserwowanie tego świata w szklanym pudle bardzo go uspokajało. Lubił też oglądać telewizję – programy informacyjne, publicystyczne, które czasami niezwykle go rozbawiały, komentował „te durnoty” i niekiedy wykorzystywał w felietonach. Odpoczywał, chodząc po lesie, obserwując przyrodę.

Podobno niezbyt dobrze tańczył?

Tancerzem był fatalnym. Żadnego poczucia rytmu, żadnego słuchu. Ze śpiewaniem też było ciężko. Wiem, że odpoczywał, jak jechaliśmy na wieś, do moich rodziców. Lubił też jeździć z chłopakami w Bieszczady czy do Zakopanego. Nie był jakimś wytrawnym górolazem, ale lubił spacerować. Uczył nasze dzieci obserwować przyrodę. A z kolei od dzieci ze wsi czerpał inne spojrzenie, bo dla nich przyroda to była codzienność.

Czy miała kiedyś Pani poczucie, że jest w cieniu męża?

Zajmowaliśmy się czymś innym. Na obszarze literatury spotykaliśmy się w ten sposób, że także miałam kontakt z poetami. Każde z nas jednak robiło swoje. Ja byłam dziennikarką radiową, zajmowałam się również tłumaczeniem literatury, mniejszościami narodowymi – to mnie fascynowało. Andrzej bardzo mi kibicował i w bardzo wielu rzeczach doradzał. Nigdy nie miałam poczucia, że jestem w jego cieniu. Ale też nigdy nie miałam najmniejszej potrzeby, żeby w jakiś sposób rywalizować z Andrzejem. On był tak wyjątkowym człowiekiem, tak niezwykłym, że frajdą było być tuż przy nim. Ale nie bez powodu zostałam przy swoim nazwisku. Nie chciałam, by w Zielonej Górze czy w regionie pytano mnie, czy jestem żoną „tego Waśkiewicza”. Wydaje mi się, że oboje dobrze się ze sobą czuliśmy, dlatego to był naprawdę dobry związek.

Jak by Pani chciała, żeby go zapamiętano – tu w Zielonej Górze?

Jako kogoś, kto wiele tutaj zrobił, dla środowiska literackiego, dla młodej wówczas literatury. I przede wszystkim jako dobrego człowieka – bo takim był.

Co on mógłby powiedzieć, gdyby słyszał, że tworzy się w Zielonej Górze legenda jego postaci?

Myślę, że w głębi ducha by się cieszył. Ale na pewno starałby się tego nie okazać, bo był bardzo skromny. To ważna jego cecha. Znalazłby też na to jakiś racjonalne uzasadnienie. Andrzej zawsze uważał, że w środowiskach regionalnych, lokalnych powinno się dopieszczać, doceniać, pielęgnować pamięć o tych, którzy w tym środowisku tworzyli. Dlatego bardzo cieszył się, że w Gorzowie jest Ogólnopolski Konkurs Literacki im. Zdzisława Morawskiego. Nawet sam uczestniczył w nim jako juror. Cieszyły go Furmanki. Z pewnością podobałoby mu się to, że Festiwal Literacki w Zielonej Górze nosi dziś imię Anny Tokarskiej. Wracając do odpowiedzi – myślę, że cieszyłby się, ale pewnie by to skwitował jakimś żarciem.

Miał jakiś ulubiony dowcip, który często powtarzał?

Miał ich wiele, na ogół odnoszących się do konkretnych sytuacji. Gdy zaczęły mu się rodzić wnuki, często powtarzał: „Co jest najgorsze w wychowywaniu dzieci? Pierwsze trzydzieści lat”.

Czym różni się zielonogórskie postrzeganie Waśkiewicza od gdańskiego?

W Zielonej Górze Andrzej rozpoczynał drogę poetycką, debiutował, rozwijał się, współtworzył środowisko. Do Gdańska przyjechał z ugruntowanym już nazwiskiem. Nie był już tylko poetą, pisarzem lubuskim, ale był znany w kraju, miał markę jako Waśkiewicz. W gdańskim środowisku znał wiele osób. Cenił niekoniecznie tych, którzy byli najbardziej fetowani; ubolewał, że niektórzy są niedocenieni, bo nie mają „parcia na szkło”. Jeden z autorów książki napisał o nim, że był sprawiedliwym człowiekiem. Myślę, że wiele osób w środowisku gdańskim tak go właśnie widziało.

Jakie znaczenie miała dla Waśkiewicza peregrynacja zorganizowana przez Eugeniusza Kurzawę w 2011 roku?

Ogromne. Organizując tę wyprawę, Gienek zrobił Andrzejowi wielką przyjemność i frajdę! W wielu miejscach przecież Andrzej był od wyjazdu stamtąd po raz pierwszy. A upłynęło wiele lat. W Lubsku nie był nigdy, w Starym Zagorze, w Dychowie, Szprotawie. To, że mógł odświeżyć swoje dziecięce przeżycia, wspomnienia, to dało mu wiele pozytywnych emocji i dobrej energii.

Czy żałował wyjazdu do Gdańska?

Nie żałował. Chyba zrobił tu, w Zielonej Górze, wszystko, co miał do zrobienia. Gdyby nie miał propozycji z Gdańska, wyjechałby pewnie gdzieś indziej. Nowe wyzwania lubił i zabierał się do nich z entuzjazmem, a Gdańsk był takim wyzwaniem...

Co by Pani zrobiła, gdyby dziś przyszedł w kurtce 7/8, z długimi włosami i papierosem?

Byłabym bardzo szczęśliwa. Bardzo.



Jest pan szlachcicem?

Wspomnienie o Zygmuncie Kowalczuku

Długo myślałem, kim w mojej pamięci pozostanie Zygmunt Kowalczuk (1963-2017). Nie był dla mnie księdzem, bo poznałem go jakiś czas po zerwaniu z sutanną. Ten wizerunek nie pasował mi zresztą do jego sylwetki, do twarzy. Istnieją przecież rysy skrojone jakby pod koloratkę. Rumiane, nalane. Nie był dla mnie Zygą, tak jak dla Radka Domkego, kolegi z uczelnianego instytutu. Ani współpodróżnikiem ze wspomnień poety Bolka Wierzbickiego. Był doktorem historii. Będę go kojarzył z poniedziałkami, gdy z dworca jechałem na poranne wykłady z historii Polski. Na styk, czasami z niedoczasem. Łączyła nas miejscowość. Biecz był jego rodzinnym miejscem. Stamtąd wywodzi się również część mojej rodziny. Nigdy tam nie byłem.

Chciał być nieszablonowym wykładowcą. Piszę „chciał”, ponieważ nie był w tym konsekwentny. Wydaje mi się, że walczył ze sobą w jakiejś mierze. Z rozmów, które odbyłem z Jołą Pytel, Bolkiem Wierzbickim i Czesławem Markiewiczem, wyłania się bowiem postać Zygmunta, który chciał w każdej z podejmowanych czynności być arystokratą. Myślę tu o jego ewidentnej potrzebie swobodnego poruszania się po erudycyjnych zakątkach literatury, kapaństwa i nauki. Znał świetnie języki. Z uczelnianych anegdot wypływają historie o jego nieszablonowych możliwościach retorskich i translatorskich. Na twarzy mojego nauczyciela historii, dzięki któremu przeczytałem *Polskę Piastów* i *Polskę Jagiellonów* Pawła Jasienicy, krył się jednak zauważalny grymas. Myślę, że stało za tym niespełnienie. Są rodzaje cierpienia, które nie kumulują się w jednej chwili, ale wytrwale pracują w nas, by przekształcić twarz w maskę. To cierpienie było jednak na tyle wyrafinowane i prze-



Zygmunt Kowalczuk

biegłe, by wykształcić u Kowalczuka twarz plebejską i sarkastyczną, zmęczoną od czarnego śmiechu. Andrzej Krzysztof Waśkiewicz nie zrobił doktoratu ani habilitacji, bo wolał pozostać sobą i nie utknąć w akademickim obyczaju. U Kowalczuka było na odwrót. Sutanna, tytuł naukowy i krakowska szkoła poezji mogły być kostiumami, którymi uzupełniał ambicje matki i torował drogę swoich ucieczek. Nigdy niczego nie dokończył. Cały czas w połowie drogi między jedną a drugą sferą życia.

Pamiętam, że każdą prelekcję zaczynał od przeczytania swojego wiersza. Jednego razu wszedłem w połowie wykładu i od razu rzucił w moją stronę: „panie Januszu, a czy pan jest szlachcicem?”. Odpowiedziałem: tak. Mimowolnie, bez zastanowienia, po freudowsku. Kowalczuk był szlachcicem bez stałego

miejsca, choć ukochał Biecz. Pisał o jego *genius loci*. Zastanawiała go szlachecka przeszłość tego zakątka. Wspominał często ród Wiedebachów, który władał Bieczem. Wracał tam do matki. Sporą część poezji właśnie jej poświęcił.

Pasją Kowalczuka było podróżowanie. Wraz z matką chciał pojechać do rodzinnej miejscowości na Ukrainie. W Krakowie postanowili jednak, że wrócą do Biecza. „Tam jest nasza ojczyzna, synu” – powiedziała. Upodobał sobie Włochy. Jego wojaże będą mi się już zawsze kojarzyć z Bolkiem Wierzbickim. Chodzi o okoliczności. Siedzieliśmy w chyboczącej się łódce na kęszyckim, mętym jeziorze. Poeta z Dłużka mówił o wojażach z Zygmuntem, lękliwie patrząc na podskakujące dno. Po upalnym dniu przyszła zimna noc. Woda parowała. A ja słuchałem o Zygmuncie, szczerym koledze. Każdy ma sobie przynależny lęk. Ja mam lęk wysokości, a most z podziurawionym dnem to jeden z szablonowych już moich koszmarów. Ciekawe, jak swój największy lęk nazwałby profesor z Biecza.

Poezja Kowalczuka nie należy do nurtu, który ze mną się rymuje. Cóż to właściwie musiałby być za nurt? Czerpał z innych, chciał uciec od kaznodziejского tonu. Inspirował się poezją Józefa Barana, Karola Wojtyły, Zbigniewa Herberta. Gdzieś prześwitywał Jerzy Hajduga (czynny ksiądz). Brakowało mi w tych tekstach powietrza, jego samego. Nigdy nie przepadałem za kulturowymi wycieczkami w literaturze. Był zbyt śródziemnomorski w języku, choć chciał pisać przejrzyście jak ks. Twardowski. Ma kilka wierszy, w których ewidentnie czuć było jego ucieczkę. Coś w rodzaju „zapisków z kliniki”, gdzie leczył serce,

umysł i niespełnienie. I tutaj widać go było bardziej. Bliższa mi była muzyczna adaptacja jego wybranych wierszy, której dokonała grupa Wyspa z Żar. Swego czasu prężnie z nimi współpracował. To ta muzyka uzupełniła radiowe wspomnienie Kowalczuka, które nagrywałem z Czesławem Markiewiczem.

W mojej pamięci pozostanie jeden z najdziwniejszych egzaminów uniwersyteckich. Podzielił nas na trzy grupy, a na wskazaną godzinę nie przyszedł. Pierwsza grupa zdała więc teorię awansem. Druga była odpytywana na wyrwyki. Szczęśliwcy dostawali ocenę na wejście. Ja zostałem wybrany. Pytał mnie o Koronę Królestwa Polskiego. Po egzaminie, na stolówce, podszedł do mnie i zapytał, czy „był stres”. Nie pamiętam, co odpowiedziałem. To był pierwszy egzamin na studiach i od razu jeden z najbardziej osobliwych. Czym byłaby jednak polonistyka bez takich historii, przypadkowych ocen i dziwactw?

Ostatni raz zobaczyłem go w Lubsku, gdzie pojechałem z Mirą na wieczór autorski Bolka Wierzbickiego. Do dzisiaj zastanawiam się, czy to na pewno był on. Szedł w czapce, pochylony. Pamięć do twarzy jak dotąd mnie jednak nie zwiodła. Byłem pewien, że przyjdzie posłuchać, co poeta Wierzbicki miał na myśli, ale odpuścił. Nie wiem, czy za zaułkiem nie spotkał swojego największego wroga.

Jest w roku 1963 coś ze złowróżbnego zaklęcia. Na pewno dla Ziemi Lubuskiej i jej dzieci. Marek Grewling, poeta i ksiądz (czuł się głównie poetą, mocno to akcentował), urodził się w tym samym roku, co Kowalczuk. Obaj przeszli już na drugą stronę. Dręczyła ich natarczywość życia. Wybiegli spóźnieni nie na swoje pociągi.

Czasopisma społeczne, kulturalne, artystyczne i literackie we współczesnej bibliotece

W dniach 8-9 listopada 2017 roku w Wojewódzkiej i Miejskiej Bibliotece Publicznej im. Cypriana Norwida w Zielonej Górze odbyła się konferencja naukowa pt. *Czasopisma społeczne, kulturalne, artystyczne i literackie we współczesnej bibliotece*. Organizatorzy dwudniowego sympozjum (WiMBP im. C. Norwida w Zielonej Górze, Instytut Informacji Naukowej i Bibliotekoznawstwa Uniwersytetu Wrocławskiego, Komisja Prasoznawcza Polskiej Akademii Nauk w Krakowie, Pracownia Dziennikarstwa Instytutu Filologii Polskiej Uniwersytetu Zielonogórskiego oraz Akademia im. Jakuba z Paradyża w Gorzowie Wielkopolskim) zaprosili do dyskursu na temat skali i charakteru zjawiska obecności czasopism społecznych, kulturalnych, literackich, artystycznych z perspektywy komunikacji społecznej i wydawniczej oraz w aspekcie bibliograficznym i prasoznawczym. Jako ważny cel debaty obrano również kwestie związa-

ne z tworzeniem, promocją, rozpowszechnianiem i udostępnianiem czasopism przez biblioteki.

Plan merytoryczny spoczął w gestii Rady Programowej w składzie: dr Andrzej Buck, dr Przemysław Bartkowiak i dr Robert Rudiak z WiMBP im. Cypriana Norwida w Zielonej Górze; dr hab. Jolanta Chwastyk-Kowalczyk, prof. Uniwersytetu Jana Kochanowskiego w Kielcach; dr hab. Małgorzata Czerwińska, prof. Uniwersytetu Zielonogórskiego; ks. dr hab. Andrzej Draguła, prof. Uniwersytetu Szczecińskiego; prof. zw. dr hab. Ignacy Stanisław Fiut z Akademii Górniczo-Hutniczej im. Stanisława Staszica w Krakowie; prof. zw. dr hab. Jerzy Jarowiecki z Komisji Prasoznawczej Polskiej Akademii Nauk w Krakowie; dr hab. Bożena Koredczuk, prof. Uniwersytetu Wrocławskiego; dr hab. Grzegorz Nieć, prof. Uniwersytetu Pedagogicznego im. Komisji Edukacji Narodowej w Krakowie; dr hab. Magdalena Rabizo-Birek, prof. Uniwersytetu



Rzeszowskiego; prof. zw. dr hab. Elżbieta Skorupska-Raczyńska oraz dr Przemysław Słowiński z Akademii im. Jakuba z Paradyża w Gorzowie Wielkopolskim; dr hab. Magdalena Steciąg, prof. Uniwersytetu Zielonogórskiego; Elżbieta Stefańczyk ze Stowarzyszenia Bibliotekarzy Polskich; prof. Ph. Dr. Jiří Trávníček z Instytutu Literatury Czeskiej Akademii Nauk Republiki Czeskiej; dr Joanna Wawryk z Uniwersytetu Zielonogórskiego; dr hab. Ryszard Zaradny, prof. Uniwersytetu Zielonogórskiego. Nad porządkiem obrad i logistyką czuwał Komitet Organizacyjny: Ewa Mielczarek, Monika Simonjetz, dr Paweł Kalisz, dr Dawid Kotlarek oraz dr Janusz Rećko.

Patronat nad wydarzeniem objęły: Stowarzyszenie Bibliotekarzy Polskich, Fundacja Rozwoju Społeczeństwa Informacyjnego, Stowarzyszenie Dziennikarzy Lubuskich, „Bibliotekarz”, „Biblioteka Publiczna”, „Bibliotekarz Lubuski”, „Zielonogórskie Studia Bibliotekoznawcze”, serwis biblioteczny Lustro Biblioteki.

Konferencję otworzył dr Andrzej Buck, dyrektor Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki Publicznej w Zielonej Górze. W słowie wstępnym podkreślił wagę zagadnienia i celowość spotkania, podziękował wszystkim za przybycie. Pierwszego dnia wysłuchano siedmiu wystąpień. Sesję przedpołudniową moderował dr hab. Grzegorz Nieć. Sesję popołudniową – dr hab. Magdalena Rabizo-Birek, która wygłosiła inauguracyjne wystąpienie *Przemiany pism literacko-artystycznych „przełomu” na przykładzie kwartalnika literacko-artystycznego „Fraza”*. Profesor Uniwersytetu Rzeszowskiego, a jednocześnie redaktor naczelna „Frazy” podkreśliła, że jest to pismo „długiego trwania”, przeznaczone do niespiesznej lektury, które pozostanie, jak książka, jako pewne świadectwo czasu. Zaznaczyła, że w losy większości czasopism wpisana jest niepewność finansowa. Małe zainteresowanie czytelnicze i problemy z dystrybucją przyczyniają się do upadku wartościowych tytułów. Stan, w jakim znajdują się pisma literacko-artystyczne, określiła w metaforycznej formule zbiorowej monografii pod swoją redakcją jako „boom

i kryzys” jednocześnie¹. Profesor Trávníček przeniósł słuchaczy w realia czeskie. W prezentacji *Czeskie czasopisma literackie i ich czytelnicy* przedstawił specyfikę czeskich czasopism kulturalnych i literackich, w tym formy ich funkcjonowania w internecie. Odnosił się do wyników badań. Wynika z nich m.in., iż osoby, które nie czytają książek, deklarują lekturę czasopism (2/3 „nieczytelników” książek czyta czasopisma). Łączy się to z fragmentaryzacją czytania, lekturą bez barier, która nie wymaga wygospodarowania większej ilości czasu wolnego. Pierwszą sesję zamknął referat prof. UJK, dr hab. Jolanty Chwastyk-Kowalczyk *Emigracyjne czasopisma literacko-artystyczne edytowane w Wielkiej Brytanii w XX i XXI wieku*. Wśród omawianych tytułów znalazły się: „Oficina Poetów”, „Pamiętnik Literacki”, „Ekspresje”.

Cykl popołudniowy rozpoczął dr Marcin Krawczuk, zapoznając audytorium z kolekcją czasopism otrzymaną w latach 90. XX wieku przez Bibliotekę Uniwersytecką w Warszawie od Instytutu Polskiego i Muzeum im. gen. Sikorskiego w Londynie. Podczas prac nad opracowaniem zbioru udało się zidentyfikować tytuły dotychczas nieznane w polskich zasobach, np. „Goreją Wici”, „Ziarno Prawosławne”. Wszystkie periodyki zostały skatalogowane. Z uwagą spotkał się referat dra Krzysztofa Wasilewskiego z WiMBP im. Zbigniewa Herberta w Gorzowie Wielkopolskim *Rola i funkcje czasopism kulturalnych i społecznych wydawanych przez mniejszości narodowe i etniczne oraz społeczności imigranckie*. Prelegent przybliżył takie tytuły, jak „Jaskółka Śląska”, „Romana Alma”, „Daily Resistance”, podkreślając ich rolę i funkcje daleko wykraczające poza tradycyjne ramy przypisane temu segmentowi prasy. Budowanie tożsamości, dostarczanie informacji bieżących i historycznych o danej grupie społecznej, nadawanie kierunku, w jakim społeczność ta będzie się asymilowała i integrowała – to tylko niektóre z wiodących aspektów. Popołudniowe obrady zwieńczył temat: *Dawne i współczesne czasopisma na rynku wtórnym*. Dr hab. Grzegorz Nieć wymienił tytuły periodyków znajdujących się wśród zdominowanego przez

1 *Boom i kryzys: nowe czasopisma literacko-artystyczne i społeczno-kulturalne w Polsce po roku 1980*, red. M. Rabizo-Birek, Rzeszów 2012.

książki asortymentu antykwarycznego, wskazał na walory bibliofilskie konkretnych obiektów. Pierwszy dzień konferencji podsumował panel dyskusyjny nt. *Czy potrzebne są nam czasopisma literackie?*, z udziałem redaktorów naczelnych czasopism literackich. Słowo wprowadzające wygłosiła dr hab. Jolanta Chwastyk-Kowalczyk. Dr hab. Magdalena Rabizo-Birek reprezentowała kwartalnik literacko-artystyczny „Fraza”, ks. dr hab. Andrzej Draguła – pismo społeczno-kulturalne „Więź”, dr Andrzej Buck – lubuskie pismo literacko-kulturalne „Pro Libris”, Ireneusz Krzysztof Szmidt – czasopismo literackie „Pegaz Lubuski”. Ks. dr hab. Andrzej Draguła podkreślił, że instrumentem regulującym wydawanie czasopism stają się finanse. Profesor UR, dr hab. Magdalena Rabizo-Birek w trakcie dyskusji zaapelowała o kompletowanie czasopism, zwłaszcza lokalnych, ponieważ są one unikalnym źródłem informacji, bezcennym świadectwem czasu. W tym obszarze wiodąca jest rola bibliotek. Książnica jest miejscem, w którym takie czasopisma się gromadzi, często digitalizuje i wprowadza do obiegu czytelniczego, umieszczając w bibliotece cyfrowej, poprzez którą mają one szansę znaleźć swojego odbiorcę. Zdarza się, że biblioteki i stowarzyszenia bibliotekarskie są również wydawcami tego typu czasopism. Profesor UP, dr hab. Grzegorz Nieć zasugerował, że wydawanie almanachu, będącego trybuną literacką regionu powinno być ustawowym zadaniem biblioteki.

Drugi dzień konferencji rozpoczął się od warsztatów dziennikarskich dla bibliotekarzy. Praktyczne ćwiczenia prowadziła dr hab. Jolanta Chwastyk-Kowalczyk. Dwugodzinne zajęcia obejmowały problematykę implementacji narzędzi public relations w bibliotece, przestrzeni internetu jako platformy przedsięwzięć budujących relacje z otoczeniem. Omówione zostały gatunki dziennikarskie wykorzystywane w pracy bibliotekarza (informacyjne, publicystyczne, pograniczne) – z odwołaniem do konkretnych przykładów zamieszczanych na stronach internetowych bibliotek.

O godzinie 10.15 rozpoczęły się prezentacje kolejnych zagadnień. W ramach pierwszej sesji, moderowanej przez dr hab. Bożenę Koredczuk, prof. Uniwersytetu Wrocławskiego, wysłuchano pięciu prelekcji: *Czasopisma literaturoznawcze w polskich bibliotekach cyfrowych, repozytoriach i bazach bibliograficznych* (Beata Mirkiewicz, Biblioteka Uniwersytetu Zielonogórskiego), *„La Revue et Gazette Musicale de Paris” unikalna kolekcja czasopism w zbiorach NFC* (Tamara Podgórska-Binieć, Biblioteka-Fonoteka-Fototeka Narodowego Instytutu Fryderyka Chopina w Warszawie), *Od druku do e-booku. Przypadek „Więzi”* (ks. dr hab. Andrzej Draguła, prof. US; Uniwersytet Szczeciński), *Czasopismo „Kino” jako źródło do badań filmoznawczych i historycznych na przestrzeni ostatnich 50 lat* (dr hab. Radosław Domke, Uniwersytet Zielonogórski),



„Czas My – czas Ja” – współczesne czasopisma kulturalno-literackie na Warmii i Mazurach (Anita Romulewicz, Wojewódzka Biblioteka Publiczna im. Emilii Sukertowej-Biedrawiny w Olsztynie). W większości wystąpień oraz podczas wypowiedzi podsumowujących podkreślano zjawisko ewolucji czasopism i ich zwrot w kierunku różnorodności. Anita Romulewicz mówiła o czasie „otwarcia”, nowym modelu czasopiśmiennictwa związanego z kulturą, sztuką i literaturą, gdzie doświadczenie spotyka się ze świeżym spojrzeniem, gdzie zachodzą zmiany w obszarach: wydawca – autor, autor – czytelnik, czytelnik – media. Beata Mirkiewicz akcentowała systematycznie rosnącą liczbę czasopism w wersji elektronicznej i postępującą digitalizację zasobów czasopiśmienniczych, także czasopism humanistycznych i społecznych, co koresponduje ze zmianą kanałów komunikacji naukowej. Ks. dr hab. Andrzej Draguła informował, że elektroniczna wersja periodyku „Więź” pozwala przeżyć drugą młodość tekstom publikowanym we wcześniejszych numerach wydawanego od 1958 roku tytułu. Nie miałoby to miejsca, gdyby „Więź” eksponowana była tylko na bibliotecznych półkach. Elektroniczna wersja czasopisma aktywizuje czytelników wokół danego tytułu w przestrzeni wirtualnej.

Ostatnią sesję, zorientowaną tematycznie wokół Ziemi Lubuskiej, moderował dr Andrzej Buck z Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki Publicznej im.

Cypriana Norwida w Zielonej Górze. Mirosława Szott, reprezentująca Bibliotekę Uniwersytetu Zielonogórskiego, omówiła zawartość „Ziemi Lubuskiej” – jednodniówki, której jedyny numer ukazał się w 1955 roku. Czasopismo, powołane do życia z inicjatywy Koła Młodych Literatów, uznane zostało za „jaskółkę” tworzącego się w Zielonej Górze powojennego środowiska literackiego. Historia innych tytułów przywołana została w referatach: *Czasopisma kulturalne wydawane w Gorzowie Wlkp. po 1990 roku* (dr Krystyna Kamińska), *Historia i współczesność „Bibliotekarza Lubuskiego” – pisma zielonogórskiej biblioteki* (dr Robert Rudiak, WiMBP im. Cypriana Norwida w Zielonej Górze). Trzy pierwsze wystąpienia stworzyły wprowadzenie do tematu syntezującego obecność czasopism w bibliotekach. Dr Dawid Kotlarek w prezentacji *Periodyki w bibliotecznej rzeczywistości – gromadzenie i czytelnictwo prasy w bibliotekach publicznych południowej części województwa lubuskiego – komunikat z badań* zobrazował skalę popularności poszczególnych tytułów, preferencje gatunkowe użytkowników, sposoby gromadzenia i udostępniania czasopism. W bibliotekach południowej części województwa lubuskiego jako najczęściej prenumerowane periodyki o charakterze kulturalnym wskazane zostały czasopisma branżowe: „Poradnik Bibliotekarza”, „Bibliotekarz”, „Biblioteka Publiczna”, „Biblioteka w Szkole”, „Przegląd Biblioteczny”. Drugą grupę



stanowiły czasopisma literackie: „Książki”, „Nowe Książki”, „Literatura na Świecie”. Wystąpienia programowe zamknął referat dra Przemysława Bartkowiaka z zielonogórskiej księżnicy *Czy warto digitalizować? – proces digitalizacji „Gazety Zielonogórskiej” i „Gazety Lubuskiej” z lat 1950-1990 wykonanej przez Wojewódzką i Miejską Bibliotekę Publiczną im. Cypriana Norwida w Zielonej Górze*. Skanowanie pozwoliło na wyłączenie oryginałów popularnego dziennika z obiegu czytelniczego, zabezpieczając roczniki przed zniszczeniem. Jednocześnie, umieszczenie zeskanowanych materiałów w zbiorach Zielonogórskiej Biblioteki Cyfrowej gwarantuje dogodny do nich dostęp szerokiemu gronu zainteresowanych czytelników na obszarze całego kraju i poza jego granicami.

Dwudniowe obrady podsumowała dyskusja. W wypowiedziach akcentowano rolę bibliotek w gromadzeniu i udostępnianiu czasopism, będących często elementem życia kulturalno-literackiego i społecznego, współtworzących tożsamość środowiska i regionu. Podkreślano rosnącą popularność cyfrowych wydań, wskazując funkcjonalność obecności periodyków w bibliotekach cyfrowych i repozytoriach oraz opisów bibliograficznych artykułów w bibliograficznych bazach danych, zwłaszcza z punktu widzenia badacza czy osoby poszukującej wartościowej informacji. Profesor Uniwersytetu Pedagogicznego im. Komisji Edukacji Narodowej w Krakowie, dr hab. Grzegorz Nieć pogratulował w imieniu prelegentów i gości przygotowania konferencji naukowej podejmującej tak ważny temat, docenił dobrą organizację i ciekawy program. Dr Andrzej Buck, dyrektor Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki Publicznej im. Cypriana Norwida w Zielonej Górze podziękował referentom, gościom i uczestnikom za obecność i aktywny udział w obradach.

Konferencji towarzyszyła wystawa pt. *Czasopisma literackie, społeczno-kulturalne i artystyczne w zbiorach Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki*

Publicznej im. Cypriana Norwida w Zielonej Górze. Rekonesans. W gablotach zaprezentowanych zostało około 50 tytułów czasopism ukazujących się od połowy XIX wieku do współczesności, pozostających w zasobach zielonogórskiej księżnicy. Zachowując zasadniczy układ chronologiczny, wyeksponowano „Bibliotekę Warszawską”, „Tygodnik Ilustrowany”, „Bluszcz”, „Ateneum”, „Biesiadę Literacką” i „Kłosa”. Ozdobę wystawy stanowiła „Chimera” wydawana w latach 1901-1907/8 w Warszawie przez Zenona Przesmyckiego (Miriamą). Wśród tytułów dwudziestolecia międzywojennego, obok „Tygodnika Ilustrowanego” wydawanego w latach 1859-1939, zaprezentowano „Wiadomości Literackie” (1924-1939). Ważne przełomy historyczne i światopoglądowe egzemplifikowały periodyki wydawane tuż po drugiej wojnie światowej: „Po Prostu”, „Kuźnica”, „Nowiny Literackie”, „Pokolenie”, „Odrodzenie”, również publikowana od 1959 roku „Współczesność”. Czasopisma literacko-społeczne drugiego obiegu reprezentował „Zapis” (1977-1982), a emigracyjne – „Kultura” (1945-1989), redagowana przez Jerzego Giedroycia. Ekspozycję zamknęły czasopisma regionalne, także studenckie. Obok gablot udostępniono zwiedzającym czytniki mikrofilmów, dzięki którym można było zapoznać się z artykułami zamieszczanymi na łamach „Skamandra” i „Wiadomości Literackich”.

Konferencja naukowa *Czasopisma społeczne, kulturalne, artystyczne i literackie we współczesnej bibliotece* zgromadziła pasjonatów tematu, redaktorów naczelnych wiodących periodyków, badaczy i bibliotekarzy praktyków reprezentujących polskie biblioteki publiczne i akademickie oraz krajowe i zagraniczne ośrodki naukowe. Przedsięwzięcie, w tym korespondująca z problematyką obrad wystawa, cieszyła się dużym zainteresowaniem i pozytywnym odbiorem. Wydarzenie było ważnym akcentem merytorycznym roku jubileuszowego Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki Publicznej im. Cypriana Norwida w Zielonej Górze, świętującej 70 lat swojego istnienia.

Początki baśni lubuskiej (cz. 2)

Wielu autorów piszących baśnie i gatunki pokrewne wplatało w swoje opowieści epickie wątki nie tylko zaczerpnięte z kalendarzy i czasopism niemieckich, rękopiśmiennych kronik miejskich, kościelnych i klasztornych lub nawet akt sądowych, nie tylko pochodzące od ludności autochtonicznej, ale też często znane im z ich regionów pochodzenia, np. z Polesia, Podola, Wileńszczyzny czy Wielkopolski. Ten amalgamat motywów i wątków zyskał wielu admiratorów w osobach etnografów czy socjologów, zwłaszcza poznańskich. Za takim upiększaniem motywów optował również główny orędownik powstającej tu literatury – Eugeniusz Paukszta. Od takich rozwiązań nie stroniło też wielu autorów baśni – Tadeusz Jasiński, Irena Solińska czy Izabella Koniusz bazowali zwykle na przekazach ustnych, a z kolei inni, jak Kazimierz Malicki, Helena Rutkowska czy Zygmunt Rutkowski, sięgali po tłumaczenia i przeróbki utworów niemieckich. Można zatem powiedzieć, że w baśniach lubuskich czy też Środkowego Nadodrza – jak to ujął Janusz Koniusz – „wątki baśniowe po prostu wędrują”¹. Paukszta zaś temat ten poruszył już przy wydaniu pierwszej lubuskiej baśni, pisząc:

Na Ziemi Lubuskiej, w odróżnieniu np. od Warmii i Mazur czy Powiśla, zarysowuje się od razu pewien bardzo istotny podział: oto tylko część baśni polskich ludności tu zamieszkującej, da się jeszcze uchwytać na żywo, przechowywana w tradycji

ludności Babimojszczyzny i krainy międzyrzeczkiej. One też wykazują najwięcej analogii z baśnią wielkopolską choć są także i elementy bardzo własne, szczególnie z okresu rozdziału państwowego i tym samym zerwania więzi terytorialnej z macierzystym wielkopolskim zapleczem. W odniesieniu natomiast do zachodnich terenów Ziemi Lubuskiej, gdzie postępy germanizacji zdołały wytepić ludność rodzimą, cech folkloru ludowego w baśni szukać już można nie w tradycji ustnej, a jedynie w przekazach źródłowych².

Kolejne pozycje z utworami o lubuskiej tematyce pojawiały się niczym przysłowiowe grzyby po deszczu – najpierw w 1960 roku LTK wypuszcza na prawach rękopisu pierwszą baśń dramatyczną pióra Ireny Solińskiej *Królestwo dziadka Sławomira. Baśń lubuska dla teatrów lalkowych*, składającą z pięciu odsłon i zakończenia (publikacja wyszła w druku maszynowym przeznaczonym do użytku wewnętrznego). Eugeniusz Paukszta o tym pierwszym i jak dotąd jedynym lubuskim utworze scenicznym napisanym z myślą o dzieciach³ w recenzji prasowej napisał:

Brakło dotychczas tekstów transponujących baśń lubuską na widowiska dziecięce, szczególnie dla tak popularnych i ulubionych przez dzieci teatrów kukiełkowych. Irena Solińska, zastru-

1 Z treści e-maila od J. Koniusza z 15 marca 2015.

2 E. Paukszta, *Na tropie baśni lubuskiej*, „Rocznik Lubuski” 1959, z. 1, s. 237-238.

3 Zob. A.K. Waśkiewicz, *Książki dla dzieci i młodzieży*, [w:] tegoż, *Lubuskie środowisko literackie. Szkice z lat 1963-2012*, Zielona Góra 2014, s. 35.

na w odgrzebywaniu się rodzimych podkładów folklorystycznych w wioskach Ziemi Lubuskiej, utwór osnuła w oparciu o legendarną opowieść o rycerzu Sławomirze, mitycznym władcy bogatego w polskie tradycje miasteczka Trzciel na Ziemi Międzyrzeckiej⁴.

Trzeba również dodać, że tego samego roku ukazał się w obiegu ogólnokrajowym zbiór podań i legend polskich *Klechdy domowe*, które zebrала Helena Kostyrko. W almanachu wydany przez warszawskie wydawnictwo Nasza Księgarnia znalazły się trzy opowieści lubuskie napisane wspólnie przez Irenę Solińską i Zygmunta Rutkowskiego. O ich utworach napisał Zbigniew Pędziński:

...zostały osnute na wątkach historycznych, by nie rzec patriotycznych. *O gubińskich karzełkach*, a zwłaszcza *O dzielnym rycerzu znad Nysy* nawiązują do początków polskich dziejów Ziemi Lubuskiej, do walki z margrafem Geronem, wyraziście odzwierciedlającej zmaganie się na tych terenach żywiołu polskiego i niemieckiego. Nagroda za wierność, a kara za zdradę własnego kraju – oto zgoła niebaśniowy, bo ujęty w kategoriach i motywacjach na wskroś realistycznych, morał tych opowieści, opracowanych zresztą z chwalebłą dyskrecją emocjonalnego i lapidarnością artystyczną wyrazu⁵.

Rok później z kolei ukazała się praca Marii Zientary-Malewskiej *Płonące krzaki nad Obrą*, wydana przez warszawski PAX. Znalazło się w niej kilka legend ziemi babimojskiej, które autorka poznała, kiedy w latach 1935-1939 pracowała jako nauczycielka w szkole w Nowym Kramsku. Warte przypomnienia są znamienne słowa autorki zamieszczone we wstępie do jej książki:

Największym skarbem ziemi babimojskiej i międzyrzeckiej był i jest lud polski, który mimo wiekowej germanizacji zachował ducha narodowe-

go, zwyczaje i obyczaje, cechy i sztandary – tak samo jak strój ludowy, baśnie, legendy i pieśni. Im bardziej poznawałam historię, zwyczaje i kulturę ludową, tym mocniej przywiązywałam się do ziemi, która stała mi się drugą Ojczyzną. [...] Niechże dadzą świadectwo prawdzie i moje słowa, pisane miłością do ziemi babimojskiej.

Jedynym życzeniem, jakie pragnę tu wyrazić, jest ażeby słowa napisane przeze mnie dotarły do moich miłych rodaków – także do tych, którzy przybyli na teren Babimojszczyzny z innych stron kraju – utwierdzając ich w przekonaniu, że „jeden jest lud polski”. Że ziemia, na której ten lud żył, pracował, cierpiał i walczył, jest polską ziemią⁶.

Natomiast w 1962 roku w Wydawnictwie Poznańskim wyszedł zbiór *Królewska pieczęć*, na który złożyły się dwie części – jedna mieszcząca 22 utwory I. Koniuszowej, a druga licząca 12 tekstów H. Rutkowskiej, całość zaś poprzedził wstęp E. Paukszty, a uzupełniły rysunki Marii Heidrichowej. Warto zaznaczyć, że było to pierwsze opracowanie, które posiadało notę bibliograficzną. Paukszta znowu odślawiał słowiański ślad w zgermanizowanej literaturze naszego regionu:

Warto wszakże zauważyć, jak osobliwymi drogami chadza ludowa opowieść. W miejscowościach całkowicie niemal ongiś zgermanizowanych, gdzie osiadła dzisiaj ludność napływowa z innych terenów, nie wiedzieć kiedy zrodziły się pośród niej baśni związane z miejscami nowego zamieszkania. Były potrzebne do zakorzenienia się w tej nowej glebie, dla stworzenia potrzebnego klimatu swojskości. [...] Także przywrócone życiu pradawne nazwy polskie żądają wytłumaczenia. [...] Na różny sposób, najzupełniej często nieoczekiwany, odradza się baśń lubuska, świeżej barwy nabiera związane ściśle z historią podanie. Odradzanie to nie przychodzi bez trudności i oporów. Niejedno w przekazach, zwłaszcza od-

4 E. Paukszta, *Baśń-widowisko*, „Rocznik Lubuski” 1962, z. 3, s. 373.

5 Z. Pędziński, *Ziemia Lubuska w klechdach polskich*, „Rocznik Lubuski” 1962, z. 3, s. 369.

6 M. Zientara-Malewska, *Zamiast wstępu*, [w:] *Płonące krzaki nad Obrą*, Warszawa 1961, s. 5-6.

grzebywanych z zakurzonych szpargałów, obrośło obcymi, niemieckimi wtętami, gdzie indziej zostało spreparowane dla potrzeb psychicznych germańskiego odbiorcy, zaprawione innym morałem, wprzęgnięte w kanony odmiennej etyki. Moralnie trzeba dogrzebywać się do nietkniętych pokładów, usuwać sztuczne naloty, w całym blasku ukazywać pierwotny, szczerze słowiański kształt. Tak już musiało być na tych ziemiach, gdzie przez wieki trwały nieustanne zmagania, gdzie szorstką germańską powłokę przesłoniło misterną tkanką polskości, gdzie każda baśń i legenda wspierać się zawsze musiały o patriotyczną postawę, jej służyć, budzić i utrwalac⁷.

Szeroko na temat wątków baśniowych występujących w poszczególnych utworach obu autorek *Królewskiej pieczęci* pisał także Andrzej K. Waśkiewicz na łamach „Tygodnika Kulturalnego”, wskazując na konotacje, formę, etiologię czy inspirację wykorzystanymi motywami ludowymi:

Izabella Koniusz czerpała motywy do swoich baśni głównie z przekazów ustnych mieszkańców regionu Kramska, Podmokli i Dąbrówki, a więc terenów, na których polskie tradycje przetrwały najdłużej. Natomiast Helena Rutkowska głównie z opracowań niemieckich. To po trosze tłumaczy różnice. Motyw okrucieństwa tak częsty w baśniach pochodzenia germańskiego (bracia Grimm), a występujący również w baśniach Rutkowskiej to niewątpliwie obca naleciałość – nie ma jej natomiast w baśniach Koniuszowej. [...] O ile baśnie Koniuszowej adresowane są raczej do młodszego czytelnika, o tyle baśnie Rutkowskiej obliczone są głównie na dziecko starsze. Są one przede wszystkim dłuższe, mają znacznie bardziej rozbudowaną akcję, więcej – występuje tu czasem równoległość akcji⁸.

Z kolei recenzujący ten tom w „Nadodrze” Feliks Fornalczyk zwracał uwagę zwłaszcza na intencję

autorek i sam wymiar ich dzieła w nurcie powstającej tu literatury i jego roli w kształtowaniu postaw lokalnego patriotyzmu: „Intencją autorów [...] było dać dzisiejszym mieszkańcom Nadodrza wzory baśni powstałych na tych ziemiach przed wiekami. Wprowadzić je niejako na nowo w obieg, przypomnieć”⁹.

W roku następnym Wydawnictwo Poznańskie wydało kolejną pracę zbiorową lubuskich autorów – *Odzyskane gniazda. Proza i poezja o Ziemi Lubuskiej*. Wyboru tekstów dokonał oraz wstęp napisał niestrudzony propagator idei piastowskiego powrotu do ojcowizny Ziem Zachodnich i Północnych, Eugeniusz Paukszta. W jego wyborze znalazło się również kilka baśni, podań i legend lubuskich, zarówno udanych adaptacji literackich (I. Koniuszowa, H. Rutkowska), jak i opowiadań historycznych (T. Jasiński) czy ludowych opowieści, np. Franciszka Golza czy Marii Zientary-Malewskiej. Obok utworów literackich i gwarowych zamieszczono wiele artykułów popularnonaukowych o tematyce historycznej, archeologicznej, wspomnieniowej i społeczno-politycznej oraz fragmenty kronik i dzienników (Widukinda, Galla Anonima, J. Długosza i J. Ch. Paska), całość uzupełniły zaś reportaże, publicystyka i wiersze zielonogórskich poetów, m.in. Bolesława Solińskiego, Romualda Szury, Henryka Szyłkina, Zdzisława Morawskiego i Janusza Koniusza oraz poetów starszego pokolenia – M. Zientary-Malewskiej i Lecha Malbora (ps. Franciszka Jujki). Gloryfikując chłopą polskiego, który najdłużej stawiał opór germanizacji, a jednocześnie wytrwale i z uporem bronił wiary, tradycji i języka ojców, Paukszta napisał:

Dzieje Ziemi Lubuskiej są dziejami walki. I tej dźwięczącej uderzeniami mieczów, trwożącej grozą pozorów, głuszącej wszystko bitewnym rozgwarem, i tej cichszej, kto wie, czy przecież nie bardziej heroicznej i bohaterskiej. Walki znaczącej się na starych cmentarzach polskimi napisami, zapisując się w księgach kościelnych i miejskich polskim brzmieniem imion, dobiegającej niemal do naszych

7 E. Paukszta, *Wstęp*, [w:] I. Koniusz, H. Rutkowska, *Królewska pieczęć*, Poznań 1962, s. 6.

8 A.K. Waśkiewicz, *Z baśni i legend lubuskich*, „Tygodnik Kulturalny” 1963, nr 7, s. 5.

9 F. Fornalczyk, *Losy baśni*, „Nadodrze” 1963, nr 4, s. 10.

czasów polskimi nabożeństwami w kościołach, żyjącej w legendzie, klechdzie ludowej, w stroju i obyczajach, w kurczowym trzymaniu się „ojców wiary, mowy”. Jak zawsze i wszędzie najzjadlej, najdłużej, w niejednym miejscu aż po dzisiejsze zwycięstwo, najbardziej i najwytrwalej trzymał się chłop polski. Szlachta najpierwsza uległa germanizacji, miasta zalewał nadciągający z zachodu żywioł niemiecki, tylko w najbiedniejszych warstwach mieszkańców żywe i wciąż odradzające się trwało Słowo polskie. Chłop jeden nie uległ. Walczył i trwał. Gdy już nie mógł poradzić, cofał się w z natury obronne, niedostępne obszary, jak te wioski w pasie bagien, błot i moczarów obrzańskich, gdzie nawet nocne ogniki, duszki i elfy unoszące się cichym powietrzem były słowiańskie, były polskie, po dziś żyją w umysłach i sercach mieszkańców Babimojszczyzny czy Międzyrzeczekiego, zezwalają bez przerwy dzierżyć długą i trudną nić naszej historii¹⁰.

Pomijając aspekt ówczesnego upolitycznienia mitu piastowskiego, Paukszta najwyraźniej zwracał głównie uwagę na wymiar historyczno-dziejowy, sprawiedliwe wyrównanie krzywd, odwołując się zarazem do odnajdywania polskości i swojej tożsamości przez młodych mieszkańców województwa zielonogórskiego. Stąd autor *Wstępu* pisał:

„Tysiąc lat historii niemieckiej...”, to znaczy na Ziemi Lubuskiej tysiąc lat naporu, germanizacji, nieprzebrania w środkach dla zdławienia polskości bez reszty. I to zarazem tysiąc lat zmagania, hartu woli, ukochania największego własnej narodowości [...]. Po tysiącu lat Ziemia Lubuska jest młoda, prawie połowa jej mieszkańców urodziła się na tym terenie, dla tych wszystkich chłopów i dziewcząt jest już ziemią rodzimą. Stąd to pragnienie poznania przeszłości, stąd tęsknota do świadomości minionych dziejów, stąd wreszcie дума z osiągnąć rosnących każdego dnia¹¹.



¹⁰ E. Paukszta, *Wstęp*, [w:] *Odzyskane gniazda...*, s. 9.

¹¹ Tamże, s. 16.

Andrzejki i wilkanowski Ogród sztuk

Andrzejki Wańkiewiczowskie

Każdy, kto wchodzi na Andrzejki Wańkiewiczowskie do Ogrodu sztuk, zatrzymuje się na chwilę przy dużym kamieniu, którego kształt przypomina literę A, oraz zapala świeczkę. To już rytuał. „Dla Andrzeja” – mówi Eugeniusz Kurzawa i podaje zapalniczki. Koniec listopada bywa chłodny, deszczowy, a nawet mroźny. Spotkanie zaczyna się, kiedy na dworze jest już mrok. Widać jednak niektóre rzeźby Oli. W chatce ogrodnika powietrze rozgrzewa kominek i barszcz Lidii Kurzawowej. Jeszcze kilka dni zapach drewna będzie obecny w swetrach i kurtkach pozostawionych w przedsionku.

Eugeniusz Kurzawa dba, żeby każdego roku na Andrzejkach były osoby, dla których Andrzej K. Wańkiewicz był ważny. Liczba zaproszonych zbliża się zazwyczaj do około dwudziestu osób. Goście przyjeżdżają z różnych stron Polski. Stałymi bywalczykami są: Anna Sobecka – żona autora *Wstępowańia*, Krystyna Konecka – fotografka i poetka, która poświęca swoje wystawy osobie Wańkiewicza, Elżbieta Musiał i wielu innych. Zazwyczaj obecni są lokalni poeci, prozaicy, badacze i przyjaciele. Od 2013 roku (w 2012 roku zmarł Andrzej K. Wańkie-

wicz) odbyło się pięć Andrzejek dedykowanych ich literackiemu patronowi. Na każdym z tych spotkań ważnym punktem były wystawy fotografii, książki poświęcone AKW (np. *Lubuskie środowisko literackie. Szkice z lat 1963-2012*; *Jedzenie jest niezdrowe, ale przyjemne*), referaty i zwyczajne rozmowy wokół postaci lubuskiego redaktora i poety. Uruchamiały się w tej atmosferze pomysły i kolejne plany. Wszystko to skrupulatnie odnotowane zostało w kronice, którą goście przekazywali sobie z rąk do rąk, wpisując swoje myśli. Co ciekawe, na karcie ostatnich Andrzejek jest też sygnatura nieżyjącego już Janusza Koniusza i do dziś nie wiadomo, kto podpisał się za poetę (który bywał na Andrzejkach w latach poprzednich). Chciałoby się wierzyć, że sam Koniusz.

Najciekawsze rozmowy odbywają się późną nocą, kiedy zostaje garstka osób i czas trochę zwalnia. Mało takich miejsc, gdzie nie chodzi o zyski, ambicje i interesy. Nie da się porównać Ogrodu sztuk z żadną z zielonogórskich instytucji kulturalnych, bo tylko tu wytwarza się jakaś naturalna i niedzisiejsza więź między uczestnikami wydarzenia. Teraz kilka słów o idei Ogrodu sztuk Kurzawów.



Ogród sztuk

W kwietniu 2016 roku miałam okazję spędzić kilka dni we wschodniej części Polski i poczuć niesamowity, multikulturowy klimat Białegostoku, Sejny czy Krasnogrudy. Spotkałam też osoby, które znały się z Eugeniuszem Kurzawą i dopiero wtedy zaczęłam lepiej rozumieć wilkanowski ogród i jego gospodarzy.

Ogród sztuk powstał fizycznie w Wilkanowie, ale jego mentalnej proveniencji należałoby szukać właśnie na północnym wschodzie kraju. „Ogrody są jak u-topie, nie-miejsca: nie można ich zlokalizować na geograficznej siatce współrzędnych”¹ – pisze Elżbieta Rybicka. Z ogrodem wilkanowskim jest podobnie. Mimo że dokładnie ulokowany na mapie, przynależy do wielu geografii (mitycznej, wyobrażonej, zadanej, prywatnej), które wykraczają poza jednostkowe, lokalne *loci*. Żeby wyjaśnić wschodnie źródło tego miejsca, trzeba przyrzeć się elementom biografii Eugeniusza Kurzawy – poety związanego nie tylko z Kościanem (miejsce urodzenia), Zbąszyniem (dzieciństwo), Zieloną Górą (studia) oraz Wilkanowem (obecne miejsce zamieszkania), ale także Suwałkami (stamtąd w 1986 roku przeprowadził się do Białegostoku). Znalazł tam zatrudnienie jako dziennikarz w „Krajobrazach”, zaczął też aktywnie

działać na rzecz regionu (jak sam przyznaje – przybył z poczuciem misji²). Tam również poznał Andrzeja Strumiłłę – znanego malarza, podróżnika i eseistę, który w latach 1977-1997 organizował w dawnym klasztorze pokamedulskim nad Jeziorem Wigry plenery plastyczne i seminaria pt. *Sztuka i środowisko*. Kurzawa także w nich uczestniczył (od 1980 roku). Razem ze Strumiłłą wydali po latach monografię *Wigry. Kultura i środowisko. Spotkania 1977-1990*³. Poeta podkreśla, że tamte dyskusje wywarły na nim ogromne wrażenie, które procentuje do dzisiaj: „We mnie utwierdziły już wcześniej przeczuwane wrażenie o ważności piętna, jakie nadaje jakiemuś miejscu twórca. Przez swą działalność, a nawet przez samą tylko obecność”⁴. To spotkanie zaważyło na dalszym jego rozwoju, a także – już po powrocie⁵ na zachód Polski w 1991 roku – na powstaniu Ogrodu sztuk w podzielonogórskim Wilkanowie (pierwsze spotkanie, do którego nie doszło⁶, zaplanowano na rok 1994). Kurzawa pisze o tym w książce pt. *Ogród sztuk*:

Zdarzenia kulturowe, stojący za nimi ludzie i doświadczenia zatrzymane w pamięci stopiły się w pomysł, który właśnie nazywa się: Ogród



1 E. Rybicka, *Geopoetyka. Przestrzeń i miejsce we współczesnych teoriach i praktykach literackich*, Kraków 2014, s. 374.

2 E. Kurzawa, *Obrazki prowincjonalne prozą*, Wilkanowo – Zbąszyń 2014, s. 161.

3 Tenże, A. Strumiłła, *Wigry. Kultura i środowisko. Spotkania 1977-1990*, Warszawa 1991.

4 Tenże, *Spotkanie pierwsze. Którego nie było*, [w:] L i E. Kurzawowie, *Ogród sztuk*, Zielona Góra 2000, s. 57.

5 Choć Kurzawa podkreśla, że nie wrócił, bo nigdy nie był stąd: „Przyjechałem po raz drugi, ot co”. Por. L i E. Kurzawowie, dz. cyt., s. 15.

6 Kurzawa wyjaśnia to tak: „Miałem jego zgodę i deklarację przyjazdu. Ponieważ jednak nie byłem w stanie »udźwignąć« finansowo transportu z Warszawy ciężkich jego rzeźb (odlewów pt. *Pasje*) poprosiłem o współudział BWA. A potem powoli wystawa zaczęła nam »odjeżdżać«. [...] I w efekcie pewnego pięknego dnia wystawa Zemły odbyła się w... Gorzowie”. E-mail od E. Kurzawy z 7 lutego 2016.

sztuk. Idea została zrealizowana na nowej dla mnie i rodziny ziemi, na zachodnich rubieżach kraju. Daleko od północno-wschodnich kresów Polski. Jak wynika z przytoczonych w tej książce opisów – ziemi wcale nie niczyjej. Ostatnim elementem na drodze narodzin idei Ogrodu sztuk było położenie domu: wieś, rzeczywisty ogród, bliskość miasta oraz przeczuć, że przyciągnie to ludzi nadających i odbierających na podobnych falach⁷.

Kurzawa nazywa ten związek pograniczny „niewidzialną nicią przeciągniętą w poprzek kraju” i dodaje, że jej koniec chciał zawiesić w swoim ogrodzie⁸. Co ważne, prawie w tym samym czasie (rok 1990) na północnym wschodzie Polski Krzysztof Czyżewski staje się pomysłodawcą Fundacji „Pogranicze”, a nieco później po przeprowadzce do Sejnu inicjatorem słynnego Ośrodka „Pogranicze – sztuk, kultur, narodów”. Czyżewski z Kurzawą znali się, spotykali, być może mieli podobne pomysły na różne pogranicza. Sejneńska idea wyraża pogranicze, które przekracza bariery (narodowości, kultur, religii), podobnie (lecz na mniejszą skalę) wilkanowski ogród to próba stworzenia takiej jednoczącej przestrzeni dla artystów i jednocześnie odprowincjonalizowanie prowincji.

Wilkanowski ogród jest w pewnym sensie azylem przed światem. Jako debiutant Kurzawa napisał – jak sam to określa – „wiersz konkretny”. Sformułował

on i przestrzennie rozmieścił w tym wierszu swoje obecne i przyszłe niepokoje:



To młodzieńcze (w chwili wydania arkusza poeta liczył 25 lat), neurotyczne pragnienie odizolowania się zostaje przewartościowane w następnych latach, kiedy Kurzawa odkrywa na wschodzie Polski inną rzeczywistość, która go pochłania, fascynuje i otwiera. Dlatego na chwilę ten wiersz-kwadrat przestaje mieć znaczenie. Może inaczej – wiersz ten zaczyna odgrywać zupełnie inną rolę. Czas młodzieńczego otwierania się, wyjazdów, poznawania ludzi z całej Polski przywiódł poetę do lokalnej społeczności, świata w skali mikro, wreszcie do swojego wnętrza oraz do koncepcji ogrodu.



7 E. Kurzawa, *Czym jest Ogród sztuk?*, [w:] L i E. Kurzawowie, dz. cyt., s. 5.

8 Tamże.

Miejsce to dalekie jest od idei klasyków, dla których ogród „[...] był figurą kosmosu. Symbolizował idealny świat, w którym wszystkie sprzeczności znajdowały rozwiązanie w mitycznej harmonii”⁹. Bliżej jest mu wyrażnie do romantycznej nieregularności i swobody. Przestrzeń ogrodu jest miejscem działań. Jest to nie tylko wydzielona część rzeczywistości, wytwór intelektu, figura poetyckiej ekspresji czy nostalgicznie przywołana przeszłość, ale i „przestrzenna realizacja miejsca”¹⁰.

Ogród ten stanowi specyficzną metaforę, w której mieściłby się czas przeszły (naznaczony oczywiście konkretnym momentem życia, jego atrybutami są: młodość, naturalność, nieskrępowane myślenie). Kurzawa stworzył własne, regionalne archiwum, w którym gromadzi książki, listy, czasopisma, zdjęcia i przedmioty – np. popiersie Juliana Tuwima otrzymane od Dominika Paukszy (syna Eugeniusza Paukszy), kamienie, które przynoszą ze sobą zaproszeni, obrazy, rzeźby i przedmioty z lat studiów (byłam niemal pewna, że widziałam tam też wioślo, ale gospodarz zapewnia, że to niemożliwe). To wszystko tworzy klimat, który pozwala uwie-

rzyć, że czas rzeczywiście zatrzymał się przed furtką jego ogrodu. „Po co to zbieram i dlaczego o tym opowiadam?” – pyta Kurzawa i zaraz udziela sobie odpowiedzi: „Głównie, żeby sobie, może jeszcze komuś uprzytomnić bezsens tego rodzaju działalności. Ujawnić istnienie idealizmu w czystej postaci”¹¹. A ja tylko dopowiem, że Ogród sztuk już dziś traktuję jako jedno z najważniejszych własnych doświadczeń środowiska literackiego i – być może podobnie jak Kurzawa zafascynowany Wigrami – będę ten „bezsens” idealizować. W pamięci mam nawet nieistotne szczegóły: powrót z Wilkanowa w środku nocy w burzy i ulewie, a innym razem w śnieżnej zamieci. Ktoś mnie i Janusza wtedy zgarnął z drogi jako nieroztropnych autostopowiczów.

W jednym z wierszy poeta oddaje prawdę wilkanowskiego miejsca, więc niech to będzie podsumowaniem:

Wejdźcie przyjaciele.

Siadajcie.

Nic nie mówcie.

Porozmawiajmy.



9 R. Przybylski, *Ogrody romantyków*, Kraków 1978, s. 151.

10 Por. M. de Certeau, *Wynaleźć codzienność. Sztuki działania*, przeł. K. Thiel-Jańczuk, Kraków 2008, s. 99.

11 L i E Kurzawowie, dz. cyt., s. 17.

Mirosława Szott laureatką nagrody literackiej

24 listopada 2017 roku w piątkowe popołudnie, w dostojnych murach Muzeum Ziemi Lubuskiej w Zielonej Górze, wręczono po raz kolejny Nagrodę Literacką im. Andrzeja K. Waśkiewicza – przyznawaną przez oddział Związku Literatów Polskich w Zielonej Górze.

Oddział ZLP od 56 lat trwa „na posterunku” i tworzy – w sposób zapewne niezauważalny dla większości mieszkańców regionu i Zielonej Góry – historię miasta i województwa. Pisarze, poeci, krytycy piszą i wydają książki, które tutaj zostaną na zawsze, bo składają się na lokalną rzeczywistość, a zarazem

ją opisują. Mimo niewielkiego dziś szacunku dla słowa pisanego, gdzieś w bibliotekach, archiwach te prace na pewno przetrwają.

Pierwsza część uroczystości poświęcona była pamięci Janusza Koniusza, zmarłego w marcu 2017 roku poety, który swoje życie na dobre i złe związał z Zieloną Górą. Sejmik województwa lubuskiego podjął uchwałę by uhonorować pisarza, przyznając mu honorowy medal „Za zasługi dla województwa lubuskiego”. Wiceprzewodniczący Sejmiku Tomasz Wontor wręczył go żonie pisarza – Izabelli Koniusz oraz córce Donacie Wolskiej. Jednocześnie Euge-



A. Sobecka, E. Kurzawa oraz nominowani do Nagrody AKW: Z. Mąkosa, M. Szott, W. Kłępka

niusz Kurzawa, prezes oddziału ZLP, przekazał na ręce obu pań przywieziony prosto z drukarni zbiór poezji Janusza Koniusza pt. *Wiersze ostatnie* wydany pod jego redakcją. Promocja książki ma się jednak odbyć dopiero 1 lutego 2018, w 84. rocznicę urodzin J. Koniusza. Wręczenie odznaczenia rodzinie poety zapelniona gośćmi sala witrażowa przyjęła oklaskami na stojąco. Był to bardzo piękny i wzruszający moment.

Druga część imprezy poświęcona była wręczeniu Nagrody Literackiej im. Andrzeja K. Waśkiewicza, związanego ongiś z Zieloną Górą poety, krytyka, edytora, animatora życia literackiego. Alfred Siatecki, sekretarz kapituły przyznającej Nagrodę, odczytał protokół. Nominacje do Nagrody otrzymali: Władysław Kłepka (poeta), Zofia Mąkosa (prozaiczka), Mirosława Szott (poetka, krytyczka). Ostatecznie Kapituła zdecydowała, że tegoroczną laureatką zostanie – związana z Uniwersytetem Zielonogórskim,

a pochodząca ze Zbąszynka – M. Szott. Autorka otrzymała szklaną statuetkę z zatopionym autografem Waśkiewicza i dyplom, ponadto Nagroda miała również wymiar finansowy, co dla młodej doktorantki UZ na pewno nie jest bez znaczenia. Fundatorem był Euroregion Sprewa-Nysa-Bóbr.

Nagrodę Waśkiewicza wręczali: jego żona Anna Sobecka, która przybyła z Gdańska, oraz wiceprzewodniczący Sejmiku Tomasz Wontor.

Następnego dnia (25 listopada) w Wilkanowie, w Ogrodzie sztuk, odbyły się 5. Andrzejki Waśkiewiczowskie. To prywatna impreza odbywająca się od śmierci A.K. Waśkiewicza (w 2012) w posesji Lidii i Eugeniusza Kurzawów. W niezobowiązującej atmosferze – wśród przyjaciół i sympatyków twórczości poety – wygłaszane są referaty naukowe, wspominki o poecie, anegdoty. – To nasz wkład w rozwój życia literackiego w regionie – uznał Eugeniusz Kurzawa.



A. Sobecka wręcza Nagrodę



Z. Mąkosa, M. Szott, W. Kłepka

Zielonogórski Slam Poetycki po raz trzeci

W czwartek, 25 stycznia 2018 roku w bibliotecznym Klubie Pro Libris im. A.K. Waśkiewicza odbyła się trzecia już edycja Zielonogórskiego Slamu Poetyckiego „Noworoczne Wierszowanie”. Impreza ponownie zgromadziła ponad pół setki publiczności, która przyszła dopingować i oceniać wiersze 16 autorów, którzy stanęli w szranki rywalizacji. A w tym roku pulę nagród stanowiły m.in.: czytnik e-booków, liczne gadżety i książki, szampan, słodczyce i tradycyjnie medale i dyplomy. Po rozegraniu pierwszej rundy, w której najwięcej, bo aż 33 głosy oddano na Małgorzatę Gołębiewicz, a 32 na Witolda Stankiewicza, wyłoniono ośmioro ćwierćfinalistów, którzy ponownie rywalizowali w parach. Na tym etapie najwięcej głosów zebrali: Elżbieta Kościucha-Wieczorek – 34, Witold Stankiewicz – 31, Alicja Leśniewska – 28, Małgorzata Gołębiewicz – 27.

Z tej grupy do półfinałów przeszło już tylko czworo wymienionych autorów. Na tym etapie rozgrywki poznaliśmy finalistów – okazało się, że do finału weszli: Witold Stankiewicz i Elżbieta Ko-

ściucha-Wieczorek, którzy zebrali odpowiednio 28 i 30 głosów. W rywalizacji o trzecie miejsce trzeba było rozegrać dogrywkę, gdyż w pierwszym podejściu obie panie – Alicja Leśniewska i Małgorzata Gołębiewicz – zgromadziły równą liczbę głosów. W dogrywce triumfowała już zdecydowanie Alicja Leśniewska, wygrywając w stosunku 30:10.

Po małym finale przyszedł czas na wielki. Tu zdecydowaną większością głoszącej publiczności wygrała Elżbieta Kościucha-Wieczorek, na której wiersz (nomen omen czytany z telefonu) oddało głos 32 słuchaczy, a na jej konkurenta – Witolda Stankiewicza – 11. Tytuł Mistrza Slamu i główna nagroda powędrowały zatem do Elżbiety Kościuchy-Wieczorek, a tytuły wicemistrzów do Witolda Stankiewicza i Alicji Leśniewskiej, którzy także w poprzednich edycjach Slamu zajmowali miejsca na podium. Medale wręczały Anna Polus i Żaneta Cierach – zastępczyni dyrektora zielonogórskiej biblioteki, która wespół z zielonogórskim oddziałem Związku Literatów Polskich przygotowała imprezę.



Wiedźma

Moja matka niosła mnie pod sercem
ze sfalszowaną metryką
wśród krzywych spojrzeń i grózb.
Mam życiorys wykuty w wedach,
cierpliwie zbieram słowa jak zioła o świcie
i warzę je w świetle księżyca.
Któregoś dnia wygarnęłam za próg czas,
miotła w kącie zarosła pajęczyną,
zniknął kot, nie pytam dlaczego.
Poszukuję magicznego kamienia,
w nim dzwonki konwalii i słoneczny kapelusz
odnajdą uśmiech i siwe włosy mojej matki.

Jestem wiedźmą,
księgi nie przewidują zmiany losu.

(I miejsce w Zielonogórskim Slamie Poetyckim 2018)

* * *

Liliannie

drzewo
rozpostarło parasol nad kołyską
skrawek liścia głaszcze kołderkę
drżące nasionko pociąga nosem
śpi
gdy pień podtrzymuje sklepienie świątyni
połyskujące witrażami
i zwołuje owady na Anioł Pański
śni
jak w romańskiej apsydzie
wiatr muska gałęzie ołtarza
korzenie pęcznią od soków spada kropla
pij
promień delikatnie dotyka dziecka
sacrum natury
chroni i błogosławi

(I miejsce w Zielonogórskim Slamie Poetyckim 2018)

Być poetą

Być poetą, proszę pani, to... czuć ból,
to dostrzegać, droga pani, znacznie więcej
i... codziennie spełniać tę najgorszą z ról,
która pławić każe się w rozpacz i udręce.
Być nim, pani wie, to nowe wciąż wyznaczać szlaki,
to odkrywać, jak z upadków się podnosić.
Bo poeta, proszę pani, to człek taki,
co to, jak dostanie w pysk od losu, to... przeprosi.
Tak, poeta, droga pani, to łachmyta,
który cierpi, choć nie musi wcale, za miliony,
to idiota, proszę pani – ciągle siebie pyta:
– po co i dla kogo całe życie był szalony?
Dobrze pani mówi, że nie umie nawet kochać,
bo nie kupi pani nic – nie śmierdzi przecież groszem.
Nabazgroli coś tam sobie w kajeciku,
więc
wynocha...
Z dedykacją ma być tomik? Bardzo proszę.

(II miejsce w Zielonogórskim Ślomie Poetyckim 2018)

Pokory uczyć kornika

(fraszka)

Głodny sukcesów, ambitny kornik
toczący skrycie stylowy mebel
mruczał:

– wyrokiem jestem historii;
ty dla mnie kloaką i chlebem.

Mebel, co widział już niejedno,
tak na to dictum mu odrzecz: –
– spełniasz biedaku funkcję wredną –
zniszcz dla konsumpcji!
Jakież to człowiecze!

(II miejsce w Zielonogórskim Slamie Poetyckim 2018)

Demiurg

Jestem mikrym demiurgiem
i księżyc jest mi w równym stopniu
co ja dla niego kosmosem

A w kosmosie tym rozbrzmiewa głos
harmoniczne echo ruchu planet
szept człowieka na pierścieniu Saturna
lub którejś Androgenie

– nie trawa myśląca jestem
bo trawa powiewa na wietrze
– ja tylko oczy przymrużę
i wiatr nie we mnie wieje
ale przeze mnie w ogóle jest
i jest dobry

Jestem demiurgiem litościwym
dotknę świata i powiem: Bądź dobry
a on zadecyduje, jak chce

(III miejsce w Zielonogórskim Slamie Poetyckim 2018)

* * *

A co gdybyśmy zostali

Nie musielibyśmy rezygnować z
bezwartościowych książek,
niezdrowego jedzenia,
ciężkich narkotyków,
pasji bez finansowego spełnienia,
rymów we współczesnych wierszach, które mają się sprzedać

Lub może nie sprzedawalibyśmy się zupełnie

zamiast całej wieczności
seksu bez zabezpieczeń
łepkich kąpeli w lepkich wodach wiecznie płynących
miękkich posłań
ciepłych posiłków
bajek
nananana na dobranoc
dla naszych dzieci

Chyba byłoby całkiem miło

Gdybyśmy zostali
wiecznie młodzi
Zmęczeni życiem
Znudzeni seksem, narkotykami, kalorycznym jedzeniem
Przynależnością do rasy, za którą nikt nie stawia pod murem
na rozstrzelanie
Bo rozstrzelanie tylko by łaskotało
– i żadnej historycznej krwi nie zmywano by z historycznych chodników
Historycznie

Bylibyśmy tylko tyle ciekawi kosmosu
Aż któraś z tych pokracznych małp, śmiesznie dyndających w przestrzeni
nie zadałaby pytania
A co gdybyśmy zostali
I nie fiknęłaby koziołka
– z nudów

Zgłoszenia do 24. edycji konkursu Lubuski Wawrzyn Literacki

Każdego roku do konkursu Lubuski Wawrzyn Literacki zgłaszanych jest średnio od 40 do 50 książek. Do 24. edycji konkursu napłynęło 41 pozycji. Wśród tegorocznych publikacji dominowała poezja, aż 26 zgłoszeń zawierało utwory poetyckie, wśród których pojawiły się limeryki, aforyzmy i teksty utworów muzycznych. Od kilku lat wśród książek konkursowych można także znaleźć literaturę dla dzieci. W tym roku do konkursu złożona została książka z wierszami dla dzieci. Proza reprezentowana była przez 15 pozycji, wśród których przeważały powieści obyczajowe. Publikacje napłynęły z wydawnictw w Gorzowie, Toruniu, Gdyni, Gdańsku i Szczecinie. Swoich kandydatów do nagrody zgłosiły liczne instytucje, organizacje i stowarzyszenia: Związek Literatów Polskich Oddział w Gorzowie Wlkp., Robotnicze Stowarzyszenie Twórców Kultury w Gorzowie Wlkp., Stowarzyszenie Jeszcze Żywych Poetów, Muzeum Regionalne w Świebodzinie, Zielonogórski Ośrodek Kultury, Towarzystwo Miłośników Zielonej Góry Winnica, Gminne Centrum Kultury – Biblioteka Publiczna im. Eugeniusza Paukszty w Kargowej. Własne wydawnictwa złożyły także obie biblioteki wojewódzkie: WiMBP im. Zbigniewa Herberta w Gorzowie Wlkp. oraz WiMBP im. Cypriana Norwida w Zielonej Górze. Dziewięć pozycji zgłoszonych zostało przez samych autorów. Do konkursu przystąpili zarówno debiutanci, jak i twórcy znani i cenieni, o bogatym dorobku literackim, w tym laureaci poprzednich edycji konkursu Lubuski Wawrzyn Literacki. Pojawiło się 11 debiutanckich publikacji literackich, w tym sześć tomików poezji oraz pięć powieści.

Nadesłane prace poddane zostaną wnikliwej ocenie trzyosobowej kapituły. W tegorocznej edycji

konkursu w jury zasiadają Anna Król – przewodnicząca oraz członkowie: Bohdan Zadura i Konrad Wojtyła. Podczas obrad kapituły wyłoniony zostanie zwycięzca – autor najlepszej książki literackiej roku 2017. Laureat konkursu otrzyma „Srebrne Pióro” oraz nagrodę finansową. Oprócz nagrody głównej przyznane zostaną również: „Nagroda Rektora Akademii im. Jakuba z Paradyża w Gorzowie Wielkopolskim za Debiut Literacki” („Srebrne Sokole Pióro”) oraz „Lubuski Laur w kategorii sensacja”. Kapituła ma również możliwość przyznania dyplomu za całokształt twórczości autorowi żyjącemu lub pośmiertnie oraz dyplomu za walory edytorskie dla lubuskiego wydawcy. Zwycięzcę poznamy 22 lutego 2018 roku podczas uroczystej gali, natomiast nazwiska autorów nominowanych pojawią się na stronach internetowych organizatorów 15 lutego 2018 roku.

Dziękujemy wszystkim, którzy współtworzą z nami konkurs Lubuski Wawrzyn Literacki, zwłaszcza autorom nadesłanych publikacji za udział oraz wydawnictwom, instytucjom, organizacjom i stowarzyszeniom, które dostarczyły wydane przez siebie książki. Jesteśmy wdzięczni wszystkim, którzy dokonali zgłoszenia do konkursu Lubuski Wawrzyn Literacki 2017.

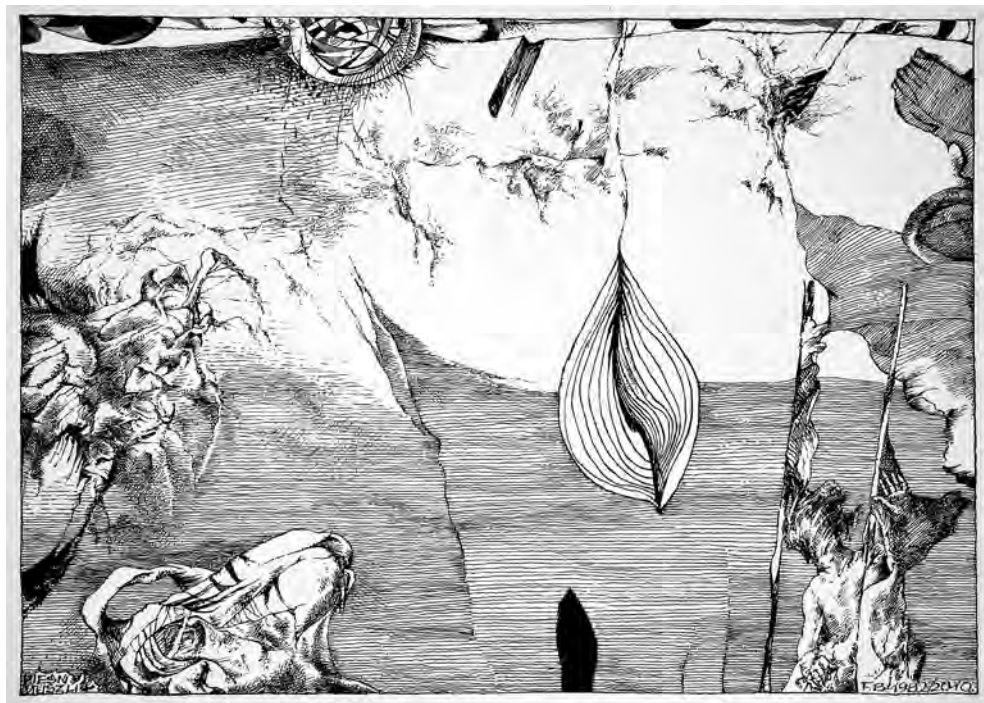
Lista książek zgłoszonych do konkursu Lubuski Wawrzyn Literacki 2017

1. Władysław Klepka, *Książyc Miró*, Pro Libris, Zielona Góra 2017
2. Agnieszka Ankudowicz, *Zmysły i limeryki*, AArt, Żary 2017

3. Marcin Radwański, *Danie główne*, Wydawnictwo CM, Warszawa 2017
4. Tadeusz Leszczyszyn, *Serce na dłoni*, nakładem autora, Świebodzin 2017
5. Jacek Katos, *Partes Corporis, Animae Fragmenta...*, Pro Libris, Zielona Góra 2017
6. Anna Blacha, *Pośród codziennych zdarzeń*, Pro Libris, Zielona Góra 2017
7. Małgorzata Gołębiewicz, *Pamięć obecności*, Astrum, Wrocław 2017
8. Marek Lobo Wojciechowski, *Krwiobieg*, Wojewódzka Biblioteka Publiczna i Centrum Animacji Kultury w Poznaniu, Poznań 2017
9. Jacek Uglik, *Trzeba by jakoś umrzeć*, Zaułek Wydawniczy Pomyłka, Szczecin 2017
10. Beata Sadzenica, *Jak powietrze: nieopowiedziana historia nr 1/3*, Poligraf, Brzeźnia Łąka 2017
11. Anna Jelak-Bogusz, *Zegarowa kukutka wiersze dzieciom kuka*, Muzeum Regionalne w Świebodzinie, Świebodzin 2017
12. Agnieszka Ginko, *Krucze*, Elblask, Zielona Góra 2017
13. Ferdynand Głodzik, *Księga imion*, Robotnicze Stowarzyszenie Twórców Kultury, Gorzów Wlkp. 2017
14. Krystyna Woźniak, *Życiopis*, Robotnicze Stowarzyszenie Twórców Kultury, Gorzów Wlkp. 2017
15. Jarosław Skorulski, *Kroniki księżnej Dino – zapiski z Zatonia z lat 1840-1861*, Zielonogórski Ośrodek Kultury, Zatonie 2017
16. Anna Konstanty, *To był maj*, Novae Res, Gdynia 2017
17. Katarzyna Mak, *Dwadzieścia minut do szczęścia*, Novae Res, Gdynia 2017
18. Nadieżda Myszlenik, *Rabunek i maska*, Novae Res, Gdynia 2017
19. Czesław Sobkowiak, *Jedno miejsce*, nakładem autora, Zielona Góra – Zawada 2017
20. Maria Wypych, *Księżyc słońce i żurawie*, nakładem autorki, 2017
21. Maria Dolczewska, *Izery: moja rowerowa przestrzeń*, Sorus, Poznań 2017
22. Władysław Łazuka, *Z zapomnianego ogrodu*, WiMBP im. Zbigniewa Herberta w Gorzowie Wlkp., Gorzów Wlkp. 2017



23. Magda Turska, *Wodne granice*, WiMBP im. Zbigniewa Herberta w Gorzowie Wlkp., Gorzów Wlkp. 2017
24. Tadeusz Szyfer, *Pikantne (z)daniania do wyśmiewania*, WiMBP im. Zbigniewa Herberta w Gorzowie Wlkp., Gorzów Wlkp. 2017
25. Irena Zielińska, *Córka wiatrów*, Wydawnictwo Adam Marszałek, Toruń 2017
26. Zofia Mąkosa, *Wendyjska winnica. Cierpkie grona*, Książnica – Oddział Publicat, Wrocław – Poznań 2017
27. Aleksandra Kurzawa, *Rzeczy oczywiste*, Związek Literatów Polskich Oddział w Zielonej Górze, Zielona Góra 2017
28. Przemysław Piotrowski, *Radykalni. Terror*, Video-graf, Chorzów 2017
29. Agnieszka Leśniewska, *Wyprawa w często-chowskie*, Towarzystwo Miłośników Zielonej Góry Winnica, Zielona Góra 2017
30. Alfred Siatecki, *Pozaduszki*, Towarzystwo Miłośników Zielonej Góry Winnica, Zielona Góra 2017
31. Janusz Koniusz, *Wiersze ostatnie*, Związek Literatów Polskich Oddział w Zielonej Górze, Zielona Góra 2017
32. Alfred Siatecki, *Pomsta*, Oficynka, Gdańsk 2017
33. Bogumiła Różewicz, *Błękitne zamyslenie*, Organon, Zielona Góra 2017
34. Maria Kuleszyńska Kozak, *Po drugiej stronie*, Organon, Zielona Góra 2017
35. Robert Rudiak, *Gehenna*, Sowello, Rzeszów 2017
36. Elżbieta Halina Daszkiewicz, *Matylda czyli Pora na życie*, Związek Literatów Polskich Oddział w Gorzowie Wlkp., Gorzów Wlkp. 2017
37. Krystyna Dziewiałtowska-Gintowt (Dziwonია), *Słowa podzielone między wiersze i obrazy*, Związek Literatów Polskich Oddział w Gorzowie Wlkp., Gorzów Wlkp. 2017
38. Janina J. Jurgowiak, *Odroczenie*, Związek Literatów Polskich Oddział w Gorzowie Wlkp., Gorzów Wlkp. 2017
39. Łucja Fice, *Za kryształowym lustrem: wspomnienia opiekunki*, Warszawska Firma Wydawnicza, Warszawa 2017
40. Kalina Moskaluk, *Człowiek otwarty*, Związek Literatów Polskich Oddział w Gorzowie Wlkp., Gorzów Wlkp. [2017]
41. Jerzy Alski, *Mowa pogrzebowa: wybrane opowieści*, Związek Literatów Polskich Oddział w Gorzowie Wlkp., Gorzów Wlkp. 2017



Książki zgłoszone na Lubuski Wawrzyn Naukowy 2017

W 13. edycji Lubuskiego Wawrzynu Naukowego zgłoszono 23 publikacje, z których 13 posiada pełen warsztat naukowy i to właśnie one powalczą o nagrodę główną. Przekrój tematyczny publikacji jest szeroki, od zagadnień ekonomicznych, przez socjologię, tematykę religijną, literaturoznawstwo, nauki przyrodnicze, mniejszości narodowe, numizmatykę, a na historii kończąc. Bogate zainteresowania badaczy naszego regionu stanowią wyzwanie dla członków kapituły, którzy muszą dokonać trudnego wyboru. Nie ułatwia go również wysoki i równy poziom tegorocznych publikacji, co tylko cieszy organizatorów konkursu. W takich chwilach widać wyraźnie sens realizacji Lubuskiego Wawrzynu Naukowego, a smucić może jedynie fakt niezgłoszenia kilku wydanych w 2017 roku publikacji, które zostały napisane na równie wysokim poziomie.

Nie zapomnieliśmy również o książkach popularnonaukowych. W tym roku 10 publikacji powalczy o dyplom oraz „Srebrne Pióro”, czyli „Nagrodę Rektora Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu za najlepszą książkę popularnonaukową 2017”. Wśród nich znajdują się pozycje dotyczące malarstwa i ogólnie pojętej sztuki, regionalnej muzyki ludowej, lubuskich sportowców, trudnego okresu powojennego, biografii znanych i mniej znanych osobistości oraz historii miejscowości. Autorzy prac popularnonaukowych wciąż nam przypominają, na jak interesującym terenie żyjemy oraz jak wiele do zaoferowania mają jego mieszkańcy.

Werdykt w tym roku podejmie kapituła pod przewodnictwem prof. dra hab. Wojciecha Strzyżew-

skiego – prorektora ds. studenckich Uniwersytetu Zielonogórskiego w składzie: prof. dr hab. Elżbieta Skorupska-Raczyńska – rektor Akademii im. Jakuba z Paradyża w Gorzowie Wielkopolskim, prof. dr hab. Tomasz Jurek z Zamieszcowego Wydziału Kultury Fizycznej w Gorzowie Wielkopolskim Akademii Wychowania Fizycznego im. Eugeniusza Piaseckiego w Poznaniu, prof. UAM dr hab. Grzegorz Podruchny z Polsko-Niemieckiego Instytutu Badawczego Collegium Polonicum w Ślubicach działającego w ramach Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu oraz dr Paweł Kalisz – sekretarz Lubuskiego Wawrzynu Naukowego z Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki Publicznej im. Cypriana Norwida w Zielonej Górze.

Jak każdego roku jesteśmy wdzięczni wszystkim zgłaszającym się do konkursu, ale również tym, którzy z różnych względów zdecydowali się tego nie robić. Wasza praca jest niezwykle cenna dla Ziemi Lubuskiej. Niestety, zdarza się, że nie jest ona właściwie doceniona, a publikacje pojawiają się bez większego rozgłosu i w taki sam sposób znikają z rynku wydawniczego. Jedynym celem organizatorów konkursu jest promocja, aby o efektach ciężkiej pracy autorów dowiedziało się jak najwięcej osób, aby ich książki były znane i poszukiwane. Dzięki badaczom Ziemi Lubuskiej historia naszego regionu jest odkrywana na nowo, postaci bliskie zapomnienia opisywane ze szczegółami, badania z różnych dziedzin prowadzone z myślą o poprawie jakości naszego obecnego życia oraz zachowania zjawiskowości przyrody w nienaruszonym stanie. Jeszcze raz wszystkim dziękujemy i gratulujemy wspianiałych publikacji.

Lista zgłoszonych publikacji

1. Zbigniew Bujkiewicz, *Zielonogórska Gmina Żydowska 1813-1942*, Polskie Towarzystwo Historyczne Oddział Zielona Góra; Żydowski Instytut Historyczny im. Emanuela Ringelbluma; Archiwum Państwowe w Zielonej Górze, Warszawa 2017
2. Damian Danak, Wojciech Śmigieński, *Rozczzerwona Kalina. Pieśń ludowa na Ziemi Lubuskiej*, Muzeum Etnograficzne w Zielonej Górze – Ochli, Zielona Góra 2017
3. Maciej Dziuk, *Ekonomiczne i społeczne czynniki ograniczenia niskiej emisji w Polsce*, Difin SA, Warszawa 2017
4. Andrzej Flügel, Szymon Kozica, *Mistrzowie, legendy, idole z kart historii lubuskiego sportu*, Gazeta Lubuska, Zielona Góra 2017
5. Alicja U.M. Kłaptocz, *Pionierskie lata powojennego Kostrzyna nad Odrą*, Muzeum Twierdzy Kostrzyn, Kostrzyn nad Odrą 2017
6. Izabela Korniluk, Grzegorz Wanatko, *Patroni zielonogórskich rond*, Towarzystwo Miłośników Zielonej Góry Winnica, Zielona Góra 2017
7. Daniel Koteluk, *Proboszczowie parafii Czerwieńsk w latach 1945-1989 w świetle dokumentów proveniencji państwowej*, Instytut Pamięci Narodowej Komisja Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu, Poznań – Warszawa 2017
8. Dawid Kotlarek, *Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna im. Cypriana Norwida w Zielonej Górze w latach 1947-2016*, Pro Libris, Zielona Góra 2017
9. Piotr Jacek Krzyżanowski, *Między wędrówką a osiedleniem. Cyganie w Polsce w latach 1945-1964*, Wydawnictwo Naukowe Akademii im. Jakuba z Paradyża, Gorzów Wielkopolski 2017
10. *Landsberg an der Warthe – Gorzów Wielkopolski w akwarelach Barbary Latoszek*, Robotnicze Stowarzyszenie Twórców Kultury, Gorzów Wielkopolski 2017
11. Ludwik Lipnicki, *Drzewa i krzewy Drezdenka*, Gmina Drezdenko, Drezdenko 2017
12. Krzysztof Lisowski, *Kiedy wieś staje się miastem. Socjologiczna analiza procesów łączenia miasta i gminy wiejskiej Zielona Góra*, Zakład Wydawniczy Nomos, Kraków 2017
13. Mirosław Marciniak, *Ilustrowana historia Gozdniczy*, nakładem autora, Kraków 2017
14. Agnieszka Marczak, *Festiwal Piosenki Radzieckiej w Zielonej Górze w latach 1962-1989*, Wydawnictwo LTW, Łomianki 2017
15. Igor Myszkiewicz, *Galeria Twórców Galera XX lat rejsu*, Stowarzyszenie Forum Art., Zielona Góra 2017
16. Bartłomiej Najbar, Magdalena Wieczorek, Anna Najbar, *Gady powiatu zielonogórskiego i miasta Zielona Góra*, Oficyna Wydawnicza Uniwersytetu Zielonogórskiego, Zielona Góra 2017
17. Włodzimierz Rogowski, Stanisław Turowski, *Praca nauczycielska i związkowa*, Związek Nauczycielstwa Polskiego Oddział w Gubinie, Gubin 2017
18. Juliusz Sikorski, *Państwo i Kościół na Ziemi Lubuskiej w latach 1945-1956*, Wydawnictwo Naukowe Akademii im. Jakuba z Paradyża, Gorzów Wielkopolski 2017
19. Jarosław Skorulski, *Kroniki księżnej Dino. Zapiski z Zatonia z lat 1840-1861*, Zielonogórski Ośrodek Kultury, Zatonie 2017
20. Dorota Szaban, *Gra o węgiel. Socjologiczne uwarunkowania konfliktu wokół planów powstania kompleksu wydobywczo-energetycznego w województwie lubuskim*, Dom Wydawniczy Elipsa, Warszawa 2017
21. Tadeusz Szczurek, *Późnośredniowieczne skarby monet z pogranicza Królestwa Polskiego, Śląska i Brandenburgii (Toporów, Strzelce Krajeńskie, Goraj, Międzyrzecz, Kunowice, Gorzów Wielkopolski)*, Muzeum Lubuskie im. Jana Dekerta w Gorzowie Wielkopolskim, Gorzów Wielkopolski 2017
22. Katarzyna Taborska, *Literatura miejsca. Piśmiennictwo postlandsberskie*, Wydawnictwo Naukowe Akademii im. Jakuba z Paradyża, Gorzów Wielkopolski 2017
23. *Tu żyje się sztuką. 35 edycji Interdyscyplinarnych Warsztatów Artystycznych Robotniczego Stowarzyszenia Twórców Kultury w Gorzowie Wielkopolskim*, Robotnicze Stowarzyszenie Twórców Kultury, Gorzów Wielkopolski 2017

Piąta edycja Lubuskiego Wawrzynu Dziennikarskiego

Na piątą edycję Lubuskiego Wawrzynu Dziennikarskiego napłynęło w br. 21 zgłoszeń. Z tej grupy swoje publikacje dziennikarskie zgłosiło sześciu dziennikarzy z „Gazety Lubuskiej”, pięciu redaktorów z Radia Zachód, po dwóch z TVP3 Gorzów Wlkp. i lubuskiego oddziału „Gazety Wyborczej” oraz po jednym przedstawicielu z „Tygodnika Regionalna”, „Obserwatora Miejskiego”, Akademickiego Radia „Index”, RMF Maxxx i Telewizji Polskiej. W sumie więc w szranki po Wawrzyn dla najlepszego dziennikarza lubuskiego w 2017 roku stanie dziesięciu żurnalistów, siedmiu radiowców i trzech redaktorów telewizyjnych. Prace oceniać będzie kapituła w składzie: prof. UJK, dr hab. Jolanty Chwastyk-Kowalczyk z Uniwersytetu Jana Kochanowskiego w Kielcach oraz znani w kraju wybitni dziennikarze i publicyści – Tomasz Sekielski i Cezary Łazarewicz.

Tomasz Sekielski to były redaktor *Faktów* i programów publicystycznych TVN i TVN24, radia Tok

FM, programów TVP1 i TVP Info oraz tygodnika „Wprost”. Obecnie prowadzi program w telewizji naziemnej Nowa TV. Jest autorem sześciu książek, głównie o tematyce sensacyjnej i political fiction. Za swoją pracę dziennikarza śledczego został uhonorowany m.in. Nagrodą im. A. Wojciechowskiego i ProwokaTORa w plebiscycie MediaTory, jest także dwukrotnym laureatem Telekamer i Wiktora. Zdobył ponadto tytuł dziennikarza roku Grand Press 2006.

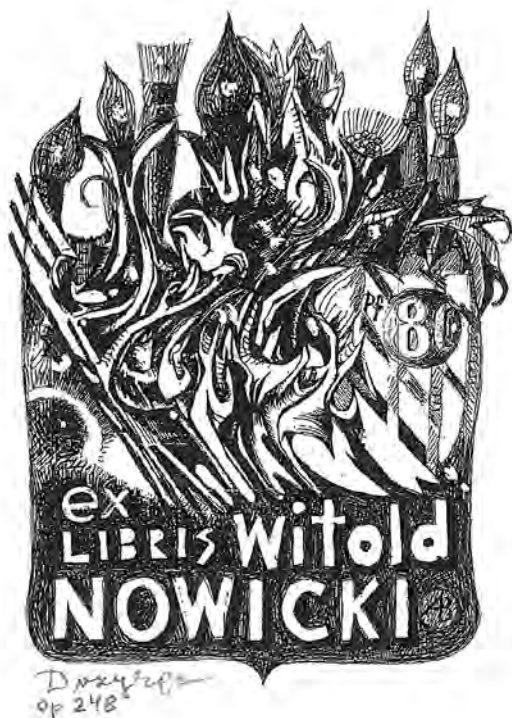
Cezary Łazarewicz był przed laty dziennikarzem „Gazety Wyborczej”, „Polityki” oraz tygodników „Przekrój”, „Newsweek” i „Wprost”, a także dyrektorem szczecińskiego Radia na Fali. Obecnie pracuje dla portalu „Wirtualna Polska”. Za pracę dziennikarską otrzymał nagrodę ObserwaTORa w plebiscycie MediaTory. Jest autorem pięciu książek reporterskich oraz laureatem Nagrody Literackiej „Nike” za 2017 rok.

w Pro Libris. Z teki Agaty Buchalik-Drzyzgi



Włodzimierz Kwaśniewicz

P.f., okazjonalny znak książkowy! Ekslibris (któryś z rzędu) powstał przy kolejnej książce *Od rycerza do wiarusa*, którą ilustrowałam z wielką przyjemnością, ucząc się zarazem nowych znaczeń w obcej mi dziedzinie militariów. Włodek jest niedościgłym znawcą szabli, ciekawie pisze na ten temat. W ekslibrisie, skromnym graficznie, lecz bardzo wymownym, żuraw jest ptakiem Hermesa jako patron piszących, a kartki mówią o bogatym, wielowątkowym wnętrzu właściciela znaku książkowego. Wieloletnia znajomość z Włodkiem przerodziła się w przyjaźń. Dzięki niej poszerzyłam swoje horyzonty.



Witold Nowicki

Pamiętajmy, że ogród naprawdę piękny powinien być nieco staroświecki. Powstaje jak poezja. Z talentu, poświęcenia, miłości i troski. Prawdziwy malarz to ten, który zna całą przyrodę. Witek kochał podróżować, z których przywoził sadzonki. Jego ogród kwitł o każdej porze roku. Również poezja żyła w nim. Wiedzieliśmy, że pisze wiersze i limeryki okazjonalne. Ekslibris powstał późno, w jego 80. urodziny. Lubiłam jego mentorski sposób bycia. Byłam młodszą koleżanką, z którą chętnie dzielił się spostrzeżeniami.



Marek Przecławski

Rzeźbiarz, kolega z roku. On w pracowni rzeźby, ja w pracowni grafiki, do której przeniostałam się po zaliczeniu I roku na rzeźbie. Przestrzenne widzenie, a może glina i ręce szorstkie po niej skłoniły mnie do zmiany pracowni. Marek wytrwale i dzielnie pracował, doskonalił warsztat. W Zielonej Górze nasze drogi znów się połączyły. Ma w tym mieście trwałe, ciekawe realizacje rzeźbiarskie.

Prezentacje

Franciszek Bunsch

Urodzony w 1926 roku w Bielsku – grafik i malarz, przedstawiciel krakowskiej szkoły grafiki warsztatowej, specjalizuje się w metaforycznej wizji rzeczywistości. Wieloletni wykładowca i profesor krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych.

Podczas okupacji niemieckiej uczył się w Kunstgewerbeschule w Krakowie. Zaraz po wojnie studiował malarstwo u prof. Eugeniusza Eibischa i grafikę pod kierunkiem profesorów Andrzeja Jurkiewicza, Ludwika Gardowskiego i Konrada Szrednickiego w Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie (1945-1949), następnie odbył dwuletni staż w Akademii Výtvarných Umění w Pradze (1949-1951). Dyplom uzyskał w roku 1955.

Przez ponad 30 lat prowadził pracownię drzeworytu w krakowskiej ASP, w roku 1990 otrzymał tytuł profesora zwyczajnego. Na uczelni pełnił różne funkcje programowe i organizacyjne, w tym dwukrotnie funkcję prorektora w latach 1972-1975 i 1984-1987.

Od roku 1951 bierze udział w wystawach ogólnopolskich, regionalnych oraz w wystawach grafiki polskiej za granicą, m.in.: w Belgii, Holandii, ZSRR oraz Rosji, Danii, Norwegii, NRD, na Kubie i Węgrzech, w Austrii, Czechosłowacji, Wenezueli, Urugwaju, Meksyku, Francji, Jugosławii, Bułgarii, Szwecji, Szwajcarii, Turcji, Japonii, Finlandii, Algierii, Tunezji, Islandii, Hiszpanii, RFN, Kanadzie i USA. Pokazał ponad 30 wystaw indywidualnych w Polsce i za granicą, stając się jednym z cenionych reprezentantów nurtu metaforycznego grafiki warsztatowej, wykonywanej w tradycyjnych technikach, które same w sobie są przedmiotem autotematycznej gry z wielkim obszarem historii grafiki. Punktem wyjścia dla jego twórczości graficznej bywały często dzieła i motywy literackie, jednak swobodna inspiracja materią literacką prowadziła do przedstawienia własnej, onirycznej wizji, w której można dostrzec również nawiązanie do surrealizmu.

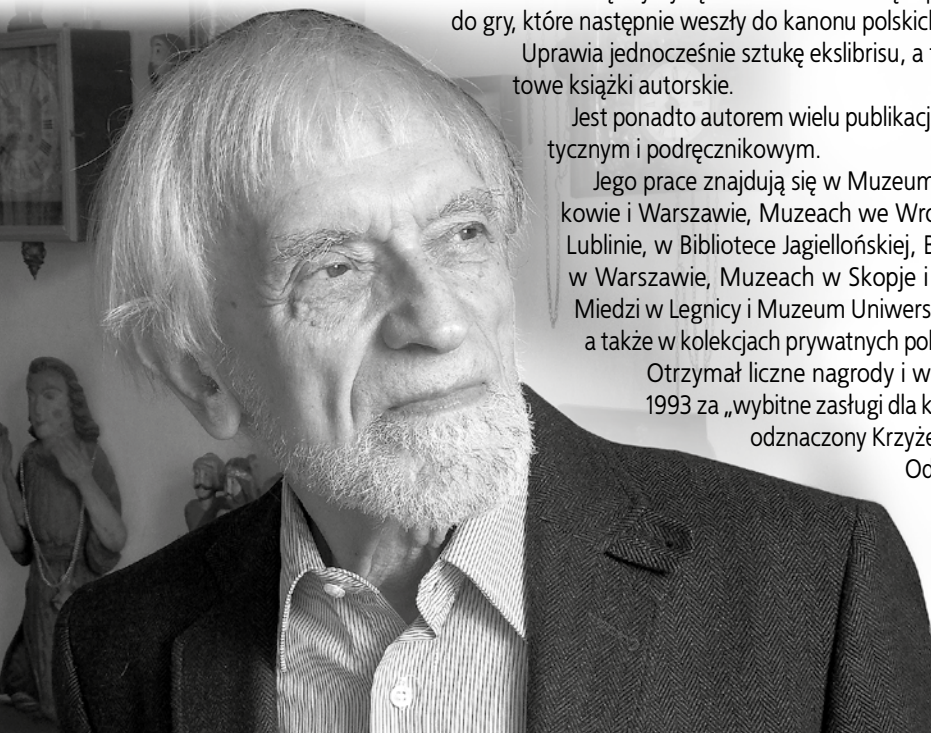
Zajmował się również ilustracją książkową oraz opracowaniem graficznym wydawnictw. W latach 1960-1980 wraz z żoną Krystyną Bunsch-Gruchalską zaprojektował serie kart do gry, które następnie weszły do kanonu polskich wzorów kart.

Uprawia jednocześnie sztukę ekslibrisu, a także realizuje unikatowe książki autorskie.

Jest ponadto autorem wielu publikacji o charakterze teoretycznym i podręcznikowym.

Jego prace znajdują się w Muzeum Narodowym w Krakowie i Warszawie, Muzeach we Wrocławiu, Bydgoszczy, Lublinie, w Bibliotece Jagiellońskiej, Bibliotece Narodowej w Warszawie, Muzeach w Skopje i w Pradze, Muzeum Miedzi w Legnicy i Muzeum Uniwersytetu Jagiellońskiego, a także w kolekcjach prywatnych polskich i zagranicznych.

Otrzymał liczne nagrody i wyróżnienia, a w roku 1993 za „wybitne zasługi dla kultury polskiej” został odznaczony Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski.





Franciszek Bunsch, *San Gimignano*, tempera, 1993



Franciszek Bunsch, *Szczelina*, tusz, tempera, 2010



Franciszek Bunsch, *Białe i czarne*, tusz, piórko, 2010



Franciszek Bunsch, *Pireneje*, linoryt, 2001

Zwierzenia autora

Podejmując jakieś rozważania na temat sztuki – przyznaję – robię to w powiązaniu z tym, co sam realizuję we własnej działalności graficznej czy malarskiej. Tak i tym razem, chcę się podzielić swoimi przemyśleniami.

W ramach obrazu stwarzamy nową rzeczywistość, lecz jak ma się ona do tej poza nami istniejącej, a którą właśnie obserwujemy? Rysowanie jest metodą dokumentacji, zapamiętania, niezależnie, czy będzie to odtworzeniem rzeczywistości, czy też czymś powstałym jedynie w naszej wyobraźni – okazuje się tym samym rodzajem przekazu, porozumienia, oddziaływania. W konsekwencji każdy, w różnych zresztą zawodach i tworząc różne jego odmiany, posługuje się rysunkiem, niekiedy czynnie, a czasem po prostu biernie (tylko jako jego odbiorca). Naturalnie dziedziny twórcze koncentrują się na tej technice, tworząc osobną dyscyplinę – sztukę rysunku.

Z rysunkiem jako działaniem artystycznym kojarzą się cztery pojęcia, ale i problemy, które dotyczą każdego autora. Są to:

- **uproszczenie** – rysownik w oczywisty sposób spotyka się z tą kwestią – ponieważ nie da się oddać wszystkiego, pojawia się nieunikniona konieczność dokonania wyboru spośród istniejącej różnorodności zjawisk;
- **schemat** – zastosowanie już kiedyś użytego sposobu; niebezpieczny, gdy zaczyna się powtarzać i staje się sposobem rozwiązania;
- **stylizacja** – świadome utrwalenie wcześniej już zastosowanego uproszczenia i zrobienie z niego cechy stylowej wypowiedzi własnej lub zapożyczonej, w rezultacie pomijanie zjawisk specyficznych i charakterystycznych (właściwych) dla danego pojedynczego zjawiska;
- **synteza** – oparcie się na cechach najbardziej istotnych danego zjawiska i ich podkreślenie,

świadome pominięcie nieistotnych lub mało znaczących w danym przypadku szczegółów – jednocześnie dążenie do uzyskania maksymalnego wyrazu wypowiedzi własnej.

Dopiero poznając obiekt poprzez jego rysowanie, można zacząć go przekształcać, szukać uproszczenia, syntezy, a czasem nawet za pomocą specjalnego podkreślenia cech charakterystycznych doprowadzić aż do karykatury.

W grafice rysunek zwykle bywa wykorzystywany jako źródło, czy to bezpośrednio jako szkic, czy też pośrednio jako notatka samego pomysłu, idei. Rysunek jest zatem najczęściej punktem wyjścia. Później materiał, technika, w której się ostatecznie realizuje dany zamiar, narzucają, ale i ograniczają możliwości. I to one właśnie wpływają na środki wyrazowe użyte w powstającej pracy graficznej i są podstawą określenia grafiki jako odrębnej i specyficznej dziedziny sztuki.

W sztuce rzeczą istotną jest współgranie treści i sposobu jej wyrażania, dlatego że odpowiednio zastosowana forma służy i wzmacnia sam przekaz. A treść przekazana, nawet jeśli ma to być tylko „czarny kwadrat”, zależna jest od rozumienia roli artysty w sensie głębszym – filozoficznym. Natomiast tytuł danej pracy (obrazu) często wpisywany przez autora, jest sposobem naprowadzania myśli i wyobraźni oglądającego.

Środki działania to uzyskanie w rycinie czy obrazie zamierzonych napięć – dramatyzowanie środkami wyrazowymi lub ich łagodzenie poprzez wzajemne działania plam, zarówno przez ich zarys, wzajemne relacje, jak i działanie koloru.

Tradycyjnie pierwotna grafika traktowana była jako sztuka biało-czarna. Zarazem od samych początków nierzadko uzupełniano ją, podmalowując wydrukowane już ryciny. Dopiero właściwie

pod wpływem sztuki Dalekiego Wschodu zaczęto drukować także płaszczyzny koloru. Jakąś próbą w tradycji europejskiej były drzeworyty chiaroscuro w XVI wieku – rodzaj raczej traktowania światłocieniowego dla wydobywania większej plastyczności. Jednak oglądając je dzisiaj, dopatrzeć się możemy także wartości kolorystycznych. Pełne użycie koloru rozpoczyna się właściwie w połowie XIX wieku pod wyraźnym wpływem sztuki japońskiej.

Użycie koloru w grafice w żadnym wypadku, nawet przy skrajnie naturalistycznym podejściu, nie może być imitacją, zawsze stanowi pewną formę transformacji i to chociażby ze względów czysto technicznych. Myślę tu o istniejącym ograniczeniu – każdy kolor to odrębna płyta i ograniczone możliwości różnicowania tonu. Na to nakłada się

naturalna w grafice zasada różnicowania działania plamy. Ponieważ nie jesteśmy w stanie uzyskać wielu odcieni jak w malarstwie, musimy wykorzystywać wzajemne oddziaływanie i pewnego rodzaju „złudzenie” uzyskiwane przez proporcje, zestawienia, kontrasty lub ich brak, podobieństwa, analogicznie jak w grafice czarno-białej, tylko w sposób znacznie bardziej skomplikowany.

Z punktu widzenia samego artysty, uprawiającego jednocześnie malarstwo, rysunek i grafikę, czymś naturalnym jest przenoszenie doświadczeń i osiągnięć wzajemnie pomiędzy wymienionymi dziedzinami do tego stopnia, że staje się właściwie problematyczne wyznaczanie jakichś sztywnych podziałów między tymi formami wypowiedzi artystycznej.



Kolekcjoner Lubuski

Dawne pudełka od zapalek wyróżniają się niespotykaną oryginalnością...

Rozmowę z filumenistą, filatelistą, filokartystą, bibliofilem i... ogrodnikiem Mieczysławem Jerulankiem przeprowadziła Ewa Mielczarek

Kolekcjoner, regionalista, miłośnik historii, urzędnik... Jak Pana przedstawić?

Rzeczywiście, jestem kolekcjonerem (filatelistyka, filumenistyka oraz bibliofilstwo), regionalistą, miłośnikiem historii, a także – z racji wykonywanego zawodu – urzędnikiem. Dodałbym jeszcze jedno określenie, które mnie charakteryzuje – miłośnik roślin, zafascynowany uprawianiem ogrodu i kształtujący otaczający mnie krajobraz. Ale to temat bardzo szeroki, nadający się na oddzielny wywiad.



Skąd się wzięła Pańska kolekcjonerska pasja? Czy pamięta Pan, jaki był początek zbieractwa?

Już jako chłopiec zacząłem zbierać znaczki pocztowe, co było dość popularne w mojej grupie rówieśniczej. Wiele moich kolegów interesowało się filatelistyką. Dopiero później dostrzegłem etykiety zapalczane, które oczarowały mnie nie jako przedmioty użytkowe (nigdy nie paliłem papierosów), ale jako dzieła sztuki umieszczane na opakowaniach zapalek. Warto wspomnieć, że filumenistyka, znana od połowy XIX stulecia, stała się popularna od lat 30. XX wieku najpierw w Wielkiej Brytanii, potem w innych krajach. Zgromadziłem do dziś sporą kolekcję liczącą kilkaset sztuk. Szczególnie, jako późniejszego historyka, pociągały mnie wizerunki herbów miast Polski.

Skąd pochodzą kolejne obiekty? Jak zdobywa Pan eksponaty do swojego zbioru?

Oprócz poszukiwań własnych pozyskiwałem je od przyjaciół i znajomych, którzy dowiedziawszy się o mojej pasji, częstokroć przynosili mi przepiękne okazy. Z czasem rodzice, widząc moje zaangażowanie w zbieractwo, wykupili abonament na etykiety zapalczane, dzięki czemu posiadałem wszystkie, które ukazywały się w danym czasie.

Proszę scharakteryzować swój zbiór. Jak go Pan nazywa?

Jak wspominałem wcześniej, etykiety zapalczane pojawiły się w drugiej połowie XIX wieku. Od tego czasu stały się w pewnym sensie nośnikiem informacji. Spełniały różnorodne funkcje: nalepki towarowej, miniaturowego plakatu o określonych zadaniach propagandowych, oświatowych lub reklamowych, albo funkcję dekoracyjną. Moja kolekcja odzwierciedla wszystkie te funkcje, jest świadectwem czasów,



w których powstawała. Podobnie jak znaczki, etykiety przedstawiają różną tematykę, wprost nie sposób wszystkiego wymienić. Między innymi przedstawiają wizerunki sławnych Polaków, monet, zwierząt, reklamy różnych firm, herby miast itp. Nie jestem w stanie ich wszystkich przedstawić. Faktem jest, że dawne pudełka od zapalek wyróżniają się niespotykaną oryginalnością, kolorystyką, tematyką, a także rozmiarami.

Które z eksponatów ceni Pan najbardziej?

Posiadam nie tylko zbiór etykiet zapalczanych, gromadzę także literaturę dotyczącą filumenistyki. Posiadam kilka katalogów etykiet polskich, co pozwala każdą z nich przypisać do danego roku i stwierdzić ich wiek. Wszystkie etykiety stanowią dla mnie wartość kolekcjonerską i nigdy nie zastanawiałem się, które z nich są najcenniejsze. Myślę jednak, że chyba te najstarsze.

Czy miał Pan okazję prezentować swój zbiór szerszej widowni?

Nie chwaliłem się szerszej widowni swoim zbiorem. Zdarzyło się raz, za namową małżonki. Zaprezentowałem kilka klaserów na wystawie kolekcjonerskiej w szkole, w której pracowałem. Dzieci były zachwycone. Nauczycielom też się bardzo podobały. Wielu nie wierzyło, że kiedyś można było nabyć zapalki w tak pięknym opakowaniu.

Tworzenie kolekcji wymaga dużych nakładów finansowych, jak sądzi...

Nakładów finansowych zbytnio nie odczuwałem, gdyż abonament był niski, a wiele pudełek z etykietami, jak już wspominałem, przynosili mi koledzy, znajomi, kuzyni. Trzeba było je umiejętnie odkleić od pudełka, niekiedy wyprasować i umieścić w klaserze. Niemniej pomoc finansowa



rodziców też była znacząca w zakupie katalogów, klaserów itp.

Rozrastająca się kolekcja to satysfakcja, ale i problem z jej przechowaniem. Jak go Pan rozwiązuje?

Obecnie filumenistyka w Polsce jest w zaniku z powodu braku nowych etykiet zapalczanych. Dziś produkowane pudełka zapatek posiadają nadruki. Natomiast jeszcze w latach 70. ubiegłego wieku w sieci kiosków RUCH-u sprzedawane były zestawy etykiet zapalczanych specjalnie dla kolekcjonerów (podobnie jak zestawy znaczków pocztowych czystych lub stemplowanych). Z oczywistych względów moja kolekcja już się nie rozrasta, a swoje miejsce znalazła w klaserach i tekturowych pudłach w jednej z przepastnych szaf.

Jakie są plany na odległą przyszłość związaną z kolekcją? Czy widzi Pan następców, którzy będą kontynuować tę pasję?

Mam nadzieję, że zbiory przejmą moje wnuki, bo staram się ich zainteresować tym, co mnie fascynowało przez kilka lat.

Jakie marzenia posiada kolekcjoner Mieczysław Jerulank?

Obecnie bardziej pasjonuje mnie kolekcjonowanie książek o tematyce historycznej – to moje ulubione zajęcie. Także opieka nad olbrzymią ilością różnorodnych roślin w przydomowym ogrodzie pochłania mnie bez reszty.

Uprzejmie dziękuję za rozmowę.



Joanna Wawryk

Rozbite lustro. O współczesnym bycie baśni

Wszystkie odmiany literatury w pewnym momencie umierają – twierdził Władimir Propp – tymczasem zrozumiała przez wszystkich baśń przekracza kolejne granice językowe i trwa przez tysiąclecia¹. Wilhelm Grimm z kolei pisał o wspólnym mianowniku baśniowych opowieści: „Wspólne wszystkim baśniom są pozostałości sięgającej najstarszych czasów wiary, która wyraża się w obrazowym ujęciu rzeczy nadzmysłowych. Owa materia mityczna przypomina kawałeczki rozpryśniętego kamienia szlachetnego, które leżą wśród trawy i kwiatów porastających ziemię i mogą być odkryte jedynie bystrzejszym okiem”². Takie spojrzenie na baśń pozwala upatrywać w niej „córkę mitu”, pozbawioną sakralnego wymiaru. Jej początki giną w mrokach dziejów, jednakże coś sprawiło, że przetrwała do dziś, kształtując świadomość kulturową kolejnych pokoleń. A jak jest obecnie? Współczesny byt, czy raczej wielobyt, baśni jawi się jako dość skomplikowane zjawisko³.

Baśń pojmowana jako gatunek literacki ewoluje. Zmienia się terminologia i metodologia jej badań,

1 W. Propp, *Nie tylko bajka*, przeł. D. Ulicka, Warszawa 2000, s. 29-30.

2 Cyt. za: M. Lurker, *Przestanie symboli w mitach, kulturach i religiach*, przeł. R. Wojnakowski, Kraków 1994, s. 59.

3 Wiele aspektów tu jedynie zasygnalizowanych rozwinęłam w artykule *Baśń bez granic. O Czerwonym Kapturku we współczesnej literaturze i poza nią*, [w:] *Literatura i granice. Szkice o literaturze XX i XXI wieku*, red. B. Gutkowska, A. Nęcka, K. Gutkowska-Ociepa, Katowice 2017, s. 227-258.

a przede wszystkim – odbiorca i jego oczekiwania. Oczywiście nie jest ona domeną tylko literatury. Po baśniowej topice sięgają twórcy reprezentujący różne gałęzie sztuki. Baśniowe elementy są też atrakcyjne dla producentów, handlowców, marketingowców, którzy oferują odbiorcom kultury wysokiej i popularnej szerokie spektrum utworów oraz produktów. Przyjmując za Weroniką Kostecką, że baśń jest tekstem kultury⁴, można doszukiwać się jej w rozmaitych obszarach. Literatura, teatr, film, muzyka, komiks, hipertekst, gra, popkultura, sztuka użytkowa... Baśń jest jak rozbite lustro, którego mniejsze lub większe części możemy odnaleźć w różnorodnych tekstach, do których wnoszą określone znaczenia symboliczne bądź też w których ulegają przekształceniom.

Perrault, bracia Grimm, Andersen...

Któż nie kojarzy najbardziej znanych zbiorów baśni? A jednak wydaje się, że baśniowy kanon jest coraz szczelniej przykrywany kolejnymi adaptacjami, przeróbkami i utworami rozmaicie wykorzystującymi tradycyjne fabuły. Współczesny odbiorca kultury ma dostęp do szeregu tekstów i być może to one są dla niego atrakcyjniejsze od klasycznych baśni. Co ciekawe, polskojęzyczny czytelnik dopiero od niedawna ma do czynienia z pierwszymi filologicznymi przekładami zbioru Wilhelma i Jakuba Grimmów (Elizy Pieciul-Karmińskiej)⁵ i baśni Hansa Christiana Andersena (Bogusławy Sochańskiej)⁶, a wcześniejsze tłumaczenia (na których wychowało się kilka pokoleń) nie były wolne od ingerencji w tekst autorów przekładu, które musiały wpływać na interpretacje. Z kolei XVII-wieczne utwory Charles'a Perraulta funkcjonują w wielu mniej lub bardziej zbliżonych do oryginału adaptacjach. Utylitaryzm *Bajek Babci Gąski* (1697), tak dosadnie wyrażony choćby w *Czerwonym Kapтурku*, może być dziś ciężko strawny (w finale tej wersji wilk zjada dziewczynkę i nie przychodzi żaden myśliwy, by ją i babcię uratować, zamiast tego zostaje podany morał w formie rymowanego wierszyka;

takie rozwiązanie ma cel dydaktyczny, ale nie przynosi otuchy i szczęśliwego happy endu), stąd różne uwspółcześnienia historii.

Tradycyjne baśnie są przedmiotem reinterpretacji (polemicznej, krytycznej bądź podejmującej niektóre wątki) w najnowszych tekstach kultury. Tak więc kanon stał się rezerwuarem motywów, wątków i postaci wykorzystywanych przez autorów tworzących w innych gatunkach.

Dla dzieci i dla dorosłych

Baśń jest kojarzona przede wszystkim z literaturą dla dzieci. Od pierwszych kilkukartkowych książeczek dla najmłodszych, całych serii wydawniczych z baśniami, poprzez oryginalne w zakresie treści i formy nowe wersje klasycznych utworów (jak np. „Niebaśnie” – seria Wydawnictwa Jacek Santorski & Co), po artystyczne, pięknie ilustrowane edycje, wzbudzające zachwyt bibliofilów – wybór jest ogromny... Obok szeregu nowych utworów w oryginalny sposób czerpiących z baśniowej konwencji powstają kolejne adaptacje klasyki, którym – niekiedy decyzją wydawcy – patronują Perrault lub Grimmowie. Nowe odsłony znanych baśni świadczą o dwóch – mogłoby się zdawać sprzecznych – zjawiskach: poczuciu znużenia znaną opowieścią czy potrzebie jej uwspółcześnienia, dopasowania do nowego pokolenia odbiorców, jak i uniwersalności oraz ciągłej aktualności baśniowych historii.

A przygoda z baśnią wcale nie kończy się wraz z dzieciństwem, lecz trwa nadal poprzez teksty przeznaczone dla młodzieżowego i dorosłego czytelnika. Charakterystyczne dla literatury postmodernistycznej łączenie stylów, poetyk i wyznaczników gatunkowych sprawia, że w rozmaitych utworach pojawiają się baśniowe elementy. Odwołania do baśni znajdziemy chociażby w prozie fantastycznej Neila Gaimana (np. *Szkoła, śnieg i jabłko*), Michaela Cunnighama (*Dziki łabędź i inne baśnie*), Johna Connolly'ego (*Księga rzeczy utraconych*), Marissy Meyer (*Saga Księżycowa*); w kryminałach – Unni

4 W. Kostecka, *Baśń postmodernistyczna: przeobrażenia gatunku*, Warszawa 2014, s. 9.

5 Zob. W. i J. Grimm, *Baśnie dla dzieci i dla domu*, t. 1-2, przeł. E. Pieciul-Karmińska, Poznań 2010; H.Ch. Andersen, *Baśnie*, przeł. B. Sochańska, Poznań 2005.

Lindell (*Czerwony Kapturek*) czy Johna Katzenbacha (*Czerwone Kapturki. Numer 1, numer 2, numer 3*). Ciekawy przykład stanowi też zbiór *Śpiąca królewna z Tysiąca i jednej nocy i inne baśnie dla dorosłych*, którego autorem jest Tahar Ben Jelloun (pisarz opowiada na nowo baśnie Perraulta, przenosząc je w świat Orientu).

W ten sposób kryminał czy prozę z gatunku fantasy możemy rozpatrywać jako baśń postmodernistyczną, czyli utwór literacki, który – posługując się definicją W. Kosteckiej – „reinterpretuje baśń klasyczną, czyli dekonstruuje ją, proponuje nowe jej odczytanie, włącza ją w obszar intertekstualnych gier z tradycją, weryfikuje dotychczasowe interpretacje”⁶. Owe gry z tradycją są charakterystyczne nie tylko dla tekstów literackich.

Baśniowy recykling

Szereg przykładów wykorzystania baśni w niebaśniowych tekstach przynosi świat filmu i to nie tylko w odniesieniu do dzieł przeznaczonych jedynie dla dzieci. Krokiem milowym w filmowej dekonstrukcji baśni stał się *Shrek* z 2001 roku (reż. Andrew Adamson, Vicky Jenson). W animacji znajdujemy odwołania do licznych baśni, które zostały sparodiowane, a zawarte w nich sensy podane *à rebours*. Można powiedzieć, że *Shrek* wyznaczył nowe standardy disneyowskiej baśni filmowej, która ma bawić i dzieci, i dorosłych.

Poza kinem familijnym powstają również liczne produkcje przeznaczone dla dorosłych, wykorzystujące baśniowe historie, a przede wszystkim eksponujące te ich aspekty, które w tekstach dla dzieci są kamuflowane lub pomijane – seksualność i grozę. Do samych Grimmów nawiązuje choćby film Terry’ego Gilliana z 2005 roku *Nieustraszeni bracia Grimm* (fabułą jest fikcyjna biografia Wilhelma i Jakuba, ukazanych jako para oszustów; poza tym w filmie pojawiają się liczne nawiązania do baśni Grimmów). Innym przykładem są popularne serie telewizyjne, jak emitowane od 2011 roku: *Grimm* i *Dawno, dawno temu* (*Once Upon a Time*). Na uwagę zasługuje muzyczny film fantasy – *Tajemnice lasu* (reż. Rob

Marshall, 2015), będący filmową adaptacją musicalu *Into the Woods* Jamesa Lapine, którego wielowątkową fabułę tworzą historie nawiązujące do znanych baśni: *Jaś i magiczna fasola*, *Czerwony Kapturek*, *Roszpunka* i *Kopciuszek*.

Odwołania do baśni odnajdujemy w muzyce, teledyskach, reklamach, fotografiach, obrazach – nie sposób wszystkiego omówić, w każdym razie ta różnorodność świadczy o tym, że baśń jest częścią kodu kulturowego czytelnego i zrozumiałego dla większości odbiorców kultury.

W kulturze masowej baśniowe elementy (doprecyzowując: ich materialne nośniki) funkcjonują również jako produkty. Choćby w przypadku książek dla dzieci – bywają do nich dołączane rozmaite gadzety: puzzle, naklejki, interaktywne elementy, flamastry, kredki, zabawki, maskotki itd. Te wszelkie „dodatki” niekiedy umożliwiają wchodzenie w strukturę baśni i w pewnym stopniu kreowanie jej. Wizerunki baśniowych bohaterów znajdują się też na szeregu produktów dedykowanych głównie dzieciom (zabawki, odzież, materiały szkolne itd.).

Tematem odrębnego opracowania mógłby być również wirtualny byt baśni. W cyberprzestrzeni spotykamy się z najprzeróżniejszymi przejawami baśniowości i zainteresowania tą tematyką (zdigitalizowane książki, tematyczne portale i blogi, ogrom materiały graficznego, liternet itd.). Baśniowe postacie i schematy fabularne funkcjonują też w świecie gier, zaczynając od planszowych przeznaczonych dla najmłodszych, po komputerowe dla osób dorosłych (np. *The Path* czy *Okrutne gry: Czerwony Kapturek*).

We współczesnej kulturze, przede wszystkim masowej jest również wiele przykładów „baśni sponiewieranej” (określenie Ryszarda Waksmundą). To zjawisko dotyczy m.in. różnych przejawach aktywności twórczej nastawionej na aspekt humorystyczny, jak skecze kabaretowe, dowcipy czy rysunki satyryczne. Wartość artystyczna tych tekstów rozciąga się od wysokiej sztuki po wulgarne, niecenzuralne utwory. Widzimy w nich baśnie jak w krzywym zwierciadle: sparodiowane, wyjaskrawione, rubaszne.

6 W. Kostecka, dz. cyt., s. 16.

Opowiedz mi bajkę

Od kompetencji lekturowych, wiedzy i doświadczeń odbiorcy zależy, na ile rozpozna i rozszyfruje tekstowe gry współczesnych twórców z baśniową tradycją. Na różnych etapach życia baśniowy palimpsest się rozrasta – następuje nawarstwianie się kolejnych fabuł, zaczynając od pierwszych baśni poznawanych w dzieciństwie. U progu baśniowości kryje się jednak opowieść. Nie trzeba wyjaśniać, jak ważna dla rozwoju dziecka...

Władysławowi Kopalińskiemu przy dokonywaniu wyboru historii do zbioru *125 baśni do opowiadania dzieciom* towarzyszyła myśl, by czytelnik, po cichej lekturze treści baśni opowiedział ją następnie „własnymi słowami z własnej pamięci, słownictwem i stylem znanym dziecku z codziennych kontaktów z opowiadającym”⁷. Wybitny leksykograf docenił tym samym to, co stanowiło pierwotny byt baśni – opowieść. W akcie opowiadania bowiem – na co wskazywał też Pierre Péju w książce *Dziewczynka w baśniowym lesie* – dochodzi do łączności przeszłości z przyszłością, tego, co indywidualne, z uni-

wersalnym, życia bieżącego ze sferą cudowności. Świat staje się spójny, uporządkowany, choć bardziej tajemniczy i pełen ukrytych sensów: „Każda baśń skrywa, pośród swych niepokojących obrazów, pytania i zagadki, które następnie zabieramy ze sobą i przekazujemy swoim następcom, opowiadając, czytając, pisząc albo przetwarzając”⁸. Péju w tym, co współcześnie dzieje się z baśnią, dostrzegając zagrożenie, polegające na tym, że ulotne, błahie narracje mogą wyprzeć to, czym dawniej był akt opowiadania. To prawda, że wielość około-baśniowych tekstów i produktów coraz szczelniej przykrywa tradycyjną, klasyczną wersję baśni, jednak ta różnorodność pozwala na realizowanie rozmaitych potrzeb odbiorców. Każde czasy wytwarzają bowiem własne baśnie, w których odbijają się zawiłania światopoglądowe i artystyczne, to, co najbardziej istotne albo symptomatyczne. Obecnie nie jest możliwa jedna wersja, jedna opowieść – współczesność oferuje szereg możliwych rozwiązań, a od czytelnika/odbiorcy/konsumenta zależy, co z tego ogromu wybierze.

7 W. Kopaliński, *125 baśni do opowiadania dzieciom*, Warszawa 2004.

8 P. Péju, *Dziewczynka w baśniowym lesie. O poetykę baśni: w odpowiedzi na interpretacje psychoanalityczne i formalistyczne*, przeł. M. Pluta, Warszawa 2008, s. 11.

Od cnotliwej księżniczki do wyzywającej piękności,

czyli jak disnejowska wersja *Małej Syrenki* wpłynęła na zmianę losów i wizerunku bohaterki baśni Hansa Christiana Andersena

Baśnie Hansa Christiana Andersena dla wielu są wzruszającym i niezapomnianym wspomnieniem dzieciństwa, zanurzonego w magiczny obraz niezwykłej rzeczywistości. Pomimo iż od ich powstania minęło ponad sto lat, wciąż zachwycają wielu czytelników. Tajemniczy świat, w którym ożywione przedmioty odczuwają radość, ból i cierpienie, pasjonuje nie tylko najmłodszych. Podwójna wykładnia treści prezentowanych przez autora pozwala na odczytywanie tekstów na wielu różnych poziomach, zależnie od wieku i erudycji odbiorcy. Niekiedy zdarza się, iż Andersenowskie baśnie zapamiętane z dzieciństwa nabierają zupełnie innego znaczenia, jeśli sięga się po nie ponownie wiele lat później. Klasyczna baśń Andersena obfituje w liczne wykładnie symboliczne, odwołania mitologiczne czy wątki filozoficzne. Bogactwo nawiązań w XIX-wiecznych utworach kontrastuje z wieloma tekstami powstającymi obecnie. Szybki rozwój mass mediów przyczynił się w dużym stopniu do uproszczenia problematyki i fabuły wielu z nich na rzecz źródła lekkiej i zarobkowej rozrywki.

Doskonałym przykładem na określenie skali omawianego zjawiska okazuje się *Mała Syrenka*. Najpopularniejszym tłumaczeniem tej baśni jest przekład Stefanii Beylin z 1931 roku, najwierniejszym – powstały bezpośrednio z języka duńskiego przekład Bogusławy Sochańskiej (H.Ch. Andersen, *Baśnie*, Media Rodzina, Poznań 2005). Fabułą *Małej Syrenki* jest historia jednej z pięciu młodych córek króla mórz, wychowywanych przez mądrą i wysoko urodzoną babkę. Czasem inicjacji w dorosłe życie staje się moment piątynastych urodzin. Wówczas syreny wypływają na powierzchnię, by po powrocie opisać swoje do-

świadczenia młodszym mieszkankom podwodnego świata. Najmłodsza z nich, nieznająca świata ludzi, zakochuje się w marmurowym posągu, który trafia na dno morza wraz z tonącym statkiem. Rzeźba przedstawia wizerunek młodego księcia i wzbudza w syrenie ogromne pragnienie poznania natury ludzkiej i innej, nieodkrytej dotąd rzeczywistości. Zbieg okoliczności sprawia, że pierwszej nocy spędzonej na powierzchni, podczas sztormu, ratuje ukochanego przed śmiercią. Pozostawia go bezpiecznie na brzegu i oddala się. Miłość bohaterki w tekście Andersena nie opiera się jedynie na pożądaniu, jest uzasadniona wzniosłymi pragnieniami. Syreny żyją bowiem około trzystu lat, jednakże po śmierci zamieniają się w morską pianę. Jedynym sposobem na pozyskanie nieśmiertelnej duszy, a tym samym stanie się wyższą i lepszą istotą, jest ślub z człowiekiem – połączenie przez kapłana dusz kochanków na wieczność. Mała Syrenka świadomie decyduje, by z pomocą wiedzy doświadczyć przeistoczenia z syreny w dziewczynę. Spełnienie marzeń ma jednak bardzo wysoką cenę. Za magiczny eliksir oddaje najlepsze, co ma – piękny, syreni głos. Przemiana ogona w nogi jest bardzo bolesna, a każdy krok do końca życia ma przypominać rozcięcie ciała ostrym narzędziem. Los okazuje się dla tytułowej bohaterki wyjątkowo nieprzychylny. Uratowany książę nie zdaje sobie sprawy, iż to jej zawdzięcza życie. Poślubia kobietę, którą jako pierwszą dostrzega obok siebie po ocknięciu się na plaży. Według umowy zawartej z wiedźmą odrzucenie przez ukochanego wiąże się dla Małej Syrenki z utratą życia. Kuszona przez siostry po raz ostatni dokonuje wyboru. Jeśli zabije księcia i jego ukochaną podczas snu, odzyska dawną po-

stać. Szlachetność jej uczuć i wielka miłość sprawia, iż dziewczyna daruje im życie, poświęcając tym samym własne. Zakończenie przynosi czytelnikom nadzieję. Syrena nie umiera i nie zmienia się w morską pianę, lecz w córę powietrza, która dobrymi uczynkami może zasłużyć na nieśmiertelną duszę. Jest to nagroda za cierpienie przeżyte na ziemi.

Tekst okazuje się ciekawym, ale często również kontrowersyjnym materiałem dla badaczy literatury. Syrena jako reprezentantka wyalienowanego gatunku żyjącego obok człowieka wskazuje na szeroką symbolikę mitologiczną. Te mityczne stworzenia zamieszkiwały skaliste wybrzeża i rafy. Przypisywano im słodki śpiew, którym wabiły podróżnych, następnie ich zabijały i pożerały. Według Władimira Proppa pozbawienie Syrenki głosu wiąże się nie tylko z odebraniem jej największego atutu, ale z pewnym funkcjonującym w baśniach schematem. Milczenie wskazuje na zależność kobiety od innych. Rosyjski literaturoznawca dopatruje się dodatkowo w baśniowym zakazie mowy znaczenia rytualnego, związanego z przebywaniem bohaterki po drugiej stronie, w sferze śmierci¹. Los Małej Syrenki zostaje więc przesądzony jeszcze za jej życia. Według Grażyny Lasoń-Kochańskiej zależność kobiety od innych przejawia się w przewidzianych dla niej rolach. Bohaterka baśni poprzez wejście do świata ludzi przechodzi inicjację, która ma przygotować ją do roli żony młodego księcia. Badaczka przywołuje również problem związany z odrzuceniem własnej cielesności przez nastolatki i brakiem akceptacji własnego ciała². Wyraża się on w dziele Andersena poprzez przemianę ogona w nogi, będącą próbą samookaleczenia syreny na rzecz pozyskania akceptacji środowiska. Dorota Babias określa baśń Andersena jako tekst pożyteczny, ale i szkodliwy, pełen pasywności, konformizmu, a nawet masochizmu³. Katarzyna Salana potwierdza to stanowisko, pisząc:

„Syrena reprezentuje osobowość autodestrukcyjną, podejmującą niewłaściwe decyzje i wyniszczającą samą siebie [...] wkracza w sferę emocjonalnego wyjaławienia, w której jedyną potrzebę kobiety stanowi zaspokajanie cudzych pragnień”⁴. Amerykańska psycholog Mary Pipher wskazuje, iż znaczenie wyglądu jako głównego czynnika w ocenie kobiet wzrosło na przełomie XIX i XX wieku. Problem ten przejawia się w baśni Andersena – dla bohaterki ważniejsze jest posiadanie perfekcyjnego ciała niż pięknego głosu⁵. Do najodważniejszych wniosków dochodzi Jackie Wullschlager, która interpretuje baśń jako echo biseksualnych skłonności autora. Według niej jest to baśń o odmieńcu (syrena jest innego gatunku niż ludzie), który milczy, ponieważ ze względów obyczajowych nie może okazać zakazanych uczuć⁶.

Obok wielu nowych interpretacji baśni, pomimo upływu lat wciąż powstają niezliczone wersje *Małej Syrenki*, z których najbardziej znaną jest bez wątpienia disneyowski film animowany z 1989 roku w reżyserii Johna Muskera i Rona Clementsa. Można określić go jako baśń postmodernistyczną, czyli nowoczesną baśń, która przenika do rozmaitych dziedzin sztuki i kultury popularnej, objawiając się w coraz to nowszych formach. Główną bohaterką dzieła wytwórni Disneya jest szesnastoletnia, nieco nieposłuszna, ciekawska i niezdyscyplinowana córka króla Trytona. Jej życie upływa na figlach w towarzystwie mówiących ludzkim głosem zwierzęcych przyjaciół. Od początku fabuła ulega uproszczeniu – zupełnie pominięty zostaje wątek inicjacji młodych syren przez doświadczoną babkę. Tym samym widzowi zostaje odebrana możliwość wprowadzenia w tajemniczy, nieznany podwodny świat. Mocno spłycony jest również problem miłości Arielki do księcia Eryka. W disneyowskiej wersji książkę zakochuje się w nieznajomej, która uratowała mu życie, zapamiętuje jej nadludzko piękny, syreni śpiew, po czym pragnie ją odnaleźć i poślubić. Oboje

1 W. Propp, *Nie tylko bajka*, przeł. D. Ulicka, Warszawa 2000, za: G. Lasoń-Kochańska, *Gender w literaturze dla dzieci i młodzieży. Wzorce płciowe i kobiece repertuaru tematycznego*, Słupsk 2012, s. 29.

2 G. Lasoń-Kochańska, dz. cyt., s. 219.

3 D. Babias, *Szkodliwe i pożyteczne*, za: G. Lasoń-Kochańska, dz. cyt., s. 76.

4 G. Lasoń-Kochańska, dz. cyt., s. 84.

5 M. Pipher, *Ocalić Ofelię*, przeł. B. Horosiewicz, Poznań 1998, za: G. Lasoń-Kochańska, dz. cyt., s. 220.

6 J. Wullschläger, *Andersen. Życie baśniopisarza*, przeł. M. Ochab, Warszawa 2005; za: G. Lasoń-Kochańska, dz. cyt., s. 85.

odwzajemniają swoje uczucia, a jedyną przeszkodą okazuje się odmiennosc Arielki. Za namową wiedźmy, która nie reprezentuje umiejętności i wiedzy jak w tekście Andersena, a nieuczciwość i chęć znieważenia króla Trytona, oddaje głos w zamian za parę ludzkich nóg. Arielka, która ma jedynie trzy dni, by uwieść chłopca, staje się obiektem pożądania, którym nie kierują żadne wyższe pobudki poza zaspokojeniem własnych pragnień i pozyskaniem męża. Podstępna czarownica przejmując jednak barwę głosu Małej Syrenki i zmieniając się w piękną kobietę, odbiera dziewczynie serce Eryka. Ostatecznie z pomocą sióstr i Trytona wiedźma zostaje pokonana, a Arielka odzyskuje swój największy atrybut i zachowuje ludzką sylwetkę. Miłość zostaje spełniona, a animację kończy ślub młodej pary. Nietrudno wywnioskować, że twórcy filmu z 1989 roku skupili się głównie na młodszych odbiorcach. Pominęli wiele ważnych wątków, świadczących o niebanalności i wielowymiarowości baśni Andersena. Duński baśniopisarz w swoim dziele poruszał problematykę filozoficzną, zakończenie utworu zawierało ważne przesłanie, uzasadniające sens cierpienia ludzkiego i tłumaczące wagę dobrych uczynków w życiu. To dzięki nim człowiek po śmierci nie trafia w próżnię, lecz zachowuje nieśmiertelną duszę, a tym samym żyje wiecznie.

Wiele zmian dotyczy również wizerunku Małej Syrenki. Obecnie nie kojarzy się on bynajmniej z długowłosą pięknoscą, emanującą skromnością i czystością, lecz ze skąpo ubraną, czerwonołosą dziewczyną o kobiecych kształtach i dużych, niebieskich oczach. Jedyne elementy jej ubioru są muszelki zakrywające piersi, pozostawiające brzuch i ramiona całkowicie odkryte. Wizerunek ten od momentu wydania animowanej wersji baśni w 1989 roku zupełnie wyparł wcześniejsze wyobrażenie Małej Syrenki. Zyskała ona imię – Ariel, które stało się nieodłącznym elementem, określającym jej charakterystyczne oblicze. Pomimo iż od premiery filmu upłynęło już 29 lat, Arielka wciąż jest jedną z najbardziej popularnych bohaterek filmów animowanych dla dzieci na świecie. Funkcjonuje ona w innych tekstach jako jedna z disneyowskich księż-

niczek, przyozdobiona bogato w różnokolorową biżuterię i długie, rozkloszowane suknie. Nie sposób sprzeciwić się stwierdzeniu Zofii Beszczyńskiej-Ulickiej, iż Mała Syrenka stała się lalką Barbie, pojawiającą się w licznych książkach i książeczkach, redukujących tekst baśni do kilku linijek na rzecz bijących w oczy ilustracji⁷. Wydania te posiadają fabułę spłyconą niejednokrotnie do tego stopnia, iż nie sposób już rozpoznać w nich nawiązań do pierwowzoru. Wizerunek ten utrwalił się w kulturze na tyle mocno, że nie ogranicza się tylko do obecności w kolorowych książeczkach dla dzieci. Wciąż popularne są lalki tworzone na podobieństwo Syrenki, zeszyty, kolorowanki i inne przedmioty zawierające jej podobiznę, a nawet stroje, w które można przebierać małe dziewczynki. Ciekawym przykładem żywotności i ciągłego rozpowszechniania się podobizny syrenki jest Eryk Weber, który wystąpił w znanej polskiej telewizji śniadaniowej jako Syren Ariel, ze sztucznym ogonem zamiast nóg. Opowiadał on o swoim zamiłowaniu do wody i zarobkowym charakterze wizerunku, dzięki któremu organizuje pokazy dla dzieci i przekonuje, że jako syren przynosi szczęście.

Bez wątplenia dzieło Andersena to dzieło ponadczasowe. Porusza i zachwyca zarówno młodszych czytelników, jak i dorosłych, którzy lekturę *Małej Syrenki* mogą traktować jako przygodę, odnajdując nowe, niedostrzegane dotąd odniesienia i symbole. Uniwersalność baśni sprawia, iż nie sposób nazwać jej utworem przeznaczonym jedynie dla dzieci, choć jej niektóre wersje bardzo często zawężają krąg odbiorców. Obecnie powstają utwory, nawiązujące do pierwowzoru jedynie poprzez przywołanie postaci Małej Syrenki czy wskazanie, że baśń Andersena była podstawą opracowania. Niejednokrotnie trudno o odnalezienie w nich głębszych odniesień do klasyki. Pomimo iż ze zjawiskiem ciągłego namnażania się nowych wersji utworu wiąże się problem spłyconia fabuły, to świadomy i krytycznie podchodzący do obecnie powstających wytworów kultury masowej odbiorca z pewnością wyłoni pozycje wartościowe. Ważne, by wybierać to, co rozwijające i wzbogacające doświadczenia czytelnicze czy kinowe.

7 Z. Beszczyńska-Ulicka, *Andersen dziś – jego wpływ i znaczenie*, [w:] *Andersen – baśń wobec świata: materiały z sesji literackiej*, Gdańsk 21-22 kwietnia 1995 roku, red. M. Hempowicz, Gdańsk 1997, s. 59.

Gra komputerowa *The Wolf Among Us* sposobem na powrót do świata baśni

Takie gry komputerowe jak *Grimm*, *Alice in Wonderland* czy *HCA – The Ugly Prince Duckling* łączy to, że są przeznaczone dla dzieci, a do rozbudowania ich światów posłużyły teksty kojarzone z najmłodszym odbiorcą, przede wszystkim bogaty kanon baśni i literatura. A co się stanie, gdy utwory stanowiące część dzieciństwa zostaną zmodernizowane i połączone w świat gry dla dorosłych? Tak dzieje się w przypadku gry komputerowej, której premiera miała miejsce w Stanach Zjednoczonych w 2013 roku, a wyprodukowana została przez studio Telltale Games. Gra *The Wolf Among Us*, bo o niej mowa, wzorowana była na serii komiksów *Fables*, autorstwa Billa Willingham, ukazujących się w latach 2003-2015 w formie miesięcznika.

Rodowód bohaterów *The Wolf Among Us* sięga w zdecydowanej większości baśni, ale także legend, rymowanek dla dzieci czy powieści. Gra wykorzystuje również schemat kryminału, co widać w sposobie przedstawienia fabuły. Samo połączenie wątków kryminalnych i baśni (głównie Grimmów) nie jest zjawiskiem nowym, a widocznym w wielu współczesnych tekstach kultury, np. powieściach kryminalnych, filmach czy serialach telewizyjnych.

Fabuła zarówno wspomnianego komiksu, jak i gry umiejscowiona jest w Nowym Jorku, do którego trafiają postacie zmuszone do nagłej ucieczki ze swojego świata. Tworzą one społeczność zwaną Baśniogrodem i ukrywają się przed zwykłymi ludźmi, nazywanymi przez nich Doczesnymi. Każdy Baśniowiec powinien wyposażać się w czar urody maskującej, nadającej mu wygląd normalnego człowieka. Nie każdego na to stać, dlatego ci, co zachowali swój wygląd z dawnego świata, zostają przetranspor-

towywani na Farmę, czyli do miejsca oddalonego od ludzkiej społeczności. Owego porządku pilnuje główny bohater gry.

Bohaterem, którym przychodzi nam kierować, jest Bigby, zwany Wielkim Złym Wilkiem. W jego losach łączą się odniesienia do dwóch znanych baśni: *Trzy małe świnki* i *Czerwony Kapturek*. Tak jak większość innych postaci, zdobył on czar urody maskującej i zmienił wygląd na ludzki, by swobodnie żyć w mieście i zajmować się swoją pracą. Pełni on funkcję szeryfa, którego obowiązkiem jest dbanie o bezpieczeństwo mieszkańców Baśniogrodu.

Bigby ma sporo cech podobnych do modelu detektywa, jaki odnajdujemy w wielu współczesnych powieściach kryminalnych. Sprawia on wrażenie zmęczonego życiem i najchętniej spędzałby czas na popijaniu whisky i paleniu papierosów. Zmienia się to, gdy dokonana zostaje zbrodnia i przed apartamentowcem zostają znalezione zwłoki. Uświadamia to szeryfowi, że może lepiej wywiązywać się ze swojej roli, więc postanawia on zbadać tę sprawę.

W kreacji owego bohatera warto zauważyć, że zachował on część swojego charakteru jeszcze z czasów, gdy był okrutnym, złym wilkiem, dążącym do zaspokojenia swojego apetytu. Bigby nie unika przemocy. Bywa, że jest to dla niego jedyna skuteczna opcja, by ułatwić badanie sprawy. Często żałuje swojej przeszłości, ale wie, że przed tym nie ucieknie, dlatego pozwala Colinowi, czyli jednej z Trzech Świnek znanych z baśni, którym zdmuchnął kiedyś domki, mieszkać razem z nim.

Kolejną ważną postacią występującą w grze jest Śnieżka, wywodząca się z baśni braci Grimm, gdzie była niewinną, skromną dziewczyną. Jej wizerunek

w *The Wolf Among Us* różni się dość wyraźnie. Mamy do czynienia z asystentką zastępcy burmistrza, kobietą dojrzałą, pewną siebie, twardo stającą po ziemi, zdającą sobie sprawę ze swej atrakcyjności. Jest obiektem pożądania swojego szefa – Ichaboda Crane’a – postaci znanej z *Legendy o Sennej Koltlinie*. Wygląd Śnieżki, odległy od znanego z baśni wizerunku, świadczy o dużych zmianach, jakie zostały dokonane w kreacji tej postaci. Bohaterka nigdy nie rezygnuje ze swoich celów, stawia prawo ponad wszystko, czasami ponad swoich przyjaciół, których ma niewielu, ze względu na natłok obowiązków i zazdrość innych Baśniowców o jej posadę. Śnieżkę poznajemy jako bliską przyjaciółkę Bigby’ego, pomagającą mu rozwikłać zagadkę morderstwa.

Kolejna para bohaterów to Piękna i Bestia, znani z francuskiej baśni Jeanne-Marie Leprince de Beaumont. W grze sprawiają oni wrażenie małżeństwa idealnego, żyjącego w luksusowym apartamencie. Po czasie na jaw wychodzą ich problemy finansowe. Okazuje się, że Piękna w akcie desperacji wzięła pożyczkę, by para nie została wyeksmitowana, a także pracuje w starym motelu jako recepcjonistka. Kobieta ukrywa to wszystko przed mężem. Bestia także ma liczne tajemnice przed żoną. Rządzi nim chorobliwa zazdrość, co widać, gdy atakuje Bigby’ego po tym, jak zobaczył go w czasie rozmowy z Piękną.

Ciekawie wykreowanym bohaterem gry jest Myśliwy, pochodzący z baśni *Czerwony Kapturek*. Nienawidzi Bigby’ego ze wzajemnością, co pokazuje jedna z pierwszych scen, gdzie dochodzi między nimi do krwawej potyczki. Mężczyzna kojarzący nam się z bohaterskim ocaleniem Kapturek i jego babci, a także pokonaniem złego wilka, w tej wersji jest całkowicie inny. Tłumaczy on szeryfowi, że uratował obie tylko dlatego, że liczył na nagrodę, a przyszedł do domu babci, bo chciał ją okraść. Myśliwy nie unika przemocy, a nawet jest zdolny do bicia kobiet bez żadnych skrupułów, głównie po wypiciu alkoholu, od którego prawdopodobnie jest uzależniony. Można rzec, że to on stał się tym złym, a Wilk tym dobrym.

W fabule gry istnieją jeszcze inne postacie, których kreacje zostały zaczerpnięte z baśniowych pierwowzorów. Mowa tu choćby o Sinobrodym, Jacku czy Nerissie. Pierwszy wywodzi się z francuskiej baśni Charles’a Perraulta i zarówno w pierwowzorze, jak i w grze jest okrutnikiem, niemającym prawa budzić sympatii wśród odbiorców. Jack z kolei ma swój pierwowzór w angielskiej baśni Josepha Jacobsa *O Jasiu i łodydze fasoli*. Pojawia się on kilkakrotnie w czasie gry i tak jak w baśni nieobce mu są kradzieże. A Nerissa to syrenka z baśni Hansa Christiana Andersena, która po rozczarowaniu, jakiego zaznała, gdy ukochany księżę wybrał inną kobietę, zaczęła pracować w klubie nocnym, gdzie jest poniżana przez swojego szefa.

Jak zostało wspomniane we wstępie, nie tylko kanon baśni posłużył za źródło kreacji świata gry. Przykładem mogą być angielskie rymowanki dla dzieci, z których wywodzą się *The Crooked Man*, *Georgie Porgie* czy też bracia *Tweedledee* i *Tweedledum*. Dwaj ostatni znani są również z *Po drugiej stronie lustra*, czyli kontynuacji *Alicji w Krainie Czarów* Lewisa Carrolla. Wiele osób kojarzy zapewne *Czarnoksiężnika z Krainy Oz* – powieść dla dzieci autorstwa Lymana Franka Bauma. To stamtąd wywodzi się bowiem charakterystyczna postać skrzydlatej małpy, która zainspirowała Billa Willingham’a, a później Telltale Games, do umieszczenia w fabule Buflina. Z innej powieści dla najmłodszych, napisanej przez Kennetha Grahame’a, zatytułowanej *O czym szumią wierzby*, pochodzi Ropuch – tam najbogatszy z mieszkańców, a w grze zbyt biedny na zakup czaru urody maskującej. *Jersey Devil* z kolei to potwór z amerykańskiej legendy, podejrzewany o zabijanie zwierząt hodowlanych, a nawet odpowiedzialny za zniknięcia mieszkańców stanu New Jersey, o czym krążą różne historie na stronach internetowych¹. Różnorodność bohaterów powoduje, że nie każdy odczyta grę tak samo. Jest to zależne od pochodzenia odbiorcy, a także od jego kompetencji.

Oczywiście wymienione postacie nie są wszystkimi występującymi w grze, co pokazują liczne porad-

1 Zob. G.E. McCrann, *Legend of the New Jersey Devil* [online], 2000, dostęp: http://www.jerseyhistory.org/legend_jerseydevil.html [odczyt: 20 maja 2017].

niki i recenzje dotyczące samej gry². Spośród szeregu kreacji znanych ze świata kultury, którymi twórcy posłużyli się do rozbudowania świata *The Wolf Among Us*, opisane zostały tutaj te odgrywające najważniejszą rolę w fabule, mimo iż ta jest stosunkowo niedługa. To pokazuje, w jak dużym stopniu gra komputerowa może obfitować w odniesienia intertekstualne.

The Wolf Among Us porusza ważne problemy współczesnego świata. Nie ukrywa zła ludzkiego i smutnej rzeczywistości, w które uwikłani są znani odbiorcom bohaterowie, będący mocno osadzeni w tradycji kulturowej i świadomości literackiej. Rzeczywistość ukazana w grze może przypominać tę znaną nam z codziennego życia, co sprawia, że jest to tekst oryginalny i w pewien sposób bliski odbiorcom.

Postacie w grze zdecydowanie różnią się od swoich pierwowzorów. Rzec można, że zarówno w grze, jak i w komiksach stali się ucłowieczeni. Poznając kreacje owych postaci, ma się wrażenie, że mogliby oni istnieć naprawdę pośród nas, ponieważ ich osobowości i problemy często nie różnią się od tych, z którymi borykają się współcześni ludzie. W tradycyjnych baśniach mamy do czynienia z bohaterami jednoznacznie dobrymi lub jednoznacznie złymi i finalnym zwycięstwem dobra nad złem. W *The Wolf Among Us* ich losy nie są tak oczywiste, co można powiedzieć choćby na przykładzie opisanych wcześniej Wilka Bigby'ego i Myśliwego. Często, poznając świat prezentowanej gry, nie da się stwierdzić, czy napotykanne postacie są naszymi pomocnikami, czy też przeciwnikami, dopiero w trakcie rozwoju fabuły stopniowo zostaje nam dokładnie opisywane, w co każdy był tak naprawdę uwikłany i jakie skrywał sekrety.

Przeszłość niektórych bohaterów gry nie została zmieniona, innych owszem. *The Wolf Among Us* daje nam możliwość kreowania własnej historii na zasadzie wpływania na dalsze losy postaci. Dzieje się to za sprawą licznych wyborów, które gracz musi doko-

nywać w czasie przechodzenia kolejnych epizodów gry, dającej niezwykle mało czasu na ich podjęcie i zmuszającej do działania pod presją. Duża część owych decyzji ma spory wpływ na dalszy rozwój fabuły, przez co droga, którą poprowadzimy głównego bohatera, może się za każdym razem nieco różnić. Choć wszystko i tak zmierza do jednego, konkretnego finału, to od odbiorcy zależy metoda dotarcia do niego, a także sposób, w jaki postępuje grywalny bohater. Często należy zdecydować, w jakie miejsce chcemy się udać, jakie postacie przesłuchać, wobec kogo zachowywać się łagodnie, a wobec kogo zastosować przemoc. Dzięki takim elementom gry i naszym decyzjom osobowość postaci jest kreowana w czasie toczenia się fabuły, a relacje między bohaterami ulegają zmianom.

Gra komputerowa w tym przypadku stała się grą rozumianą w wieloraki sposób. Jest to bez wątpienia gra twórców z odbiorcą, czego przykładem jest użycie znanych baśniowych motywów i bohaterów oraz umieszczenie ich w fabule charakterystycznej dla kryminałów. Każdorazowe pojawienie się elementu zaczerpniętego z baśni potęguje u gracza zainteresowanie fabułą, jeśli ten zdoła go rozpoznać i powiązać ze znanymi mu tekstami. Zależy to więc głównie od kompetencji odbiorcy. Jest to również gra z tradycją literacką i funkcjami, jakie powinny pełnić baśnie, o których wspomina w swoim artykule Eliza Pieciul-Karmińska. Autorka po kolei wymienia, dlaczego baśnie tak silnie oddziałują na dziecięcego odbiorcę: „baśnie uwzględniają rzeczywisty stan psychiczny i emocjonalny dziecka; mówią o dręczących je konfliktach w sposób nieświadomie zrozumiały; nie bagatelizują jego trudności; podają przykłady wyjścia z opresji”³. Gra jest całkowitym zerwaniem z podanymi funkcjami. Nie jest tu istotny wpływ na stan emocjonalny gracza, ponieważ gra pełni funkcję przede wszystkim rozrywkową, wprowadzając odbiorcę w nowy, nieznan, atrakcyjny świat. Problemy i konflikty są ukazane wprost i stanowią motor napędowy fabuły. Finałem gry

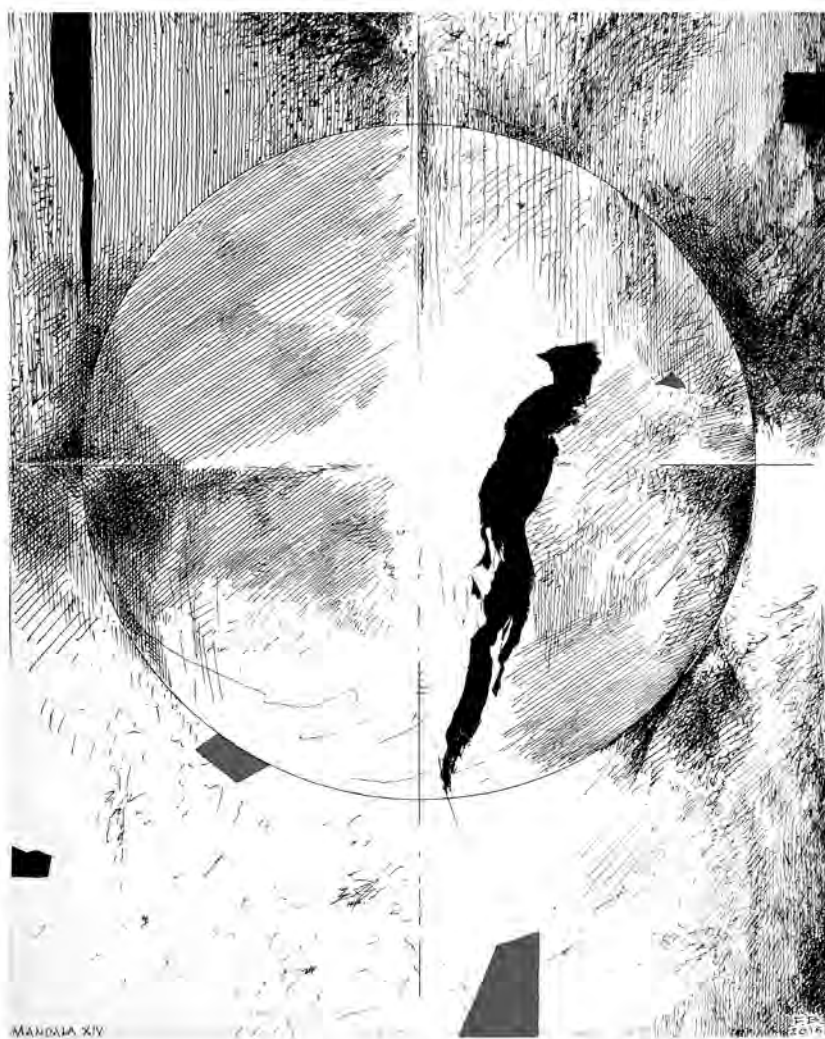
2 Zob. *The Wolf among us – kim są te mniej oczywiste postacie „fables”?* [online], dostęp: <https://gameplay.pl/news.asp?ID=85575> [odczyt: 20 maja 2017].

3 E. Pieciul-Karmińska, *Polskie dzieje baśni braci Grimm*, „Przekładaniec” 2009/2010, nr 1-2 (22-23), s. 83.

jest rozwiązanie zagadki i pokonanie antagonisty, jednak w przeciwieństwie do baśni, problemy codziennego życia dręczące mieszkańców Baśniogrodu wcale nie zostają rozwiązane. Po rozwiązaniu konfliktów widocznych w baśniowych pierwowzorach bohaterów czeka kolejna próba, czyli trudności życia w świecie ludzi, często poważniejsze od tych baśniowych. Jest tu pokazany dalszy los postaci, a zakończenie „i żyli długo i szczęśliwie” zupełnie ich nie dotyczy.

The Wolf Among Us stanowi model intertekstualny łączący baśnie, legendy, literaturę dla dzieci i kryminały, osadzony w przestrzeni gry komputerowej. Dzieło studia Telltale Games jest w dużej mierze za-

bawą z odbiorcą i funkcjami, jakie pierwotnie pełniły wszystkie wykorzystane teksty kulturowe, które stały się podstawą rozbudowania świata gry. Realia osadzone w *The Wolf Among Us*, eksponujące poważne problemy charakterystyczne dla współczesności, takie jak: przemoc, problemy finansowe, alkoholizm, brak zaufania wobec innych czy też morderstwo, jednoznacznie wskazują, że całość przeznaczona jest dla odbiorcy dorosłego. Z pewnością gra nie stanowiłaby dla niego atrakcyjnej całości, gdyby jej fabuła rozgrywała się w świecie charakterystycznym dla tradycyjnej baśni, która wpaja dzieciom wartości pomagające im się rozwijać i w której dobro zawsze zwycięża zło.



Współczesne Kopciuszki

Dawno, dawno temu, za siedmioma górami, za siedmioma lasami... Zarówno te słowa, jak i tematyka baśni wydają się wszystkim dorosłym dobrze znane. Wynika to oczywiście z faktu, iż na bajkach i baśniach się wychowaliśmy. Któż z nas nie zna *Jasie i Matgosi*, *Czerwonego Kapturka* czy *Kopciuszka*? Obecnie zauważyć jednak można, że tradycyjne baśnie dla dzieci przechodzą okres silnych przeobrażeń i modernizacji, co przekłada się na ich interpretację. Jest to następstwem wzrostu społecznej świadomości, ale też wnikliwych badań, które proponują nowy sposób odczytywania baśni.

O ogromnym znaczeniu baśni na rozwój i kształtowanie się osobowości dziecka pisał Bruno Bettelheim w książce *Cudowne i pożyteczne. O znaczeniach i wartościach baśni*, która stała się już klasyką literatury psychologicznej. Wiedeński psychoanalityk udowydniał, że baśnie pomagają uporać się dzieciom z poszczególnymi fazami rozwoju, które są kluczowe dla dalszego funkcjonowania w społeczeństwie, czyli: oddzieleniem się od matki, usamodzielnieniem oraz dorastaniem i akceptacją własnej płciowości. Przejście tych stadiów często jest połączone z archetypowym bólem, na który lekarstwem mają być właśnie baśnie, nawet te, które bywają odrzucane przez rodziców jako lektury nienadające się dla dzieci ze względu na brutalność treści. Oprócz zagadnień typowo „wychowawczych” Bettelheim porusza także ważną i popularną w dzisiejszych czasach kwestię tożsamości płciowej. Powierzchnowe postrzeganie baśni rysuje nam konkretny schemat: dziewczynka powinna być posłuszna i grzeczna, natomiast chłopiec ma być dzielny i mądry. Badacz widzi to inaczej: w większości baśni bohaterem może być

zarówno postać żeńska, jak i męska – poprzez takie rozróżnienie dziecko może identyfikować się z każdą z postaci, bez uogólnień czy stereotypów. Wniosek Bettelheima, mimo iż dał podwaliny dla szerszych możliwości interpretacyjnych, otworzył również furtkę dla nowego czytania baśni spod znaku gender studies, które uwrażliwiają na wszelkiego rodzaju uprzedzenia i przekonania dotyczące płci.

Według Bettelheima, spośród wszystkich gatunków literatury dziecięcej to właśnie baśnie obfitują w treści psychologiczne, które ukazują zarówno wewnętrzne dylematy natury ludzkiej, jak i metody radzenia sobie z nimi. I tu właśnie pojawia się zasadniczy problem, ponieważ różne są wzorce moralne dla dziewczynek i chłopców. Wzorce damskie bardzo często zostają spłycone do ról, które musi odegrać w swoim życiu dziewczynka, aby na koniec doczekać się wymarzonego „rycerza na białym koniu” – wszystko podyktowane jest jeszcze średniowieczną postawą ukształtowaną poglądami religijnymi. Większość baśni, nie tylko tych klasycznych, hołduje tradycji kultury, która skłania się w kierunku wartości patriarchalnych. Niestety, ta nie przedstawia pozytywnego obrazu płci żeńskiej.

Kobieta – ta zła?

W większości znanych baśni pojawia się negatywny wizerunek kobiety, np. w *Królewnie Śnieżce* i *Kopciuszku* ukazana jest chorobliwa rywalizacja o urodę lub męczyznę, natomiast w *Czerwonym Kapturku* zawarte są przestrogi dla dziewczynek: uważajcie na złe wilki. Amerykańska badaczka Ruth Bottigheimer twierdzi wręcz, że „baśnie Grimmów przenika powszechny wzór *gender*, który uniewinnia

mężczyzn i obciąża kobiety”¹. Świetnym przykładem może być tu macocha, która sama w sobie jest postacią negatywną – choćby ze względu na brzmienie tego słowa, ale również ze względu na opozycyjną postawę względem postaci matki. Śmierć matki oraz jej fizyczny brak są bardzo ważnymi dla interpretacji baśni czynnikami, od których należy wyjść. Relacja macocha – pasierbica nie jest pozytywna, często oscyluje wokół rywalizacji i zazdrości starzejącej się kobiety o urodę, która w patriarchalnej kulturze jest „przepustką” do lepszego życia (= zamążpójścia). Kolejnym czynnikiem złych relacji pomiędzy macochą a pasierbicą może być sytuacja materialna: macocha, chcąc zapewnić dobry byt wyłącznie swoim pociechom, gotowa jest do brutalnych posunięć. W *Kopciuszku* natomiast nie można w sposób jednoznaczny określić powodów macoszej nienawiści, może ona wynikać po prostu z natury tej postaci². Przykłady można mnożyć, jednak czy taka jest kobieca natura? Czy w baśniach Grimmów pojawił się negatywny wizerunek kobiety, aby uwidocznili pewne patologiczne zjawiska, które mają miejsce w rodzinie? Może utrwalone w baśniach macochy nie były złe, bo „taka kobieca natura”, lecz nie potrafiły poradzić sobie w dzieciństwie z kompleksem Elektry, a potem przeniosły swoje niezdrowe (i odwrócone rolami) fantazje na płaszczyznę mąż – pasierbica? Stały się zazdrosne o męża i chcąc mieć go na wyłączność, posunęły się do złego...

Współczesne baśnie

Z wielu baśni można wyprowadzić jednoznaczny przekaz, np.: „nie ufaj obcym ludziom”, „szanuj swych rodziców (i ciesz się, że nie trafiłeś/-aś na złą macochę!)”, „czekaj cierpliwie – kiedyś i ty spotkasz swego/swą księcia/ księżniczkę z bajki” itp., często nie dostrzegając w nich innej możliwości, która ukazuje ponadczasową i uniwersalną mądrość życiową. Zgoda, baśnie należy, a nawet trzeba odczytywać wielopłaszczyznowo, nie są to tylko „niewinne” opowieści dla dzieci. Co zatem sprawia, że tak chętnie

sięgamy po baśnie my, dorośli? Czy decyduje o tym tylko owa ponadczasowość przestróg życiowych dla potomnych? Otóż myślę, że wielu „poważnych wiekiem ludzi” sięga po tę lekturę z czasów dziecięcych, ponieważ prawdy wdrożone przez baśnie są w nas głęboko zakorzenione, a my po prostu za nimi tęsknimy. Z tym wyjątkiem, że dorośli potrafią dostrzec w nich nieco inne mądrości: baśnie pokazują, że światy kobiet i mężczyzn – mimo iż diametralnie się od siebie różnią – tak naprawdę współgrają ze sobą harmonijnie, nie mogąc funkcjonować jako osobne. W zależności od płci różne jest zachowanie, różne są zajęcia i role, jednak należy to szanować. A co, jeśli te role odwrócimy?

W czasach, kiedy bracia Grimm zaczęli spisywać baśnie (tj. XIX wiek), podział ról na kobiece i męskie był bardzo czytelny: kobieta zawsze była tą słabszą istotą, zajmującą się domem i podporządkowującą swe życie mężowi, natomiast mężczyzna był silny, jawił się jako głowa rodziny – to on o wszystkim decydował. Baśnie miały wówczas za zadanie edukować dzieci, w sposób interesujący przekazać tradycję i przygotować do „odegrania” przyszłych ról. Jednak dziś baśnie mają utrudnione zadanie, ponieważ dzieci z jednej strony zderzają się z tradycyjnym przekazem wartości, z drugiej – dostrzegają, jako postronni obserwatorzy, że współczesny podział tych właśnie tradycyjnych wartości już tak nie funkcjonuje, jak przedstawia go baśń. Współczesne dziecko wie (i rozumie!), że zarówno chłopcy, jak i dziewczynki mogą być traktowani jednakowo, że dziewczynka może być silna, a chłopiec piękny.

Obecnie powstaje wiele publikacji przynoszących nowe odczytanie baśni ze względu na określone schematy dotyczące płci. Ciekawą pozycją w tym zakresie jest książka Weroniki Jóźwiak *O dzielnych księżniczkach i pięknych królewiczach. Stare baśnie w nowej odsłonie*. Zamiana płci poszczególnych bohaterów dała nam zupełnie nowe spojrzenie na postać kobiecą i tradycyjne role. Czytając tę książkę po raz pierwszy, czytelnik może poczuć się zmieszany: okazuje się, że przypisanie mężczyznom ról typowo

1 Zab. G. Lasoń-Kochańska, *Gender w literaturze dla dzieci i młodzieży. Wzorce płciowe i kobiece repertuar tematyczny*, Słupsk 2012, s. 22.

2 Tamże, s. 23.

kobiecych staje się gorsze do zniesienia aniżeli na odwrót. Z czego to wynika? Tu właśnie kłania się *gender*... Otóż te role to kulturowy stereotyp. W naszej kulturze wielkim wstydem jest, jeśli mężczyzna zachowuje się „jak baba” – mężczyzna nie może przecież pozwolić sobie na łzy czy też dobry gust i szyk w wyglądzie, przecież to takie niemęskie! Książka Weroniki Józwiak pokazuje, że współczesne role są ruchome. Kobieta może być szefową wielkiej korporacji, nieznaną się na sprzątanii, natomiast mężczyzna może uwielbiać sprzątać, a do tego nie mieć prawa jazdy, na końcu mogą się w sobie zakochać, pobrać i żyć długo i szczęśliwie.

W zbiorze znajdziemy znane nam z dzieciństwa baśnie w zmodyfikowanej wersji: w każdej z nich następuje zamiana ról. Myślę, że autorka celowo posłużyła się baśniami Grimmów i Perraulta, by dotrzeć do fundamentów świadomości baśniowej ukształtowanej w dzieciństwie. Jako dzieci postrzegaliśmy baśnie jednopłaszczyznowo: dobro zawsze wygrywa ze złem; na każdą grzeczną (!) młodą damę czeka książę z bajki (lub przynajmniej waleczny i honorowy rycerz) – stereotypy. Nie śmiem polemizować z wpojonymi prawdami ani ich podważać, jednak czasy się zmieniają, pewne, wydawałoby się utarte, tradycyjne wartości ewoluują – czy jako dorośli ludzie nie powinniśmy spojrzeć na to z innej perspektywy? Określone przeobrażenia ról zachodzą, a to właśnie wychwytuje literatura, ponieważ jest rejestratorem wszelkich znaczących zmian, m.in. kulturowych czy społecznych. Książka Weroniki Józwiak ułatwia czytelnikowi dostrzeżenie tych zmian i proponuje konfrontację swoich przyzwyczajeń z nową konwencją. Pewnie autorka zdawała sobie sprawę z tego, że pojawiają się głosy przeciwników, którzy będą próbowali dostrzec w publikacji drugie, złe dno, jednak spostrzegawczy odbiorca zauważy, że nie jest to „feministyczny bełkot” mówiący, że każdy facet jest zły. Ta publikacja poszerza horyzonty myślowe współczesnego człowieka i przede wszystkim nie godzi się z twierdzeniem, że miejsce kobiety jest w kuchni.

Zarówno cel, jak i przesłanie książki Józwiak są jasne: należy przyrzeć się i zastanowić nad treścią tradycyjnych baśni oraz zastanowić, czy istnieje jedyny, poprawny model odgrywania roli w przedstawieniu pt. „Życie”. „Jak bowiem traktować patologiczną rywalizację na śmierć i życie o pozycję »najpiękniejszego w królestwie«, toczoną przez oszalałego na punkcie swojego wyglądu króla-ojczyma Śnieżka?” – pyta autor wstępu do omawianego zbioru, Mateusz Mirys³. Wielu macho powie, że sytuacja taka jest (mówiąc bardzo łagodnie) niedopuszczalna, przecież prawdziwy mężczyzna nie używa nawet kremu do twarzy! A co w takim razie z wszelkimi konkursami typu „Mister...”? Czy nie jest to właśnie swoista rywalizacja o pozycję najpiękniejszego? Książka polemizuje również ze stereotypem, z jakim walczy dziś wiele kobiet (ale również i mężczyzn!): patriarchalnym modelem wyznaczającym miejsce kobiet w społeczeństwie. Jak czytamy w przedmowie: „[...] ta książka przywraca należne wszystkim dziewczynom i kobietom miejsce w roli aktywnych, pomysłowych, odważnych bohaterek. Chłopcom pokazuje zaś, że nie zawsze muszą być wojowniczymi rycerzami na białym koniu”⁴.

Kopciuszek – rodzaj męski czy żeński?

Porównując tradycyjną Grimmowską baśń oraz współczesną wersję Weroniki Józwiak, zauważyć można wiele kontrastów, wynikających z przekształceń kulturowych oraz sposobu myślenia. Jedno jest pewne i niezmiennie: *Kopciuszek* jest baśnią archetypową, znajdują się tu prawdy o człowieku (psychologiczne i społeczne) oraz przedstawiony jest mechanizm funkcjonowania pewnych relacji. Postaram się porównać obie wersje baśni oraz uwypuklić sens genderowskich wpływów we współczesnym tekście.

W tradycyjnym ujęciu spotykamy młodą dziewczynę, poszkodowaną przez los (śmierć ukochanej matki, życie z okrutną macochą i jej córkami). Dziewczyna jest pokorna i bardzo posłuszna, znosi wszelkie upokorzenia, niestety nie wiemy w imię

3 M. Mirys, *Od wydawcy*, [w:] W. Józwiak, *O dzielnych księżniczkach i pięknych królewiczach. Stare baśnie w nowych odsłonach*, Zgierz 2015, s. 7.

4 Tamże.

czego. Pewnego dnia los się jednak do niej uśmiecha: król chce wydać swego syna za najpiękniejszą kobietę w jego państwie i, co ważne, udział w balu biorą wszystkie kobiety! Macocha z córkami (mało urodziwymi) wybiera się na przyjęcie, Kopciuszkowi nakazuje przebrać soczewicę i popiół. Dopóki nie upora się z zadaniem, dopóty nie wyjdzie z domu. Tu zjawia się pomoc ptaków, dziewczyna dostaje też sukienkę. Wystrojona rusza na bal i oczarowuje królewicza. Drugiego dnia też odbywa się bal, podobnie trzeciego, gdy Kopciuszek traci pantofelek. Nazajutrz królewicz szuka tajemniczej nieznanym. Ta, która założy pantofelek, ma zostać jego żoną. Zazdrosne siostry posuwają się nawet do samookaleczenia, aby założyć bucik. Szczęście w nieszczęściu, pantofelek okazuje się malutki, pasuje tylko na Kopciuszka. Zakończenie jest oczywiście sprawiedliwe: Kopciuszek i królewicz biorą ślub, a siostry zostają ukarane.

W wersji współczesnej schemat historii jest taki sam, jednak role są odwrócone. Głównym bohaterem, nieszczęsnym Kopciuszkiem jest Józio, mieszka on z okrutnym ojczymem i jego dwoma (tu również niezbyt urodziwymi) synami. Konwencja jest stała, królowa wydaje bal, ponieważ szuka męża dla córki. W zasadzie: „Dziewczyna ta miała sobie wybrać [celowo podkreślam, ponieważ w klasycznych baśniach rzadko zdarza się, aby dziewczyna/kobieta mogła samoistnie dokonać wyboru – M.W.] dożgonnego towarzysza życia spośród młodzieńców z całego kraju, których jej matka, królowa, ściągnęła wraz z rodzinami na wspianiały festyn. Zaproszono zarówno kawalerów z niższych, jak i wyższych sfer⁵). Historia kończy się identycznie jak w wersji pierwotnej.

Wydawać by się mogło, że *Kopciuszek* to stereotypowa opowieść, pokazująca małym dziewczynkom, w jaki sposób mają żyć: mają być grzeczne, pracowite i posłuszne, a na koniec wisienka na torcie: upragnione (lub nie) małżeństwo. Nic bardziej mylnego. Wersja genderowska, pomimo iż zakłada zamianę ról, pokazuje, że *Kopciuszek* to obopólny przepis na życie, zarówno dla mężczyzn, jak i dla kobiet. Baśnie uczą nas, jak zachować się w konkret-

nych sytuacjach, dają nam wskazówki, jak poradzić sobie z trudnościami, a przede wszystkim pokazują, że los jest sprawiedliwy. W przypadku *Kopciuszka* mamy opracowany przepis dla kobiet/mężczyzn chcących zdobyć męża/żonę. Baśń ta ukazuje wszystkie najważniejsze etapy w życiu człowieka: śmierć matki/ojca, czyli utrata pewnych dziecięcych ideałów; w życiu dziecka znika wtedy rodzicielska otoczka, dziecko wchodzi w prawdziwy (nie zawsze dobry i piękny) świat dorosłych; następnie wyjście na bal, czyli wyjście na „łowy”, świadome szukanie partnera/partnerki. Należy, śladami Kopciuszka, znaleźć się wtedy w odpowiednim miejscu i czasie, skorzystać z okazji i przystąpić do ataku. Stąd już niedaleka droga do ołtarza. *Kopciuszek* uświadamia nam, że bardzo ważne jest, aby w każdej sytuacji wyczuć właściwy moment i umieć wykorzystać swoje atuty. Zatem, opowiadając się za genderowską analizą, Kopciuszkiem może być zarówno kobieta, jak i mężczyzna. Każdemu z nas, niezależnie od płci zależy na szczęściu, baśń przestrzega nas jednak, że nie wolno być biernym, stać i godzić się na to, co przyniesie los, trzeba wziąć sprawy w swoje ręce i mimo przeciwności udać się na ten bal życia. Obie wersje baśni pokazują również, że wszystko, co piękne, musi się kiedyś skończyć. Wielu dorosłych pewnie się zbuntuje: chcę, aby moje dziecko czytało piękne i dobre baśnie! Nie jest to zbyt optymistyczna wizja, jednak bardzo adekwatna do wieku czytelników, ponieważ im szybciej dziecko zrozumie sens, tym więcej skorzysta z życia⁶.

W tradycyjnej wersji *Kopciuszka* pojawia się jednak pewien wzorec, który bardzo kłóci się ze współczesnym modelem. Chodzi o patriarchalny wzorec kobiety. Małym dziewczynkom wpaja się, że powinny być właśnie takimi kopciuszkami: grzecznymi, miłymi, uczynnymi pannami, a każdą zniewagę znosić z pokorą. To wszystko miało przygotować dziewczynkę do przyszłego zamążpójścia. Nasuwa się tu pytanie: dlaczego aż tyle wyrzeczeń i poświęceń? W imię czego?! Przecież małżeństwo to przede wszystkim radość i wspólne dzielenie życia,

5 W. Jóźwiak, *Kopciuszek*, [w:] *O dzielnych księżniczkach...*, s. 28.

6 Zob. K. Miller, T. Cichocka, *Kopciuszek. Pantofelek w rozmiarze 42*, [w:] *tychże, Bajki rozebrane*, Łódź 2008, s. 7-36.

a nie podporządkowywanie się komuś (tu: mężczyźnie). Na szczęście, w myśl idei gender, schemat ten przechodzi w niepamięć, dziewczynki nie są wychowywane i formowane na przyszłe „materiały na żonę”. Współczesne „żyli długo i szczęśliwie” nie oznacza już „żona żyła pod dyktando męża i rodziła, ale wbrew sobie”. Dziś oznacza to, że kobieta/mężczyzna świadomie dokonuje wyboru, czy będzie to życie singla, czy z drugą połową. Współczesne spojrzenie na życie bardzo się zmieniło: „Oczywiście w planie społecznym rozwój i dojrzewanie kobiety najczęściej owocuje właśnie w tym, że wybiera partnera i rodzi dzieci. Ale to nie jest konieczne. I wbrew pozorom bajka tego nie narzuca”⁷. Koniec, kropka.

Współczesne interpretacje baśni, szczególnie te feministyczne czy genderowe, odgrywają wielką rolę w kształtowaniu naszego poglądu na temat kobiecych i męskich ról. Na swoim przykładzie widzę, jak wiele pozytywnych zmian zaszło w moim myśleniu

po zagłębieniu się w tym temacie. To ważne, aby w dzisiejszych czasach uczyć i kształtować dziecko na świadomego i otwartego człowieka, bez względu na płeć. Nie wolno zamykać się w stereotypie, schemacie, ponieważ obecnie to niemożliwe, wyrządzimy tym krzywdę zarówno sobie, jak i dzieciom. Warto czytać baśnie dzieciom, nawet te według nas okrutne i brutalne, ponieważ wtedy dziecko spostrzeży, że świat nie jest tylko piękny, że kiedyś zabraknie rodzicielskiej opieki i trzeba będzie odnaleźć się w świecie samemu. Warto również, jako dorosła już osoba, sięgnąć po baśnie i przeczytać je na nowo, z nową interpretacją. Można wówczas odkryć wiele mądrych wskazówek, których jako dziecko nie widzieliśmy. Tak właśnie należy rozumieć fenomen baśni: można do nich sięgać w każdym wieku i każdy znajdzie w nich coś dla siebie. W każdym dorosłym tkwi dziecko, spragnione powrotu do korzeni (baśni). Nie zapominajmy o tym.

7 Tamże, s. 31.

Esprit na schodach

Tak się składa, że część życia upływa mi na ciekawych, pasjonujących i inspirujących rozmowach z ludźmi. Te rozmowy nigdy nie kończą się w chwili rozstania. Często bywa, że dopiero po jakimś czasie przypominają mi się czyjeś słowa. Już nie mówiąc o tym, że wiele razy doświadczam tego, co Diderot w *Paradoksie o aktorze* nazywa *esprit d'escalier*. Dosłownie: rozum na schodach. Innymi słowy, najlepsze pomysły na celną odpowiedź i udaną ripostę przychodzą przeważnie do głowy, kiedy jest już na nią o wiele za późno. Na szczęście okazuje się, że nic nie staje na przeszkodzie, aby – jeżeli już (oczywiście na schodach) jakaś myśl *vient a l'esprit*, czyli przychodzi do głowy – zanotować ją.

Esprit to zresztą niezwykle pojemne francuskie słowo. Oznacza nie tylko rozum, ale i rozsądek, inteligencję, swoisty rodzaj mądrości. Jest też wyrażenie: *large d'esprit* – szerokie horyzonty myślowe, które nie tylko w myśl postanowień noworocznych, mam nadzieję stale poszerzać. Jak widać gołym okiem, otaczająca nas rzeczywistość jest aż nadto poważna, więc trzeba koniecznie *faire de l'esprit* – pożartować sobie od czasu do czasu. Z kogo i z czego? Tu przyda się bez wątpienia *esprit critique* – zmysł krytyczny, niezbędny, aby funkcjonować w świecie. Tymczasem kto wie, może bardziej przydaje się w naszych czasach *esprit de competition* – duch współzawodnictwa? Szybciej, silniej, wyżej. Kolejna odłona wyścigu szczurów? Ludzi twórczych jest u nas miliony, jeśli popatrzeć na to, co publikuje się na milionach kont w serwisach społecznościowych i tysiącach blogów. A francuski polityk Charles de Gaulle narzekał, że trudno mu rządzić krajem, w którym wytwarza się ponad trzysta gatunków sera!

Les voyages ouvrent l'esprit: podróże poszerzają horyzonty. Podróż niemal zawsze łączy się z przygodami. Nikt nie zaprzeczy, że przygodą samą w sobie jest przedzieranie się przez dżunglę życia. Walczymy

z dzikimi zwierzętami (tak można chyba nazwać nieujarzmione ludzkie wnętrza?) i szukamy skarbów – każdy czegoś innego. Dla mnie najcenniejsze są niezapomniane spotkania z ludźmi. Nie chodzi mi tylko o osobiste, bezpośrednie kontakty, choć one zwykle są najbardziej wartościowe. Z ludźmi możemy się spotykać w różny sposób. Nawet jeśli przebywają daleko od nas lub gdy ich życie jest już rozdziałem zamkniętym. Możliwość prowadzenia z nimi dialogu – poza czasem i przestrzenią – nadaje życiu głęboki sens.

Często zadawane pytanie: czy istnieje coś takiego jak sens życia? Woody Allen w to wątpi: *How is it possible to find meaning in a finite world, given my waist and shirt size?* (Jak można znaleźć sens w ograniczonym świecie, jeśli mam dany tylko obwód mojej talii i numer kołnierzyka?) Jestem głęboko przekonana, że sensu szukać trzeba. Może wystarczy mniej koncentrować się na swojej talii, rozluźnić kołnierzyk i rozejrzeć się wokół? Dzieje się tyle pasjonujących rzeczy, w których możemy uczestniczyć, jeżeli tylko wyściubimy nos zza ekranu smartfona.

A swoją drogą, o wymiarach swojej talii też warto pamiętać. Jeżeli pojawia się dylemat, na kogo wydać pieniądze: na panią do sprzątania czy na osobistego trenera, opowiadam się zdecydowanie za tym drugim. Same korzyści: można sobie pogadać przy sporcie o muzyce i innych miłych rzeczach, a przy okazji oddalić od swojego ciała widmo nadciśnienia, cukrzycy i osteoporozy. Mało tego, realizujemy pożyteczny narodowy program zapobiegania chorobom cywilizacyjnym. Nasze ciało w służbie narodu. Suwerena! I nie trzeba być ustawicznie na diecie, w końcu czekolada jest przede wszystkim dla ludzi. A poważnie: fajnie jest móc wejść na przykład na ósme piętro bez zadyszki. Że niby lepiej i szybciej wjechać windą? Ale to przecież na schodach przychodzą do głowy najlepsze pomysły!

Niezwykły język *palenquero* i ślady dziedzictwa afrykańskiego w Kolumbii

Wiadomo, że przybycie Europejczyków na kontynent amerykański zapoczątkowało proces mieszania się kultur, którego efekty do dziś są widoczne szczególnie na Karaibach. Istotną rolę w jego przebiegu odegrała ludność pochodzenia afrykańskiego. Prawie każdy w pierwszej kolejności kojarzy synkretyzm z Kubą, o której napisano już wiele. Jednakże mało kto wie, że w niewielkim miasteczku na karaibskim wybrzeżu Kolumbii, Palenque de San Basilio, również bardzo silnie zachowała się tradycja afrykańska, a także *palenquero* – unikalny język powstały pod wpływem języków afrykańskich.

Wkrótce po rozpoczęciu podboju ziem amerykańskich, na początku XVI wieku, Europejczycy zaczęli sprowadzać na kolonizowane ziemie afrykańskich niewolników, porywanych głównie z obszarów dzisiejszych Angoli, Gwinei i Senegalu. W 1533 roku hiszpańscy konkwistadorzy założyli na karaibskim wybrzeżu obecnej Kolumbii miasto Cartagena de Indias, które wkrótce stało się jednym z najważniejszych ówczesnych portów Ameryki jako główny punkt przeładunku niewolników oraz handlu nimi – i stąd też po dziś dzień wpływy afrykańskie w Kolumbii są najsilniejsze właśnie w tym regionie. Na początku monopol na handel niewolnikami mieli Portugalczycy – tak więc bazą dla powstania *palenquero* stał się język portugalski (a nie, jak się czasem błędnie sądzi, hiszpański). *Palenquero* jest więc językiem kreolskim, który ukształtował się poprzez kontakt języków z grupy bantu oraz sudańskich z portugalskim. Wpływy hiszpańskie, które można zauważyć szczególnie w słownictwie, są późniejsze, jako efekt oczywistych kontaktów z konkwistadorami.

Nazwa języka pochodzi od słowa *palenque* oznaczającego ogrodzenie obronne z drewnianych

slupów bądź też teren nim otoczony. Nazywano tak osady tworzone przez *cimarrones* – zbiegłych niewolników. Obecnie miasteczek zawierający to słowo w swojej nazwie jest wiele, jednakże to Palenque de San Basilio, położone nieopodal Cartageny, jest najsilniejszą enklawą dziedzictwa afrykańskiego. Jego historia wiąże się z piękną, wartą zachowania w pamięci postacią będącą do dziś w Kolumbii symbolem walki o zniesienie niewolnictwa oraz o prawa ludności pochodzenia afrykańskiego. Mowa o żyjącym na przełomie XVI i XVII wieku przywódcy oswobodzonych niewolników znanym jako Benkos Biohó lub Domingo Biohó. Benko jest nazwą obszaru położonego na wschód od rzeki Senegal, a Biohó to region w dzisiejszej Gwinei Bissau, na którego terenie urodził się Domingo. Przed porwaniem przez handlarzy niewolników Benkos Biohó był lokalnym wodzem, jednakże w Ameryce został zmuszony do pracy jako galernik. Pewnego razu wykorzystał moment, w którym łódź zaczęła tonąć i dokonał próby ucieczki, ale został schwytany. Szczęśliwie w 1599 roku udało mu się zbiec ponownie i niedługo potem zaczął pomagać innym niewolnikom w dokonaniu tego samego. Afrykanie uciekali uzbrojeni i chronili się na terenach górskich. Wkrótce ich społeczność dowodzona przez Biohó była tak silna, że Hiszpanie zaczęli czuć się zagrożeni – w 1605 roku zaproponowali traktat pokojowy, zgodnie z którym uznaliby autonomię założonego przez Biohó Palenque de la Matuna, a w zamian Afrykanin miałby zaprzestać organizowania ucieczek i udzielania schronienia kolejnym osobom. Traktat podpisano w 1612 roku, a tym samym Palenque de la Matuna stało się pierwszą w Ameryce osadą wolną od niewolnictwa. Jed-

nakże siedem lat później pakt został podstępem zerwany przez Hiszpanów, obawiających się wciąż rosnących wpływów Biohó wśród Afrykanów. Porwali oni przywódcę i w 1621 roku zamordowali. Po egzekucji Domingo uwolnieni przez niego *cimarrones* założyli Palenque de San Basilio, gdzie obecnie znajduje się najstynniejszy pomnik Biohó.

Nazwa miasteczka jest jednym z wielu przykładów synkretyzmu religijnego. Zgodnie z legendą, utknęła tam w błocie transportowana do innej wioski figura świętego Bazylego i w żaden sposób nie dawało się jej wyciągnąć. Afrykanie uznali to za znak od sił nadprzyrodzonych i ustanowili świętego Bazylego patronem osady.

Miasteczko jest więc dziś zamieszkiwane przez potomków wyzwolonych niewolników i językiem *palenquero* posługuje się tam około 3500 osób. Jako język kreolski jest on systemem uproszczonym – brak w nim rozbudowanej odmiany czasowników. Wiele informacji gramatycznych zawiera się w oddzielnych partykułach umieszczanych przed wyrazami – np. liczbę mnogą określa słowo „ma” stawiane przed niezmieniającym swojej formy rzeczownikiem („baka” – „krowa”, „ma baka” – „krowy”). Jedną z bardziej charakterystycznych cech to umieszczanie zaimka dzierżawczego po rzeczowniku, interesujące jest także

podwójne przeczenie w trybie rozkazującym (np. „No mini ka nu” – dosłownie: „Nie podchodź tutaj nie”).

Tradycyjnie w języku tym tworzona była niemal jedynie literatura ustna, jednakże w ostatnich latach można zaobserwować wzmożone wysiłki w celu zachowania języka. Nauczany jest on w szkole w San Basilio oraz kultywowany w formie pisemnej, m.in. przez poetów tworzących w tym języku. Jedną z najważniejszych postaci to Solmery Cásseres Estrada, urodzona w 1966 roku w San Basilio. Jest ona autorką pierwszego słownika *palenquero*-hiszpańskiego, a także reprezentuje rolę kobiet *afropalenteras* w etnoedukacji na poziomie regionalnym. Inny wyróżniający się poeta to Uriel Cassiani Pérez, urodzony w 1971 roku i mieszkający w San Basilio. Oboje z wymienionych poetów tworzą zarówno po hiszpańsku, jak i w *palenquero*. Cieszy i daje nadzieję na przyszłość fakt, że zainteresowanie zachowaniem tego cennego języka jest widoczne szczególnie u młodszego pokolenia. Zamieszczone na dalszych stronach wiersze autorstwa Cassianiego Pereza, pochodzące z tomu *Alguna vez fuimos árboles o pájaros o sombras* (Kiedyś byliśmy drzewami, ptakami lub cieniami), zostały przetłóżone z języka hiszpańskiego, ale istnieją również ich wersje opublikowane w *palenquero*.



Uriel Cassiani Pérez

Źródło: <http://www.eluniversal.com.co/suplementos/dominical/uriel-cassiani-perez-la-sagrada-promesa-del-poeta-38184> [dostęp: 26 stycznia 2017]



Pomnik Domingo Biohó w Palenque de San Basilio

Źródło: <https://media-cdn.tripadvisor.com/media/photo-s/0f/0b/b3/41/san-basilio-de-palenque.jpg> [dostęp: 26 stycznia 2017]

Nasze kości

Urosły nasze cienie
czy też szczodre drzwi domów
zmalwały...
wiatr kołacze ostrożnie
jak ktoś, kto niepewny powraca.
Utraciły ściany świetność fasad,
gdzieś tam, walizka oczekuje na podróżnego,
almanach bez dat,
jeden wers ocalał:

Zapamiętasz Epifanię.

Miejsce na patio, co skupiało rodzinę,
nie uniosło brzemienia rozproszonych braci,
drzew bez cieni na czubkach.

Wracam, aby zebrać nasze kości,
by ożywić pamięć doskonałych chwil.
Znajduję w kątach lalki sióstr:
zdają się otwierać przede mną ramiona.

Wątpię, bym dosięgnął jasności Wszechświata,
by znów rozpalić światło w tych pokojach,
gdzie nie brakowało nieba.

W którym momencie szmer strumienia
ucichł w naszych gardłach?
Zbyt wiele pyłu, by zdmuchnąć wszystko wiatrem
co początek ma w płucach.
Pozostało gliniane naczynie,
z którego piliśmy bystrą wodę,
głosy, co powracają, nawołując swych właścicieli.
Czy oto właśnie zwycięstwo nocy?
Rzeczywisty wymiar śmierci?

Szpaler słoneczników

Powrócili umarli
z nowinami.
Z wieściami od światła.
Każdy z nich jak róża w bezruchu.
Jak gwiazda, co się rodzi.

Słucham ich głębokiego odpoczynku
jak nowej muzyki, co opada.
Zaskakuję znajome twarze.
Odkrywam szpaler słoneczników
od pokoju dziennego do patio.

Rozdam moje książki,
płóciennie posłanie,
odzienie,
najprostsze uśmiechy,
najpiękniejsze pozdrowienia.

Bo nim nadejdzie pełnia,
podążę w rzędzie wraz z nimi.

(z tomu *Alguna vez fuimos árboles o pájaros o sombras*)

Tłumaczenie wierszy - Barbara Curzytek

RECENZJE I OMÓWIENIA

Na Zachodzie wiele zmian...

Zofia Mąkosa, *Wendyjska winnica. Cierpkie grona*, Poznań 2017, 476 s.

Krzysztof Koziółek, *Góra Synaj*, Warszawa 2017, 302 s.

Marek Krajewski, *Mock. Ludzkie zoo*, Kraków 2017, 400 s.

Literatura odwołująca się do niemieckiej przeszłości tzw. Ziem Odzyskanych nadal ma się dobrze. Kwitnie i powstają obyczajowa, i monografia historyczna, powstają też kryminały retro. W tej pierwszej kategorii na szczególną uwagę w bieżącym roku zasługuje debiut Zofii Mąkosi. Pisarka urodziła się w Kargowej, a dzieciństwo spędziła w Chwalimiu. Jest emerytowaną nauczycielką historii i wiedzy o społeczeństwie. Jak sama mówi, czytanie książek to jej największa pasja. Jest szczęśliwą żoną, matką trójki dzieci oraz babcią małej Marysi i zupełnie malutkiego Ignasia. Powieść, a właściwie saga Z. Mąkosi *Wendyjska winnica. Cierpkie grona*, rozpoczyna się w roku 1938 w Chwalimiu (niem. Altleben), wsi położonej na pograniczu niemiecko-polskim. Na kartach książki autorka ożywiła ostatnich potomków Słowian pochodzących od Serbów Łużyckich – Wendów. Główną postacią w książce jest Marta Neuman. Całe jej życie właściwie wypełnia ciężka praca w gospodarstwie, w polu oraz na winnicy. W chwilach zwątpienia Marta jako gorliwa luteranka szuka pociechy w lekturze Pisma Świętego. Na swój wzór – dobrej gospodyni, żony i matki – próbuje wychować córkę Matyldę, która jednak z czasem daje się uwieść hitlerowskiej propagandzie i sens swojego życia odnajduje w służbie niemieckiej ojczyźnie, przeżywa też pierwsze zakochanie i coraz bardziej oddala się od matki. Kolejną bohaterką opowieści jest Janka Kaczmarek, Polka spokrewniona z rodziną Neuman-

nów, osoba gorliwie wierząca i żyjąca według zasad wiary katolickiej. To właśnie polskość i dobroć stają się przyczyną problemów kobiety, która w wyniku ludzkiej niegodziwości trafia do obozu koncentracyjnego. Oprócz tych głównych wątków, autorka wplotła w kanwę narracji wiele historii i motywów pobocznych, które tworzą panoramę życia nie tylko w urokliwej wiosce, ale i w bombardowanym przez aliantów Berlinie. Jest to także kronika obyczajów, zasad i kultury wendyjskiej. Ostatecznie, dla mieszkańców Chwalimia wojna okazuje się sprawdzianem moralności, który zdają tylko nieliczni, a nazistowskie idee znajdują więcej zwolenników niż przeciwników. Wielkim plusem jest zachowany przez Z. Mąkosę obiektywizm oraz dbałość o detale, oparta na dokładnie przeprowadzonych badaniach historycznych. Pozostaje nadzieja, że kolejne tomy serii planowanej jako trylogia utrzymają poziom pierwszej części.

Również w roku 1938 rozpoczyna się (i trwa) akcja kolejnego kryminału autorstwa Krzysztofa Koziółka – *Góry Synaj*. Autor ponownie zaprosił nas do świata, którego głównymi bohaterami są znani z książki *Furia rodzi się w Sławie* Anton Habicht i hrabina Franziska von Häften, jednak (nawiązując do mojej recenzji *Furii* – „Pro Libris” nr 1-4, 2016) nie jest już tak wesoło. Robi się za to treściwie. Krzysztof Koziółek ograniczył nieco skrupulatne budowanie charakteru każdej z postaci występujących w książce na rzecz akcji. Dzieje się dużo i szybko. Jest to, co po-

winno być: śledztwo, pościgi, mordobicia. Naturalnie autor musiał dorzucić szczyptę czarnego humoru, który odnalazłam m.in. we „fraszce” o kałuży ułożonej przez śledczego Matzkego z Kripo: „stoi woda stoi, słońca się nie boi”. Co mnie ucieszyło, pisarz nie odszedł od tak lubianych przez czytelników opisów lokalnych, tu: glogowskich (niem. Glogau) i nowosolskich (niem. Neusalz) knajp, restauracji i wyszynków oraz potraw tam serwowanych. Myślę, że nie ma potrzeby większego przedstawiania fabuły, bo *Górę Synaj* po prostu trzeba przeczytać. Duży ukłon dla Krzysztofa za odtworzenie topografii obydwu miast z niezwykłą dbałością o szczegóły, a także próbę wykreowania atmosfery roku 1938 (metod działania organów śledczych, nastrojów społecznych czy ducha wszechobecnego uwielbienia dla partii nazistowskiej i Hitlera).

Jako nagłówek niniejszej recenzji dałam parafrazę tytułu powieści Ericha Marii Remarque’a *Na Zachodzie bez zmian*. Po lekturze nowego tzw. Mocka (Marek Krajewski, *Mock. Ludzkie zoo*) uważam, że coś się zmieniło. Krajewski, którego darzę ogromnym szacunkiem za pomysłowość, erudycję i klasę, znowu nie oszczędza czytelnika, lecz jak to mówią: co za dużo, to niezdrowo... Narracja osadzona jest

tym razem w latach 1914-29, a inspiracją dla autora stała się bulwersująca historia, która rozegrała się w przedwojennym Wrocławiu (niem. Breslau). Pisarz ponownie skupił się na mrocznych aspektach ludzkiej natury, krążących poza granicami norm etycznych. Jednak za mało tu paskudnego, choć inteligentnego Eberharda „Ebiego” Mocka z pierwszych tomów cyklu, a za dużo makabry i okrucieństwa okraszonego komiksowymi wręcz kadrami czy „podbramkowymi” sytuacjami, kończącymi się dobrze dla naszego bohatera (np. pierwszy pobyt w Hadesie).

Co do ciekawostek dotyczących gastronomii w stolicy Dolnego Śląska – autor przedstawił działającą w mieście, nowoczesną jak na owe czasy, restaurację automatyczną, w której wybrane potrawy można było sobie kupić, wrzucając monetę do odpowiedniej maszyny.

Markowi Krajewskiemu pod samym nosem wyrasta naprawdę solidna konkurencja, która i potrafi spopularyzować historię i udatnie odtworzyć klimat przedwojnia. Ja na pewno wrócę do Breslau jeszcze nieraz, ale są tacy, którzy chętniej udadzą się do Neusalz, Glogau albo do Altrenben.

Alina Polak-Woźniak

Konwencjonalna awangarda Katosa

Jacek Katos, *Partes Corporis, Animae Fragmenta...*, Pro Libris, Zielona Góra 2017, 134 s.

*Oświadczam, że jestem przeciwko dada,
ponieważ tylko w ten sposób mogę dada popierać.*
Walter Arensberg

W Piekarni Cichej Kobiety robi się trochę nerwowo, bo od godziny 19.16 (to nawiązanie do narodzin dadaizmu w 1916 roku), czyli zaplanowanego rozpoczęcia, minęło kilka kwadransów. Każdy zdążył już wypalić trzy papierosy, porozmawiać o pogodzie z przypadkowymi współuczestnikami i... nic. Totalna ignorancja – można by pomyśleć. A tak naprawdę wszystko już dawno się zaczęło. Punktualnie została

uruchomiona płyta z interpretacjami tekstów Jacka Katosa Katarzyńskiego, ale o tym dowiedziałam się dużo później, bo tego wieczoru słyhać było raczej hałas niż muzykę. Staliśmy się zaangażowani, wytrąceni z obojętności widza i biernej konsumpcji. Przypomniało mi to teatr w teatrze Ludwiga Tiecka – gdzie w prologu *Kota w butach* – jedna z postaci siedzących na widowni nawołuje publiczność do tupania i wygwizdania sztuki. W performansie Katosa ta rola przypadła sugestywnemu Cezaremu Molendzie (w dalszej części wieczoru aktor stał się prawdziwym, czerwonym dziełem sztuki) z al-

ternatywnego Teatru Terminus a Quo. To właśnie aktorki i aktorzy z nowosolskiego teatru podjęli się zaprezentowania m.in. poezji dźwiękowej, poezji symultanicznej (wiersze odczytywane równolegle), poezji poszarpanej oraz pewnego typu poezji deptanej (nawiązania do akcji grupy „Budowa II”, w której Katos działał w latach 80.). Ważną postacią był też „postdadaistyczny wodzirej urodzinowej stypy” – Ernest Nita, stemplujący każdego z przybyłych gości.

W dalszej części wieczoru robiło się coraz ciekawiej, czas linearny został powstrzymany: duchowy ojciec dadaizmu – Hugo Ball w kubistycznym stroju zaprojektowanym przez Marcela Janco, a wykonanym przez Marcela Duchampa – obecny był niemal w skali 1:1 na ostatnim wieczorze Katosa. W jego roli wystąpił ekscentrycznie ubrany Edward Gramont z teatru TAQ, wypowiadający mantryczne słowa „Zgrudewiszcze Badgaszcze”. Zurych, rok 1916 – faktycznie do tego miejsca i czasu można było się przenieść podczas prezentacji projektu Katosa, na który składały się: płyta (... *Części Ciała, Fragmenty Duszy*), *Art Box Poetica* – *dadaskalia* oraz książka (*Partes Corporis, Animae Fragmenta...*) prezentująca wiersze dawne i nowe. Pomysł Katosa mógłby mieć walory edukacyjne – bo przecież trudno doświadczyć ruchu artystycznego z pierwszej połowy XX wieku na lekcji języka polskiego przez podręcznik. Nauka przez przeżycie czy tzw. pedagogika przeżyć to dobry kierunek dla szkół. Tylko że dadaizm wydaje się na tyle nieprzyzwoity w swojej kontestacji rzeczywistości, że nie byłoby to w interesie szkoły, aby nim fascynować.

Ważnym elementem spotkania był interesujący komentarz Magdaleny Lachman z Uniwersytetu Łódzkiego. Badaczka napisała także wstęp do książki Katosa, w którym nieco wyjaśniła przejawy awangardowego temperamentu twórcy. Później zaprosiła poetę do krótkiej rozmowy – jednak Katos, najgłębiej partycypujący w wydarzeniu, z trudem wypowiadał się o swojej sztuce (przyjmijmy jednak, że autor jest zwolniony z interpretacji tego, co wytwarza i dajmy mu przywilej „boskiego zapętlenia”). Następnie poeta zaprezentował swoistą skrzynię, którą nazwał

Art Box Poetica (A. B. P.) – *dadaiskalia*. Dostępna jest tylko w sześciu egzemplarzach (zestawy miały różny cel przeznaczenia, zostały określone jako: oficjalne, osobiste i charytatywne). Wśród umieszczonych tam *ready mades* były np. praca magisterska o pornografii, kolaż, płyta, 13 nr „Dada Rzyje”, udko kurze na płótnie, magnes na lodówkę, trudne do nazwania wycinki oraz mydło z wtopionymi śrubami. Dokładny spis tych rzeczy zainteresowani odnajdą w książce. Niektóre połączenia wydają się nielogiczne, nonsensowne. I dobrze! Z wymienionych „dzieł” to właśnie ostatnie (mydło autorstwa Urszuli Suder) przyciąga uwagę. Przypomina nieco *Podarunek* (*Cadeau*) Mana Raya z 1921 roku¹. Artysta połączył żelazko i gwoździe i nadał im niespotykaną formę. Przedmiot ten stracił swój utylitarny charakter i zaczął znaczyć inaczej. Mydło traci swoje przeznaczenie, bo śruby – w miarę upływu czasu i ścieralności mydła – poraniłyby ręce lub inne części ciała. Dzięki temu mamy do czynienia z nierozwiązywalnym konfliktem (obiekt-funkcja)².

Spotkaniu towarzyszyły aktorskie wykonania utworów Katosa (zapamiętałam jedynie fachową interpretację Elżbiety Donimirskiej) oraz minirecital *Jadę do Jerozolimy* (ŻURAW). Mam wrażenie, że wiersze były na marginesie wszystkiego, co się odbywało. Tak chyba dzieje się z tymi tekstami w ogóle. Niezauważone, niedocenione, pominięte – może tak myśli o nich z uzasadnioną frustracją autor. Wydaje mi się, że są jak zapis partytury – nieczytelne dla kogoś, kto nie słyszy ich w głowie, bo nie zna nut.

Zabrzmie to może paradoksalnie – Katos wydaje się jednym z najbardziej tradycyjnych (konwencjonalnych) poetów lubuskich. Odwołuje się ciągle do awangardy, tworzy wokół siebie atmosferę nowatorstwa i przekraczania granic, a w gruncie rzeczy żadnej z wyimaginowanych granic nie przekracza (powtórka z awangardy to nie awangarda). Jest bardzo konsekwentny w kontynuowaniu dadaistycznych dykcji – jak zauważa Lachman (w 1997 roku wydał tomik *Dada rzyje, czyli co było jest i wcale być nie musi*, był też autorem artzinu „Dada rzyje”).

1 D. Elger, *Dadaizm*, red. U. Grosenick, przeł. J. Wesołowska, Köln 2005, s. 88-89.

2 Tamże.

Jego poezja wielokrotnie ociera się o grafomanię, kicz. Żeby nie być zupełnie gołosłowną, kilka przykładów nieporadnych poetyckich rozwiązań (Katos zebrał wiersze stare i nowe, staram się traktować je całościowo jako jedną opowieść):

1. Nadekspresyjność – objawiająca się wielokropkami („hmm...”) – nawet w tytule tomiku, multiplikacjami znaków interpunkcyjnych („Chroni?!”), bezsensownymi wulgaryzmami (jak w wierszu *Yin i Yang*).
2. Schematyczność obrazowania, banały („Jestem Twoją ziemią, Ty jesteś moim niebem”).
3. Za dużo serca we wszystkim („Moje serce/ Żongler naiwności”, „serce co kamieniem tarte”, „na wysokość gdzie serce/ być powinno”).
4. Nagromadzenie metafor dopełniaczowych („Kiedy niebo niecierpliwe/ wojną chmur się dławi,/ skrzydła wahaniem rozpostarte/ drżą tylko niepewnie”, „Ja tylko w agonii egoizmu gwiazdeczkami słów/ przystajam uschnięte choinki zwykłych dni”).
5. Brak konsekwencji – bezzasadność stosowania wielkich i małych liter, interpunkcji.
6. Spiętrzone, puste metafory („mleczne piersi kosmicznego jestestwa karmiące bez troskie dzieci wiatru”).
7. Zbyt duży stopień abstrakcyjności, używanie wielkich słów, brak konkrety.
8. Tam, gdzie ma być intymnie, jest kiczowato (erotyki).
9. Limeryki o tanim zabarwieniu seksualnym.

Jest w tej poezji jeden poruszający obraz: „odwiedził mnie trzynastoletni chłopiec z boiskiem w kieszeni”. Nie trzeba tu nic dodawać. Podmiotem większości tych wierszy jest wrażliwy, przerośnięty chłopiec. Krzyczy, ale nikt go nie słyszy. Szyfruje i nikt nie ma ochoty odgadnąć znaczeń. Lachman trafnie diagnozuje: „Dadaizm w świetle swojej artzinowej recepcji jawi się bowiem jako potrzeba nie tyle artystyczna czy intelektualna, ile emocjonalna: jest propozycją, z którą być może nie da się i nie chce się dorastać, ale zarazem jest też idiomem, modulem, strategią czy

postawą przydatną, gdy programowo nie chcemy, nie potrafimy czy nie możemy się starzeć”³. Nie jestem pewna, w jakim procencie (lub promilu) wiersze Katosa są dadaistyczne; może raczej są programowym sprzeciwem wobec konwenansów.

Jako że jest mi po drodze z eksperymentem, Fluxusem (który przecież inspirował się dada), odbieram bardzo pozytywnie tego typu sztukę partycypacyjną, którą za Claire Bishop można nazwać „sztucznymi piekłami”⁴. Wbrew ocenie tej poezji, zupełnie ze spokojem pozwalam sobie na ten wewnętrzny rozdźwięk, bo co innego sprawność literacka tych utworów, a co innego ich możliwa do uruchomienia intensywność. Zresztą zasada sprzeczności bliska jest wszystkim dadaistom („Wszystko jest w porządku, a także na odwrót”, pisał Kurt Schwitters). Chodzi w tym przypadku o przeżycie niepokoju i zrównanie czasowych perspektyw – bo czym różni się nasz współczesny niepokój od tego, który odczuwali ludzie otoczeni wojnami na początku XX wieku (podkreślę, że dadaizm narodził się w neutralnej politycznie Szwajcarii)? Dadaizm dawał możliwość wyrażenia sprzeciwu wobec rzeczywistości i cynizmu każdej ze stron konfliktu; poprzez praktykowanie bezsensu artyści próbowali odszukać sens lub stworzyć go na nowo. Gilles Deleuze użył słowa *incurver* (zakrzywić) na opisanie związku rzeczywistości i sztuki. I to chyba dobre określenie dadaistycznych działań. Czy intensywność takiej sztuki została osłabiona przez Katosa poprzez powtórzenie, zabawę z anachronizmem? A może właśnie odwrotnie – ten przeskok czasowy wywołuje w widzu jeszcze mocniejszą reakcję, jakieś niepokojące *déjà vu*. Chętnie przy okazji performansu Katosa zbadałabym odczucia widzów w trakcie spotkania oraz po jakimś czasie od niego (może udałoby się zauważyć jakąś zależność między percepcją, odczuwaniem *ad hoc* i późniejszym rozumieniem). Ale to refleksje spóźnione albo propozycja na kolejny (ostatni) raz Katosa.

Lubuski twórca wrzuca nas w chaos nazw i tytułów (nie wiemy po chwili, co dotyczy książki, płyty, a co A. B. P.) – dajmy mu i tę swobodę. W końcu

3 M. Lachman, *Artzino (re)aktywacje dadaizmu* [w druku, tekst udostępniony przez autorkę].

4 C. Bishop, *Sztuczne piekło. Sztuka partycypacyjna i polityka widowni*, przeł. J. Staniszewski, Warszawa 2015.

świat nie jest idealnym odbiciem katalogu w bibliotece. „Ostatnia” książka, „ostatni” wieczór, „ostatni” wywiad w radiu – ostateczne, agonalne określenia oczywiście podkreślają atmosferę – to stary chwyt

– ale mam nadzieję, że otwierają także nową perspektywę. Życzę więc zmartwychwstania.

Mirosława Szott

Pisarka z Zielonej Góry

Halina Grochowska, *Pokłon*, Novae Res, Gdynia 2013, 224 s.

Halina Grochowska, *Poklask*, Novae Res, Gdynia 2015, 294 s.

Przed wielu laty, kiedy poznałem młodzieńką uczennicę technikum elektrycznego, idącą aleją Niepodległości, niewysoką, czarnowłosą, nie mogło mi nawet przyjść na myśl, że ta dziewczyna, trochę wtedy nieśmiała, za jakiś czas, kiedy to w jej życiu sporo się zmieni, zajmie się pisaniem prozy. I tak właśnie się stało. Bardzo mnie to zaskoczyło, a zarazem uradowało, gdy mi niedawno swoją pisarską skłonność wyjawiała. Halina z domu Strykowska, a obecnie Grochowska, ma za sobą opublikowane już dwie pozycje prozatorskie: *Pokłon* (2013) i *Poklask* (2015). Trzecia pozycja ma się ukazać niebawem (opatrzona tytułem *Podniesienie*). Wiem to od samej autorki.

Losy życiowe sprawiły, że mieszka obecnie na pięknym Podlasiu, lecz Zieloną Górę zachowała w swojej żywej pamięci. Do jej realiów właśnie dokumentalnie i wspomnieniowo, i wyobraźniowo wraca na kartach tworzonej literatury. I nikt w zasadzie o tym fakcie tu, na miejscu, nie wie, co mnie nieco dziwi. To, co czytelnik szybko zauważy, gdy przeczyta wymienione tytuły, to po pierwsze, niepowierzchowne przywołanie dawnej topografii miasta, nazw ulic, sklepów, wyglądu różnych miejsc i zaułków, także znajomych autorce osób, przygód dziecięcych, koleżanek ze szkoły itp. Wielu ówczesnych wizerunków miasta, ze względu na jego sukcesywną przebudowę, jednak już nie ma. Jej dom rodzinny, a właściwie mieszkanie (na parterze) przy ulicy Moniuszki, w którym bywałem, jeszcze istnieje. Nie tak dawno zająrałem tam. Te same drzwi, ciemny korytarz, okna wychodzące w stronę skweru. Ale, bagatelka, wszy-

scy lokatorzy już są inni, nieznani mi, dawni mieszkańcy wyprowadzili się w tym sensie, że poumierali. Zresztą rodzice pisarki Grochowskiej też już nie żyją. To, co zostało, to szczątki dawnego klimatu i nastroju pieczętowania zaznaczanego w publikowanych opowiadaniach. Na poziomie placu Słowiańskiego, czyli nieco wyżej, pobudowano, wcześniej wyburzając kilka domów, okazały gabarytowo hotel „Ruben”, a od południa biegnie ulica Konstytucji 3 Maja. Obecnie przejeżdżam tamtędy co najmniej dwa razy w tygodniu, gdyż robię warzywno-owocowe zakupy na targowisku przy Owocowej. I czasem w stronę domu i jego otoczenia, przedstawionego na kartach prozy rzucam spojrzenie. To po pierwsze. A po drugie. W opowiadaniach Grochowskiej zostało zapisane coś jeszcze, coś niebagatelne – miniony już klimat życia w PRL-u. Autorka przypomina codzienność tamtego życia, wszystkich egzystencjalnych kłopotów, nieustannego starania się o deficytowe mięso, masło, kawę i inne dobra. Autorka przywołuje kolejkową rzeczywistość, ludzi ustawiających się od wczesnego rana albo nawet już od godzin nocnych, czyli na długo przed otwarciem sklepów, by się zaopatrzyć w potrzebne produkty spożywcze. Zresztą nie tylko spożywcze, bo i we wszelkie inne, jakiegokolwiek produkty nieustannie deficytowe, na zakup których kolejkowe komitety sporządzały dla porządku i ładu zapisy. Znam to wszystko z autopsji. Też godzinami stałem, czekałem na to, co transport dostarczy. Grochowska podpatrzyła świetnie te sprawy, nie pomijając otoczki ideologicznej propagandy i indoktrynacji, która towarzyszyła ludziom

w zakładach pracy, w szkole i w kolejkach również. Odzwierciedlały one nastroje społecznie, więc służba bezpieczeństwa owe kolejki regularnie inwigilowała. Myślę, że na ukazaniu tych różnych spraw „zielonogórskich” polega zaśluga pisarki.

Pokłon, jak i *Pokłask* wypełniają liczne obrazy i epizody z życia ludzi żyjących w rzeczywistości minionych dekad. Można rzec, iż stronice jej książek są wypełnione kadrami życia, jakby zatrzymanymi na czarno-białej kliszy. Autorka uchwyciła naznaczone piętnem egzystencjalne trudy i szarżę, a także strach i respekt przed możliwymi szykanami ze strony władzy. I zarazem opisuje Grochowska nie dające się wymazać ze świadomości okropne doświadczenia wojny pokolenia przybyszy. Książki mają wielu realnych bohaterów: grono pedagogiczne szkoły, uczniów działających w ZMP i ZMS, organizujących apele „ku czci”, pracowników nowo wybudowanego

kombinatu, junaków walczących o przodownictwo pracy, matki i ojców próbujących zapewnić lepszy byt swoim rodzinom. Są to sprawy już zasadniczo nieznane młodemu pokoleniu. Trudno tamtą rzeczywistość dziś zrozumieć i sobie wyobrazić, bowiem dziś np. pojęcia „puste półki” lub „ocet i liście laurowe”, przy obfitości wszelakich dóbr i towarów w marketach, brzmią bardzo niedorzecznie. Abstrakcyjnie. A wtedy sprostanie codzienności wiązało się wręcz z heroicznym wysiłkiem. Książki Haliny Grochowskiej mają odbiorców, nie tylko dlatego że przywołują historyczną już rzeczywistość, ale i z tego powodu, że tchną autentyzmem przedstawienia, nacechowanym żywą autorską narracją oraz dialogami. Umiejętnie wplatane są wątki romansowe, które dodają prozie urozmaicającego ją kolorytu.

Czesław Sobkowiak

Wspomnienia, które przychodzą i odchodzą

Eugeniusz Paukszta, *Spowiedź Lucjana Skobiela*, Replika, Zakrzewo 2010, 224 s.

Ta kameralna opowieść to nie tylko bilans życia starego człowieka i studium ojcowskiej miłości, ale także głębokie spojrzenie na trudne relacje polsko-niemieckie. Dzisiaj, po ponad pół wieku od publikacji, aktualność *Spowiedzi Lucjana Skobiela* Eugeniusza Paukszty jest miłym czytelniczym odkryciem.

Tytułowy bohater powieści Lucjan Skobiela zostaje sam w mieszkaniu swojej córki, która wyjechała z rodziną na krótki urlop. W ciągu kilku wieczornych godzin starszy człowiek oddaje się wspomnieniom ze swojego pracowitego życia. Nie było ono łatwe dla ludzi z jego pokolenia: dwie wojny światowe, kampania 1920 roku, czasy powojenne, w których wszystko trzeba było sobie układać od nowa. W przypadku Lucjana chodziło jeszcze o uporządkowanie spraw rodzinnych, ponieważ żona Lucyna podczas wojny opowiedziała się za Niemcami i wyjechała z ukochaną córką. Po przedwczesnej śmierci żony Lucjan zdecydował, że dziewczynka zamieszka

z nim w Polsce. Eugeniusz Paukszta stworzył rzadki w polskiej literaturze obraz ojca samotnie wychowującego dziecko oraz wzruszający portret ojcowskiej miłości, chwilami nieporadnej, ale będącej uczuciem najczystszy z możliwych.

Powieść powstała w 1963 roku, a zatem to był jeszcze czas przed publikacją przełomowego listu biskupów polskich do niemieckich, który zapoczątkował stopniowe ocieplenie i normalizację polsko-niemieckich relacji. Trzeba tu przypomnieć, że odezwa ta nie spotkała się z przychylnością ówczesnych władz, którym na rękę było – z wiadomych względów – utrwalanie wizerunku Niemca-wroga Polski (Ludowej). *Spowiedź Lucjana Skobiela*, gdzie ważnym wątkiem są prywatne, rodzinne relacje między Niemcami a Polakami, jest próbą zabrania głosu na tematy, o których szeroko wtedy się nie mówiło.

Eugeniusz Paukszta pokazał polsko-niemieckie powiązania nie od strony polityki czy sporu o gra-

nicę na Odrze i Nysie. Nie ma tu jadu, nowomowy i oficjalnej propagandy. Jest za to bogata warstwa psychologiczna, pozwalająca poznać motywów życiowych decyzji bohaterów powieści. Postać żony Lucyny jest nie do końca jednoznaczna. *Spowiedź Lucjana Skobiela* wydaje się daleka od kanonów nurtu tzw. małego realizmu z lat 60. XX wieku, zadowalającego się stereotypowym i raczej powierzchownym portretowaniem rzeczywistości.

Autor książki prowadził podczas wojny działalność konspiracyjną oraz był dowódcą oddziału partyzanckiego. Można doszukać się wielu wątków autobiograficznych w losach Lucjana, w powieści streszczonych następująco:

Ochotnik z 1920 roku, poszedł zwalczać Republikę Rad, zaprzedał się obozowi reakcji. Późniejszy oficer sanacji, wierny jej do samego końca, w czasie okupacji, wygnany przez żonę Niemkę, związał się z górą AK [...], żeby nie pozostało żadnej już wątpliwości – przejście zaś w późniejszym okresie do Armii Ludowej stawia całą tę sprawę pod wielki, dotąd nie wyjaśniony znak zapytania... [s. 146, pisownia oryginalna]

Można oczywiście doszukiwać się symbolicznego przesłania w historii „odzyskanej z rąk niemieckich” Gosi, córki Lucjana, która po kilku latach spędzonych w Niemczech wróciła do Polski. Odbieramy Niemcom to, co nasze – i w ten sposób definiujemy granice naszej ojczyzny. (Przypomnijmy też, że tuż po wojnie „Niemcy” pisano u nas małą literą). Natomiast obecnie, po ponad pół wieku od publikacji powieści, dostrzegamy tutaj bardzo zaskakujące podobieństwo losu Gosi do tego, czego obecnie doświadczają dzieci Polaków – reemigrantów, powracające do polskich szkół (i to wcale nie z wrogich krajów). Wychowane poza krajem, nie zawsze dobrze radzą sobie z językiem polskim, oderwane kulturowo od rówieśników, pod wieloma względami inne, spotykają się w szkole ze stygmatyzacją i dyskryminacją, przejawami nienawiści i nietolerancji. Wtedy, po wojnie, dla polskich dzieci Gosia była Niemką.

Lucjan z córką mieszkują w Szczecinku, później przenoszą się do Poznania. Jak niezwykle uderzająco

rzeczą jest spojrzenie Eugeniusza Pauksty na to miasto! Tak czytamy w powieści o przedwojennym Poznaniu:

[...] Hallerczykowskie błękitne mundury, Paderewski i Ratajczak symbolami powstania wielkopolskiego, zamiast sybirskich zamieci wóz Drzymały i pacierz wrzesińskich dzieci, cholernie poplątane w tej Polsce, bo na ten cały sentyment nakłada się zaraz imię Dmowskiego, maszerują ulicą spasio-ne facety [...], idą, ale znowu ma któryś wpiętą w klapę odznakę pamiątkową „Sokoła” [...], diabli się nie wyznają w tej arcypolskiej mozaice [s. 58].

Nie można oprzeć się wrażeniu, że wizerunek stolicy Wielkopolski nakreślony w *Spowiedzi Lucjana Skobiela* jest jakby żywcem wyjęty ze stronic reportażu Marcina Kąckiego *Poznań. Miasto grzechu* (Wyd. Czarne, 2017). Obu autorom – tyle że Pauksta widział to już ponad pięćdziesiąt lat temu – udało się uchwycić ten szczególny rodzaj fasadowej moralności, która nakazuje odwracać oczy i zamiatać niewygodne rzeczy pod dywan. Obaj dostrzegają, że Poznań był i jest środowiskiem dusznym, mrocznym, pełnym hipokryzji, między innymi na tle obyczajowym i religijnym. Eugeniusz Pauksta:

W cnotliwym mieście musiały istnieć również rejony innego, zakazanego życia. [...] Nietrudno było o właściwy klimacik. Bogobojne niewiasty, zacne mieszczyki z kupieckich rodzin przy bliższym poznaniu dziwnie mało zaczynały dbać o swoją cnotę, całą uwagę zwracając na to jedynie, by zachowane zostały wszelkie pozory. Bo co by to dopiero rzekła opinia... [s. 48]

Kto i co kryje się za tą „opinią”? „Pruderyjne mieszczaństwo, purytańsko dostojni kupcy, akademickość oficjalnego stylu urzędowania, [...] zacnie nudny tok codziennego życia, schludność i obawa ekstrawagancji” (s. 48).

Doskonała jest konstrukcja powieści, przywołująca na myśl formę teatralnego monodramu. Lucjan Skobiel oddaje się w samotności wspomnieniom, które przychodzą i odchodzą, wirują w onirycznym tańcu, wydobywając ze studni zapomnienia niepa-

miętane od dawna szczegóły, słowa, zdarzenia. Starczy człowiek dokonuje życiowego bilansu, dochodzi do ładu z samym sobą, na nowo definiuje relację z córką, co nabiera szczególnego znaczenia w świetle zakończenia książki. Sięgajmy po *Spowiedź Lucjana*

Skobiela Eugeniusza Paukszy i docieśmy, jak pojemna i bogata to powieść, pozwalająca ujrzeć wiele współczesnych problemów w interesującym świetle.

Joanna Kapica-Curzytek

Niemcy o Polsce i Polakach

Moja Polska – moi Polacy. Eksploracje i obserwacje, red. D. Bingen, M. Hałub, M. Weber, tom wydany przez Deutsches Polen-Institut w Darmstadt we współpracy z Instytutem Filologii Germańskiej Uniwersytetu Wrocławskiego oraz Instytutem Federalnym ds. Kultury i Historii Niemców w Europie Wschodniej w Oldenburgu; [przekład na język polski: zespół autorski pod kier. A. Małgorzewicza, T. Małyška, J. Rzeszotnika], Wydawnictwo Akcent, Warszawa 2016, 344 s.

Książka jest antologią, zawierającą 44 felietony znanych niemieckich osobistości z różnych dziedzin życia Niemców na temat ich kontaktów z naszym krajem i jego mieszkańcami. Opracowana została przez Deutsches Polen-Institut w Darmstadt we współpracy z Instytutem Filologii Germańskiej Uniwersytetu we Wrocławiu.

Autorem słowa wstępnego jest obecny prezydent RFN, były minister spraw zagranicznych Frank-Walter Steinmeier. Wprowadzenie napisał znany w również Niemczech polski germanista z Poznania prof. Hubert Orłowski. Wśród autorów związanych rodzinnie z Polską są głośnie nazwiska: prof. Dieter Bingen, Karl Dedecius, tłumacz literatury polskiej na język niemiecki, czy prof. Horst Köhler, były prezydent Niemiec. Niektórzy z piszących czują się związani się z Polską dzięki pobytowi na studiach, jak np. prof. Gesine Schwan (*Życiowe priorytety*) czy Heinrich Olschowsky (*Moje spotkanie z Haliną Bortnowską*), lub poprzez podróże do naszego kraju bądź sprawy zawodowe, jak historyk, prof. Klaus Ziemek (*Polska, cóż za wspaniałe odkrycie*), dziennikarka Helga Hirsch (*Debaty aż po świat*), albo też dzięki ich obecności w polityce: Dietmar Nietan (*Późne wyznaczenie miłości do „Bożego igrzyska”*), Hans-Georg Pöttering (*Cud nad Odrą i Nysą – jak sąsiedzi stali się przyjaciółmi*) czy dr Dietmar Woidke (*Pewnej październikowej nocy w roku 1981*).

O Polsce piszą biznesmani: Norbert Rethmann, zawodowy pisarz Wolfgang Templin (*Moje cztery dekady*), filmowiec Volker Schlöndorff autor nakręconego w Polsce polsko-niemieckiego filmu *Niekończąca się historia miłosna*, czy zaangażowany w sprawy Kościoła katolickiego kardynał Karl Lehmann (*Nowy impuls dla Europy*).

Wreszcie o szczęśliwym spotkaniu i pokrewieństwie dusz i zauroczeniu polską muzyką współczesną Witolda Lutosławskiego i Krzysztofa Pendereckiego pisze prof. Anne-Sophie Mutter, najśłynniejsza niemiecka wiolinistka: „W muzyce prof. Krzysztofa Pendereckiego odkryłam barwy, których nie dostrzegłam wcześniej w żadnym innym dziele”.

Wielu autorów wspomina z własnej perspektywy milowe kroki wydarzeń w stosunkach polsko-niemieckich, a pozostają nimi: List biskupów polskich do biskupów niemieckich (1965), słynne przyklęknięcie Willy’ego Brandta pod pomnikiem Ofiar Holokaustu (1970) oraz znaczenie umów polsko-niemieckich (1990/1991).

Ta książka to lektura godna polecenia wszystkim, którzy interesują się tematyką polsko-niemiecką, ale nie tylko. Trudno się od niej oderwać.

Barbara Krzeszewska-Zmysłony

Uroki azylu

Agnieszka Ginko, *Krucze*, Lubuska Agencja ELBLASK sp. z o.o., Zielona Góra 2017, 46 s.

Agnieszka Ginko zamieściła na okładce debiutanckiego zbiorku poetyckiego *Krucze* ciekawy biogram, pokazujący aktywność literacką i nie tylko. Od razu nasuwają się interpretacyjne możliwości. „Krucze” jest życie (wiemy o tym), „krucze” jest też słowo, bo jest za słabe, by sprostać skomplikowanej składni świata. Świadomość „kruczości” może implikować podejście specyficzne do sztuki i istnienia. A więc prostotę, umiar, pokorę, cenień rzeczy najbliższych. I od razu zauważę, że te wszystkie cechy w tym zbiorku czytelnik znajdzie. Po publikacji książek dla dzieci, tekstów edukacyjnych i poetyckich, w wielu pismach w Polsce i za granicą, przyszedł czas na wyrażenie obserwacji i doświadczeń osobistych.

W Zielonej Górze Agnieszka Ginko osiedliła się w 2014 roku. Pracuje w Bibliotece Norwida. Należy do Stowarzyszenia Jeszcze Żywych Poetów. Poezja osobista w jakimś zakresie jest przedłużeniem jej tworzenia dla dzieci. W tym gatunku zdobyte umiejętności warsztatowe z pewnością teraz bardzo się przydadzą. Chociaż mamy do czynienia z debiutem, to faktycznie jest to kontynuacja tworzenia. Dostrzec można również jakby sposób patrzenia na świat oczami dziecka, a przynajmniej sympatyzowanie z takim spojrzeniem, którego wartość poetka docenia. Zresztą o dziecko, które ma się narodzić, zwłaszcza w centralnej części książki (*Z Księgi Genesis*) chodzi. Tam czytamy podniosłą i apologetyczną linijkę: „Jasny smak pomarańczy królować Ci będzie”. Poza tym w jednym z początkowych wierszy (*Zimowo*) Agnieszka Ginko pisze: „Tylko dzieci rysują/ patykiem na śniegu/ swoje marzenia/ Tylko dorośli/ strzepują śnieg z butów”. Kilka słów, a jak ważne w nich rozróżnienie. I tak jest w kolejnych wierszach. Ważne dla podmiotu lirycznego i dla samej poetki. W zasadzie mówi głównie od siebie i swoje słowo lokuje w sferze prywatnej egzystencji. Istotne sprawy, przez nią postrzegane, przeżywane, nie muszą i nie bywają nawet zauważane przez nikogo więcej. Pozornie małe. Codzienne. Nad nimi kosmicznie patroluje Droga Mleczna. Poetka dba, by pokazać raczej wrażliwość dziecięcą niż „dorosłych”. Konsekwentnie chroni tę

świeżość i jakąś dozę niewinności. To ważne. Chroni bowiem autentyczność i łączącą się z nią prawdę. Jej problemem literackim jest nie tyle obnażanie skażeń lub patologii wszelkiego rodzaju, co mogłoby skłaniać do refleksji moralnej lub cywilizacyjnej, a głównie chodzi o żarliwe docenianie piękna, nardzin życia, dobra, pozytywności. Może nawet tylko na te sprawy poetka chce zwracać uwagę. Taka jej osobowość. I taka chwila. Wiersze są niedużej objętości i czyta się je lekko. I podczas lektury może udzielać się optymizmem nacechowane ich obrazowanie. Nie ma obsesji, mroczności, okrucieństw cierpienia, bólów, samotności, obaw etc. Jeśli już, to na dalekim tle jawią się jakieś nerwice, depresje, anoreksje. Raczej „Paruje światło przyczepione do szkła jak do lustra”, a „dzika róża/ kocha się z kroplą rosy”, zaś po obudzeniu się poetka dostrzega „śnieg i niecodzienność”. Czuje wyjątkowość i zaskakującą naturę świata.

Myślę, że Agnieszka Ginko bez większego trudu ujawnia skłonność do zachwyty oraz pochwały uroku życia. To zauroczenie jest różnorako motywowane, ale ma ono także jakby coś z klimatu naiwności, którą możemy spotkać w poematach Jana Twardowskiego czy nawet Czesława Miłosza (*Poema naiwne*). To jest oczywiście naiwność (szczęśliwość) ocalająca. I zarazem chroniąca przed tym, co może podmiotowi zagrażać: „Na razie zanurzamy się w sobie, a statek widmo to sen/ Aż kłujący, rozżarzony dzień/ przywoła nas do pionu”. Celowo te wersy przytaczam, gdyż nie chcę sugerować, że prowadzi nas poetka wyłącznie przez krainy łagodności, tyleż prywatnej, co kosmogonicznej proveniencji. Jakież cienie pojawiają się (*Jachowi*), ale sobie z nimi można dać radę. Poetka nie dramatyzuje. Nie eskaluje kontrastów. Zaledwie je zaznacza. Wie, że „Nie dosięgną nas tu, gdzie buszuje w jeziorze/ w stądzie dzikiej trzciny słońce”. To jest jednak możliwość tymczasowa. Azylu erotyki i innego rodzaju azylu, mimo jego pielęgnowania i chronienia, w nieskończoność zachować się nie da. Chwila sama w sobie tylko doraźnie może być azylem. Pozwala być tak-

że ucieczką. Owszem uprawnione są, i niech będą, wszelkie chwilowe ufności pokładane w prostym obrazowaniu, w syceniu się „różową skórką raj”, bo „Tutaj od do jest jeszcze łatwe. / Niebo rozciąga się od samolotu do samolotu”. Wszelkie dostrzegane pasikoniki, biedronki pięknem dopełniają arkadyjski ten obraz. Ów mikrokosmos jest w ruchu i nie zakorzenia się w tych wierszach w uogólniającą wizję. I co najważniejsze – owych doznań i obrazów nie obciąża poetka patetycznością. Dzięki temu w jej

radościach i smakach, i fascynacjach łatwiej czytelnik może uczestniczyć, bez pokonywania określonych progów intelektualnych. W takim podejściu sprawdza się poetyka notatki, relacji lub szkicu. Potrafi być użyteczna. Tak, ale bez pogłębionej refleksji obraz świata, czyli jego „od do” wyda się w końcu powierzchowne. Inaczej mówiąc: skapituluje. „Krucze” istnienie odsłoni trudno akceptowalną dotkliwość.

Czesław Sobkowiak

Filozof z Wolsztyna

Sławomir Jastrzębiec-Kozłowski, Józef Maria Hoene Wroński, Fortes – Artur Skorupiński, Biblioteka Publiczna Miasta i Gminy Wolsztyn im. Stanisława Platera, Wolsztyn 2013, 164 s.

Wolsztyn zapisał się w mojej pamięci jako miasto, które nieco zdumionymi oczami zobaczył kilkuletni wiejski chłopiec z Jaromierza, czyli ja, który to z mamą, zazwyczaj wczesnym, chłodnym rankiem, pociągami ciągniętymi przez osmoloną, czarną lokomotywę, udawał się do sklepów i na targ. To znaczy udawała się mama. A ja, cóż, nie mogłem sam zostać w domu. Mama zabierała za każdym razem coś do sprzedania na targowisko, coś zarazem kupowała. Szczególnie nasiona, guziki, tasiemki, materiały, by z nich uszyć mi spodnie lub koszulę. Potrafiła to. Jechaliśmy więc wczesnym rankiem, trząsłem się z zimna, nieco zaspany patrzyłem przez okno, a potem szliśmy dość długo, jak mi się wydawało, z dworca aż na targowisko. Po drodze wstępowaliśmy do kościoła na chwilę modlitwy. A po wszystkim do ciotki Jadwigi mieszkającej na ulicy Polnej. Piliśmy u niej herbatę. I wracaliśmy do domu. Gdy podrośłem, podróże odbywałem już sam. Dużo tego Wolsztyna według własnego pomysłu wtedy zobaczyłem.

Po wielu latach znów pojawił się Wolsztyn. Tym razem za sprawą odkrycia bardzo przyjaznego dla poezji klimatu w bibliotece, którą kieruje pełna osobistego uroku pani Arleta Prządka. Ostatnio ta biblioteka, przypuszczam, że wzorem innych tego typu placówek, podjęła piękną ideę, polegającą na

wydawaniu lokalnych książek, nawiązujących tematycznie do miasta. Mówiąc wprost: jej nakładem, przy współpracy z Wydawnictwem Fortes Artura Skorupińskiego z Karpicka, ukazała się publikacja pt. *Józef Maria Hoene Wroński* autorstwa Sławomira Jastrzębiec-Kozłowskiego, jakiej nie powstydziliby się żadna inna oficyna wydawnicza. Jest ona poświęcona monograficznemu przybliżeniu „sylwetki i doktryny” wielkiej postaci, wywodzącej się ściśle z tego uroczego miasteczka nad rzeką Dojcą, tej wybitnej indywidualności, o której jest nie za wiele w opisie naszej historii, a zwłaszcza dziejów polskiego romantyzmu. Była to osoba wysokiej, pod każdym względem, miary i wysokiego formatu duchowego, ponadprzeciętnych zdolności ujawnionych w wielu dziedzinach – od wojskowości poczynawszy, a na filozofii skończywszy. Już tylko pobieżne poznanie biogramu tego człowieka pozwala dojść do wniosku, że chodzi o kogoś wybitnego.

Książka z jednej strony przedstawia biografię słynnego wolsztynianina, którego ślad obecności zaznacza pomnik, wystawiony przy ulicy 5 Stycznia oraz tablica pamiątkowa na domu przy ulicy Kościelnej, gdzie przyszedł na świat (1776). Autor lokuje Hoene Wrońskiego w realiach społecznych i politycznych ówczesnej Europy, przez co lepiej

daje się zrozumieć jego motywacje ideowe i wysiłki twórcze. A z drugiej, w kolejnych rozdziałach, z godnym podziwu pietyzmem i popisową erudycją (takiej książki szybko nie da się napisać) stara się przedstawić bogaty twórczy dorobek: jego pisma odnoszące się polemicznie do filozofii Kanta, Fichtego, do postaci Napoleona i inne – jego teksty metafizyczne, historiozoficzne, astronomiczne, matematyczne – dotyczące także technicznych wynalazków. Jest to wszystko ciekawe i zajmujące. Trzeba powiedzieć, że nie wszystkie prace (pisane po francusku) zdołał Hoene Wroński opublikować za życia.

Jego biografia jest niezwykła, w takim samym stopniu jak niezwykła i przeniknięta przemożną ambicją stworzenia uniwersalnego systemu filozoficznego, w oparciu o odkrycie „istoty absolutu” i podkreślenia rangi praw rozumu, jest jego działalność intelektualna. Dążąca w każdym wymiarze do odkrycia prawdy bezwarunkowej. Jastrzębiec-Kozłowski pisze, że przez wszystkie „swe dni domagał się on w istocie racjonalności praw naukowych”. Jako 16-letni młodzieniec opuszcza dom rodzinny (1792) i wbrew woli ojca wstępuje do Szkoły Korpusu Artylerii, bierze udział w powstaniu kościuszkowskim. Za zasługi na polu walki otrzymuje od samego Tadeusza Kościuszki złoty zegarek z łańcuszkiem. Potem dostaje się do niewoli rosyjskiej, wstępuje poniekąd pod przymusem do wrogiej armii, od razu jest tam doceniony. Zostaje nawet przedstawiony carowi Pawłowi I Romanowowi. Jednak mimo zyskanego uznania i awansu wojskowego występuje z armii rosyjskiej, decyduje się podążać inną drogą życiową jako tą najwłaściwszą. Uduje się do Francji, na emigrację.

Nie miejsce, by tu, w recenzji, całość spraw jego losu przedstawiać, a więc i zarysów filozoficznej jego doktryny, zwłaszcza że te akapity książki cechuje duża doza hermetyzmu języka stricte filozoficznego. Tenże czasem utrudnia jej percepcję, lecz chcę zauważyć, że autor oddaje Hoene Wrońskiemu należny mu nimb jako twórcy idei mesjanistycznej. Została w książce podniesiona rola narodów słowiańskich, powołanych do odegrania epokowej roli w odrodzeniu ducha cywilizacji europejskiej, co do

dzisiaj raz po raz pobrzmiewa. Polsce przyznawał w tym procesie miejsce centralne. Wiadomym jest, że jego wykładów słuchał sam Adam Mickiewicz, który także tę ideę eksponował w swoich wykładach, jak i całe środowisko Towiańskiego. Ponad wszelką wątpliwość te kręgi emigracyjne przywłaszczały sobie jej autorstwo. To gwoździem i dziejowej sprawiedliwości. Oczywiście nie miał polski filozof z Wolsztyna łatwego życia, mimo że mógł takowe wybrać. Większość swoich pism wydawał „własnym sumptem”. W ten sposób „co roku ogłaszał średnio 225-230 stron przemyśleń”. Biblioteka w Wolsztynie szczęśliwym trafem jest w posiadaniu 30 jego francuskich wydań. Jego los na koniec życia ułożył się podobnie jak los Norwida. Analogia jest wyraźna. Cierpiał ogromne niedostatki egzystencjalne. Gros jego lat było „jednym pasmem zabiegania o mecenasów i borykania się z kłopotami materialnymi. [...] było epoką bezustannej pracy umysłowej po kilka lub kilkanaście godzin na dobę”. Także rozczarowań i bycia niezrozumianym. Na tym tle jedno z najjaśniejszych pasm łączy się z postacią bezgranicznie oddanej i rozumiejącej jego idee żony, która go nie odstępowała. Henryka Wiktoria Wrońska (z wysokiego rodu Sarrazin de Montferrier), wraz z przybraną córką Matyldą Conseillant, całymi wieczorami z wielkim poświęceniem i wiarą w geniusz kopiowała jego rękopisy. W wyniku biedy – jak pisze Jastrzębiec-Kozłowski – zmarło pierwsze dziecko Wrońskich. Dowodem na posiadany w środowisku polonijnym prestiż niech będzie taki fakt, że na kilka dni przed śmiercią (9 sierpnia 1853) odwiedził Hoene Wrońskiego sam książę Adam Czartoryski.

Książka o wielkim wolsztynianinie celnie wpisuje się w ideę *genius loci* tego nie za dużego, ale przecież ciekawego miasta. Chcę zauważyć, że jej narracja jest pięknie przesycona bogatą faktografią oraz erudycyjnymi odniesieniami do zagadnień odnoszących się do samej filozofii, jak i późniejszej percepcji myśli Józefa Marii Hoene Wrońskiego. Temat wyśmienity na sesję naukową oraz na piękny film.

Czesław Sobkowiak

Palimpsest i Przestrzeń, czyli krajobraz lubuskiego pogranicza

Lubuski palimpsest. W kręgu historii, kultury i literatury polsko-niemieckiego pogranicza, t. VI w serii: „Historia Literatury Pogranicza”, red. tomu: Marta J. Bąkiewicz, Oficyna Wydawnicza Uniwersytetu Zielonogórskiego, Zielona Góra 2017, 322 s.

Ziemia i wszelkie z nią związane sprawy domagają się opisu. Wnikliwego, szerokiego, który zbliżałby się w każdym zdaniu do stwierdzenia i utwierdzenia prawdy o niej. I zaraz nasuwa się kolejna konstatacja, że im dłużej jakaś społeczność z pokolenia na pokolenie mieszka na danym obszarze, miejscu i danej przestrzeni, tym większą, wieloraką wpisuje w każdą pozostawioną formę materialnego bytu legendę. Potem dla jakiegoś celu, nazywanego dzisiaj najogólniej tożsamością, ci, którzy przychodzą, starają się te nawarstwione, wiekowe, skomplikowane najczęściej, historyczne ślady penetrować, poznawać i ocalać od zapomnienia wszelkie historie i rzeczy. Brać z nich coś dla siebie. Tak więc mitowi-legendzie nadawane jest wyższe znaczenie. Ważne w utrwalaniu więzi, wzorów kulturowych, wyznaczaniu wspólnotowych celów i rozumieniu własnego miejsca w skali mikro oraz makro. Tej oczywistości nie da się zanegować. Przypisana jest każdemu ludzkiemu losowi od momentu urodzenia. Od dzieciństwa aż po odejście.

Nie bez powodu, nie tak dawno, definiowanie ducha miejsca (*genius loci*) w literaturze objawiło się jako wyraźny trend, także w lubuskim środowisku literackim, np. w prozie Krzysztofa Fedorowicza eksplorującego literacko okolice podzielonogórskie (Łazu, Miłska, Przytoku), w poezji Mieczysława Warszawskiego (w tomie *Odrzańskie*) opisującej „małą ojczyznę” – rodzinne Łaski. A wcześniej w poezji Bolesława Solińskiego, Ireny Dowgielewicz, Zdzisława Morawskiego (i innych), co nie uszło uwadze Małgorzacie Mikołajczak. W ogóle w literaturze polskiej tego typu nurt był okresowo bardzo silny. Wygaśł potem nieco, gdy zaspokoili kulturowe potrzeby, szczególnie ówczesnego pokolenia. Zaistniał z powodu różnych racji, także dlatego, że nie da się żyć w pustce, białej plamie, w oderwaniu od korzeni, nie zakorzeniając się. Niezwykle ważne to sprawy. Nie należy ich ignorować, co zresztą życiowa praktyka potwierdza.

W ostrej formie te problemy dały o sobie znać na tzw. Ziemiach Odzyskanych, nazywanych nie bez

powodu „dzikim zachodem”. Pod wieloma względami ten obszar był rzeczywiście „dziki”. Owszem administrowany, lecz przez długi czas, po 1945 roku, nie tak ściśle i z zachowaniem takiego samego prawnego rygoryzmu jak w pozostałej części Polski. Ściągał tu z centralnej Polski różnego autoramentu element społeczny, aby np. wzbogacać się na szabrownictwie. Tak. Z jednej strony była to przestrzeń dziewicza. Ale z drugiej naznaczona dramatem dziejowej konieczności. Polityczne racje i ówczesna polityka dążyły do maksymalnego zneutralizowania traumy, która stała się udziałem przesiedleńców z Kresów Wschodnich. Bolesnemu poczuciu utraty rodzinnych stron starano się przeciwstawić swoją urodą nowego miejsca, ideę pionierstwa i radosnego osadnictwa itp. A także odwołać się do idei historycznego powrotu na ziemie piastowskie, co słusznie zauważa Mikołajczak. O traumie usuwanych, uciekających i wysiedlanych Niemców nikt nie odważył się wtedy nawet wspominać. Dopiero po latach sporo wierszy temu tematowi, na przykładzie Żar, poświęcił Janusz Werstler (w duchu pojednania i wzajemnego rozumienia losu). To posunięcie było bardzo racjonalne. Podobnie można patrzeć na antologię *Poetycki portret miasta Gorzowa i jego mieszkańców*, którą zredagował Ireneusz Krzysztof Szmidt (2017). Także wiersze Eugeniusza Kurzawy uzyskują status humanistycznej inicjatywy, polegającej na przyjęciu materialnych i duchowych śladów.

Zresztą jestem przekonany, że można byłoby dzisiaj zrobić dużą, piękną antologię poezji i prozy pisarzy lubuskich, podejmujących temat niemiecki. I oczywiście przetłumaczyć ją z myślą o niemieckim odbiorcy. Wcześniej dbano, by niemieckie ślady zamazywać (nie tylko nazwy ulic i miejscowości), niszczyć tkankę materialną, zwłaszcza w sferze kultury. Próbowano posunąć się do likwidowania wielowiekowych skarbów architektury (pałaców, kościołów, zamków, nie wspominając o cmentarzach), o czym na pogrzebie Jana Muszyńskiego wspominał Stanisław Kowalski. Funkcjonowała blokada na nie-

mieckość. W pewnym sensie ten rodzaj fobii można zrozumieć. Należało raczej ugruntować najpierw polskość zachodniego pogranicza. Dać szansę jakiegoś oswojenia się z lokalnym krajobrazem, po utraceniu rodzinnego na Kresach Wschodnich. Historia tu miała być pisana od nowa. Na tym polegała istota eksperymentu kulturowego.

Teraz wiemy, że budowanie zupełnie od nowa jest niemożliwe. Okresowo tak musiało to jednak wyglądać. Kresowanie (i inni przybysze) przywieźli swoją historię, legendę, rozpacz, swoje resentymenty, lęki przed nowym i obawy, które były wtedy powszechne (wystarczy czytać pamiętniki). Należało więc zrobić, co się da, by przeszłość tej ziemi nie obciążała ich świadomości. Starano się, by niemieckość jak najmniej przeszkadzała. Urodziło się wkrótce nowe pokolenie Polaków i dla nich (dla nas) historie i sentymenty rodziców nie tak ostro już mają znaczenie. To pokolenie weszło w wiek dojrzały około roku 1989. Ma już swoją inną pamięć, swoje społeczne i gospodarcze role, które tutaj z zaangażowaniem wypełnia. Kolejne, jeszcze młodsze, też zdobywa w tym krajobrazie swoją pamięć i miejsce. Zakorzenia się i już nie musi przyjmować postawy osadniczego zdobywcy, lecz korzysta ze wszystkich dostępnych tu treści. Odzyskane szanse wolności otworzyły nie tylko owocujące ogromne perspektywy cywilizacyjne, ale pozwoliły zedrzyć kurtynę milczenia oraz zerwać ze złudzeniem płaskiej ziemi. Pojawiły się pytania o legendę przysłówiowej gruszy, jabłoni, o zapach starej cegły... Rok 1989 należy uznać za niewralgiczny w tym procesie. Dokonało się wejście w głębię czasu, która okazała się wielka, wielowarstwowa, a poza tym bardzo bogata w swoim skomplikowaniu. Weszliśmy – można rzec – na szlak prawdy, bowiem otworzyła się przestrzeń. I tę przestrzeń wypełniamy własnym poznaniem, pracą, nadziejami.

Trudno się zgodzić, że obecnie to, co się dzieje, da się opisywać głównie w kategorii palimpsestu, czyli wymazania i nadpisanie nowego tekstu. Takie oczywiście onegdaj były zamierzenia. Cóż się okazało? Potrzeba tożsamości, nie iluzorycznie się kształtującej, pozwoliła odkryć wielowątkowy historyczno-kulturowy obszar. Fascynujący. To po pierwsze. Po drugie – pozwoliła przyjąć jego zasób,

oswoić obcość i inność i nawiązać z tym wszystkim dialog, dyskurs. Otworzyliśmy się na tkwiące tu wartości. Liczne publikacje o tym świadczą. Niemieckość włączamy w obręb podmiotowej świadomości, mając do niej pozytywne nastawienie. Nie musimy już niczego wewnątrznie unikać lub się obawiać (zwłaszcza tymczasowości miejsca), a raczej czuć się wzbogaceni duchowo. I wręcz zobligowani do pogłębionego odczytywania historii. Tak np. można traktować książkę Jarosława Skorulskiego *Kroniki Księżnej Dino. Zapiski z Zatonia z lat 1840-1861*, która bardzo wiele o tej ziemi mówi. W Zatoniu wojnę spędzili moi rodzice. Słuchałem opowieści o pięknym pałacu i jego ostatniej mieszkance. Tego procesu pewnie kiedyś się nie spodziewano. Obecnie stał się faktem. Naszą racją. Chodzi w tym, co się dokonuje, nie tylko o wiedzę faktograficzną, ale o odzyskanie magii ziemi, na której się mieszka, układa się swój los, i tworzy kulturę. Remontuje się kościoły, pałace, czyta dawne teksty, rekonstruuje się historię. Kamieniom, pomnikom przywracane jest archaiczne miejsce.

Tym humanistycznie ważnym zagadnieniom poświęcony został kolejny (VI) tom pt. *Lubuski palimpsest*, pod redakcją Marty J. Bąkiewicz, który ukazał się w wychodzącej od sześciu lat serii „Historia Literatury Pogranicza”. Wcześniejsze uwzględniały literacką perspektywę lubuską, np. część I autorstwa Małgorzaty Mikołajczak lub część IV autorstwa Andrzeja K. Waśkiewicza. Obecnie rzecz ściślej dotyczy tyleż samo wieloaspektowo rozumianej „lubuskości”, co pograniczności, o której wyznacznikach swego czasu wiele dyskutowano, próbując je skodyfikować. Czym więc jest pogranicze? Myślę, że trudno o realnie pełną definicję. Jego swoistość według Małgorzaty Mikołajczak relatywizuje się, bowiem podlega nieustannym przemianom: „pogranicze sprzed pięciu lat i pogranicze dzisiejsze to dwa odrębne pogranicza”. Nie ma tu miejsca na tradycyjnie rozumianą stałą odrębność form cywilizacyjnych i kulturowych. Mamy do czynienia raczej z mozaiką i dynamiką kontaktów na wielu polach: owym „targowym”, naukowym, społecznym, gospodarczym etc., których realność jest tu nie budzącą zastrzeżeń codziennością dla wszystkich uczestników tej pograniczności. Szkoda, że w mniejszym stopniu dotyczy to sfery literackiej.

Myślę zresztą, że wprowadzenie do problematyki pogranicza, które znajdzie czytelnik w przedmowach do VI tomu (*Lubuski palimpsest*) – Małgorzaty Mikołajczak i Marty J. Bąkiewicz, warto na początek przeczytać. Generalnie trzeba uznać, że bardzo cenny kierunek badawczy został przyjęty przez Pracownię Badań nad Literaturą Regionalną na Uniwersytecie Zielonogórskim. Ta seria wydawnicza powinna być kontynuowana.

Na zawartość VI tomu składają się teksty esejistyczne kilkunastu polskich autorów z ośrodków naukowych w Polsce, m.in.: Beaty Halickiej, Marty J. Bąkiewicz, Dawida Kotlarka, Izabeli Taraszczyk, Wojciecha Kudyby, Małgorzaty Mikołajczak, oraz autorów niemieckich: Hansa-Jurgena Rehfelda, Hannah Lotte Lunda, Benno Pubanza. Prezentują oni swój punkt widzenia na sprawy pogranicza niejako z drugiej strony Odry. Nie sposób relacjonować dokładnie tych wszystkich esejów poza ich zasygnalizowaniem. Benno Pubanz np. opisuje kartę polsko-niemieckich kontaktów literackich na przykładzie Polsko-Niemieckiego Biura Literackiego, w którego pracach ze strony polskiej mocno uczestniczył Zdzisław Morawski. Szkoda, że jego nazwiska autor nie przywołuje. Jest Morawski autorem pięknego ponadgranicznego poematu-dialogu o Odrze z poetą niemieckim Helmutem Preislerem i zresztą jeszcze innych wierszy z tematem niemieckim. Zaś Wolf Kampmann w poetyckiej narracji, nacechowanej intencjami uniwersalistycznymi: „Rzeka czasu – strumień świadomości ponad granicami”, w tonie refleksyjnego przesłania przedstawia swoje rozterki, pytając, a pytanie jest (i będzie) ciągle aktualne, czy Odra dzisiaj łączy, czy dzieli nas – sąsiadujące kraje.

Zostało podjęte szerokie spektrum tematyczne, ujęte w kategoriach krajobrazowych. Artykuły

poświęcone są: złożonej historii regionu, procesowi przyswajania przestrzeni regionalnej, pamięci pomnikowej, krajobrazowi legend Ziemi Torzyskiej, ciągłości przestrzeni sakralnej, roli prasy i pism XIX i XX wieku na styku wielu regionów (w tym „Nadodrza” i „Rocznika Lubuskiego”), nie mogło zabraknąć też omówienia toposu wina i uprawy winorośli, która obecnie dynamicznie wraca na dawne miejsca. Na przykładach twórczości (w prozie) Sergiusza Sterny-Wachowiaka i Czesława Markiewicza omówiony zostaje wątek niemieckich śladów. Ale i poezja lubuska pod tym kątem została dokładnie spenetrowana. Tudzież sięgnięto do tradycji dworku literackiego, które w Cybinie i Madlitz były ważnymi miejscami spotkań niemieckich romantyków. Wiele zagadnień zostało poruszonych. Jest tom VI swoistym kompendium wiedzy o sprawach lubuskiego pogranicza w szerokim ujęciu. Rzecz warta pochwały. Książka użyteczna w kulturowym dialogu. Co ważne, rozważania teoretyczne współbrzmia harmonijnie z całością ujęć tematycznych. Na uwagę zasługuje bogata, kilkudziesięciostronicowa bibliografia źródłowa oraz indeks nazwisk. Cóż na koniec. Może taka refleksja, że literatura poza funkcjami duchowymi ma także znaczenie jako dokument, jako świadectwo obecności. Przydatne wielorako, czego nie można bagatelizować. Wypada w polityce kulturalnej właśnie na obszarze lubuskiego pogranicza starać się, aby różne tutejsze władze o tym pamiętały. Wszystko, co tutaj się dokonuje, poniekąd automatycznie przyczynia się do mitologizacji krajobrazu życia i śladów obecności. Myślał o tej powinności bardzo mądrze Zdzisław Dąbek w Żarach (red. „Kroniki Żarskiej”). Taka jest potrzeba, wręcz egzystencjalna, która ma swoją siłę.

Czesław Sobkowiak

„Rzecz w tym, by minąć inaczej niż świat” Traktat o życiu Czesława Sobkowiaka

Czesław Sobkowiak, *Jedno miejsce*, sumptem autora, Zielona Góra – Zawada 2017, 72 s.

Trudno wyobrazić sobie lubuski pejzaż poetycki bez wierszy Czesława Sobkowiaka, bez jego „traktatu o życiu” rozpisanego na kolejne książki. Czytając *Jedno miejsce* – najnowszy zbiór poezji autora, nie mogę oprzeć się wrażeniu, że właśnie te utwory – choć w większości nieosadzone w topograficznym konkrety (w żadnym z nich nie pojawia się nazwa zielonogórskiej Zawady, gdzie mieszka poeta, nie ma też wyróżników miejscowego krajobrazu) – wyrastają bezpośrednio z doświadczenia lokalności i najlepiej oddają to, co Lawrence Durrell nazwał „duchem miejsca”. Miejsca czy okolicy? To rozróżnienie wbrew pozorom nie dotyczy jedynie sfery nazewniczej, wiąże się z nim bowiem przekonanie, że istnieją miejsca szczególne, przestrzenie zadomowienia czy – jak określał to Martin Heidegger – zamieszkiwania oraz przypisany do nich system znaczeń, wokół którego organizuje się ludzka egzystencja.

Każda okolica ma swoją historię, odzwierciedloną nie tylko w charakterystycznej dlań geomorfologii, faunie oraz florze. Równie ważna jest aktywność człowieka i zostawiane przezeń znaki kulturowe. Przestrzeń staje się okolicą wówczas, gdy człowiek wydeptuje w niej drogi, pozostawia ślady, gdy odbiera ją wszystkimi zmysłami. Tak właśnie dzieje się w omawianej książce, kreślącej poetycką mapę codziennej wędrówki. Doświadczeniu miejsca towarzyszy tu doznanie polisensoryczne, a wiersze zapisują obraz, dźwięk i zapach – oto trzy przykłady:

W mroźnym lutowym poranku proza
Idę do piekarni po chleb powoli
słońce nisko i zimowa czerwień
Na śniegu odciskają się ślady obuwia
(*W lutym*)

Aż nagle słowik
Tylko on w centrum

Tak się wstuchuję
w
W jego śpiew
Daje wysoki koncert
niemal widzialne dźwięki
(*Słowik*)

Nie musi odzywać się zegar ani dzwon na wieży
W lipcowy wieczór niech wystarczy zapach akacji
(*Zapach akacji*)

Równie istotny jest aspekt mentalny i doświadczenie duchowe podmiotu. Przestrzeń, która staje się okolicą, otwiera na egzystencjalną głębię i zbliża, jak uważał Heidegger, do „prawdy bycia”. Wiersze poety próbują tę prawdę uchwycić – opowiadając o opuszczonym przez kogoś pokoju (*Puste mieszkanie*), o samotnych krokach na cmentarzu (*Cmentarz w śniegu*), o dziele artysty (*O sztuce*) i słuchaniu deszczu (*Zwyczajnie*). Nie chodzi o wielkie sprawy, ale najzwyczajszą codzienność. Każde, nawet najdrobniejsze wydarzenie, zasługuje na to, by się nad nim pochylić. Dlatego tematem wiersza są np. łąkowe mikroświaty (*Znikome tkliwe, Mrówka*) i proste codzienne czynności (*To, Klucz*). Ważne jest wszystko, co się wydarza „tu” i „teraz”. Zarazem rację istnienia zyskuje przede wszystkim to, co nie poddaje się przyspieszonemu rytmowi świata.

Świat wymyka się
Poza wszelkie granice
Brnie nie wiadomo dokąd

– pisze poeta w *Traktacie o tym co teraz*. W tym długim, obejmującym dwanaście strof wierszu, Czesław Sobkowiak stawia gorzką diagnozę swoim czasom. Jego kontestacja wychodzi jednak poza ramy cytowanego „traktatu” i silnie oddziałuje na kształt poetyckiej refleksji zawartej w tomiku.

Mowa tu o poprzestawianych wartościach, o zabawie w śmierć (*Przychodzi*), politycznych kłótniach (*Rok*) i niszczących przemianach cywilizacyjnych. Poeta zdecydowanie dystansuje się wobec zgiełku świata i surowo, a niekiedy ironicznie, ocenia współczesnych:

Ci co kupują dni na kredyt
Słuchają przygodnych proroków
głoszących że życie jest zabawą
Zapatrzyli się w ekrany
nowe modele aut cicho jadą
W Internecie mądrości i odpowiedzi
Na trudne pytania dobre są reklamy
(*Pokolenia*)

Utwór, z którego pochodzi powyższy fragment, został dedykowany Jackowi Łukasiewiczowi – wybitnemu literaturoznawcy, autorowi ważnych książek poświęconych literaturze współczesnej, a także poecie. Nieprzypadkowo w pierwszej części tego wiersza mowa jest o tych, którzy przenikają głębię znaczeń za pomocą słowa. To właśnie słowo, a zwłaszcza słowo poetyckie, potrafi się oprzeć dyktatowi świata. Czy jednak poezja ma jeszcze moc oddziaływania na rzeczywistość? Czy ktoś ją czyta, czy słucha głosu poety? W utworze, zaczynającym się apostrofą do wiersza, stawiane jest znamienne pytanie:

Wierszu
Nagi wierszu

czy ci się uda
Przemknąć
Przez lawinę
Tysięcy słów
Straszności zdarzeń
Newsów
Przez krzyki świata
Chore blaski miast
Znaleźć swoje miejsce
Gdy dni szarzeją
Odchodzą poza siebie
I zostaje los.

Zostaje też, dodajmy, „jedno miejsce” – „prawdziwie piękne”, jak nazywa je tytułowy utwór (*Jedno miejsce*). A chociaż miejsce to bynajmniej nie stanowi idylli, chociaż najbliższa okolica jest naznaczona śmiercią oraz przemijaniem (dlatego poeta pisze o „pustym miejscu”, pamiętającym tych, którzy odeszli), to w niej właśnie można się schronić przed chaosem i żyć w innym rytmie, z dala od zajętego sobą świata. Nie ma potrzeby gonić za tym, co spieszy donikąd. „Rzecz w tym by minąć inaczej niż świat” (*Kartka*).

Małgorzata Mikołajczak

Waśkiewicz po lubusku i nie tylko...

Andrzej. Andrzej K. Waśkiewicz we wspomnieniach, zebrła i oprac. Anna Sobecka, Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna im. Josepha Conrada Korzeniowskiego, Gdańsk 2017, 430 s.

Tradycyjnie w Czwartek Lubuski w zielonogórskiej księżnicy 18 stycznia odbyła się pierwsza w 2018 roku promocja książki. Tym razem promowano monumentalne dzieło o zmarłym w 2012 roku pisarzu i krytyku literackim Andrzeju Krzysztofie Waśkiewicz, przygotowane przez wdowę po znanym poecie, publicystkę i dzienni-

karce radiową Annę Sobecką. Autorka napisała we wstępie:

Jednego jestem pewna: Andrzej był człowiekiem niezwykłym. Z tego przekonania wynikała potrzeba zapisania pamięci o Nim. Tak powstała książka [...]. Niektóre z publikowanych tu tekstów

znalazły się wcześniej w specjalnym numerze „Autografu” (nr 3/2012). Wiele powstało z myślą o tej książce. Ten portret, który tworzą, jest z pewnością niekompletny, ale pokazuje Andrzeja wielostronnie.

Dzieło zatytułowane *Andrzej. Andrzej K. Waśkiewicz we wspomnieniach* jest – jak wspominałem – monumentalne, gdyż na ponad czterystu stronach pomieszczono wspomnienia o Waśkiewiczach napisane przez rodzinę, krewnych, przyjaciół i znajomych oraz wielu pisarzy, poetów, dziennikarzy czy bibliotekarzy. Do tego dołączono wybrane opracowania krytyczne poświęcone Waśkiewiczowi oraz liczne wiersze dedykowane jemu, a całość uzupełniły unikatowe fotografie rodzinne.

W sumie na książkę poświęconą tej wybitnej postaci naszego współczesnego życia literackiego złożyło się blisko 80 wspomnień i recenzji oraz 40 utworów lirycznych. Znalazły się opowieści o Waśkiewiczach nakreślone przez osoby niemal z każdego jego etapu życia: czasu młodości, nauki i studiów, z okresu jego pracy bibliotecznej i dziennikarskiej, z czasów jego pracy redakcyjnej i literackiej... Dodajmy, z każdego z trzech istotnych dla Waśkiewicza okresów życia i pracy artystycznej – lubuskiego, warszawskiego i gdańskiego.

Etap najwcześniejszy, z którego – można rzec – wszystko, co najważniejsze, rzutowało później na rozwój kariery Waśkiewicza, zaczął się właśnie na Ziemiach Zachodnich, a dokładnie na Ziemi Lubuskiej. To tu, urodzony w czerwcu 1941 roku, z bagażem wojennych przeżyć, mały Andrzej trafił z matką Janiną (ojciec Błażej zginął w powstaniu warszawskim). Od 1946 roku mieszkali kolejno w Lubsku, Starym Zagórzu i Kożuchowie. Od 1961 roku był już w Zielonej Górze, gdzie mieszkał najpierw przy ulicy Sienkiewicza, następnie w mieszkaniach z betonowej płyty, czyli w wieżowcach – przy ul. Dzierżyńskiego (dziś Władysława IV), potem przy ul. Gwardii Ludowej (dziś kard. ks. Wyszyńskiego). Uczęszczał do przedszkola, a potem do szkoły podstawowej w Lubsku i Dychowie, skończył technikum rolnicze w Szprotawie, następnie Studium Bibliotekarskie w Państwowym Ośrodku Kształcenia Bibliotekarzy

w Jarocinie i polonistykę na uniwersytecie poznańskim. W stolicy województwa podjął pracę najpierw jako bibliotekarz w zielonogórskiej księgarni, a następnie jako dziennikarz i publicysta w zielonogórskim oddziale „Gazety Chłopskiej”, a później w dziale kulturalnym dwutygodnika „Nadodrze”, w którym pracował do 1979 roku.

To tutaj młody Waśkiewicz zdobywał literackie szlify, stał się pierwszym miejscowym krytykiem literatury, w końcu też ożenił się, rozwiódł i ponownie wstąpił w związek małżeński. To w Zielonej Górze też rodziły się jego dzieci – Krzysztof z pierwszego małżeństwa oraz Olena, Adam i Marcin. Pierwsze artykuły zamieszczał już w 1961 roku w biuletynie branżowym „Bibliotekarz Lubuski”, a pięć lat później pierwsze recenzje krytycznoliterackie o twórczości pisarzy lubuskich, omawiające książki poetyckie, prozatorskie oraz zbiory podań, legend i baśni Ziemi Lubuskiej. Stworzył też pierwszy lubuski leksykon bio-bibliograficzny pisarzy Środkowego Nadodrza. Zadebiutował w 1961 roku wierszem w „Zarzewiu” i został członkiem Korespondencyjnego Klubu Młodych Pisarzy, a już dwa lata później wydał pierwszy tom wierszy *Wstępowanie*. Od tego czasu praktycznie rokrocznie pojawiały się nowe zbiorki wierszy Waśkiewicza, w 1966 roku – powieść, a dwa lata później pierwsze eseje, szkice i omówienia krytyczne *Świadomość pokolenia*. W tym okresie nawiązał współpracę z warszawską grupą studencką Orientacja Poetycka „Hybrydy” (1960-1971), skupiającą młodych twórców z całego kraju. Nawiązał współpracę z Jerzym Leszinem-Koperskim i podjął się redagowania znanych w kraju serii debiutów, które promowały młodą literaturę polską. To wówczas też, mając 27 lat, został członkiem zielonogórskiego oddziału ZLP. W 1976 roku wylansował z kolei pierwszy lubuski almanach młodych *Moment wejścia*.

Z okresu lubuskiego w książce Sobeckiej Waśkiewicza wspominają koledzy po piórze – Czesław Sobkowiak, Jolanta Pytel, Eugeniusz Kurzawa, prof. Jan Kurowicki, Janusz Koniusz, Joanna Ziembińska-Kurek, Eugenia Pawłowska, ale również znajomi z działań animacyjnych, bibliotekarskich, jak Maria Wasik i Czesław Ganda, czy też koleżanki z czasów młodości – Wacława Walczak, Małgorzata Szcz-

śniak i Henryka Thiele. Wiersze zaś z poetów lubuskich AKW (bo tym skrótownicem często podpisywał Waśkiewicz swoje artykuły) poświęcili – Mirosława Szott, Mieczysław J. Warszawski, Beata Ananiewicz-Szmidt, Czesław Markiewicz, Eugeniusz M. Konieczny oraz J. Ziemińska-Kurek, E. Kurzawa i C. Sobkowiak.

Ze wspomnień pisarzy lubuskich ciekawe spostrzeżenia o Andrzeju Waśkiewiczu zanotował m.in. J. Koniusz, który stwierdził: „Andrzej był bardzo pracowity, punktualny, niemal jak Kant, często nawet drobiazgowy. Dotrzymywał terminów, co w środowisku literackim nie jest przecież regułą”, z kolei J. Pytel zauważyła: „Był uważnym czytelnikiem poezji i niezwykłym poetą, wrażliwym i czułym, a jednocześnie bardzo krytycznym”, natomiast E. Kurzawa literacką wizję i credo swego poetyckiego guru podsumowała:

Andrzej zawsze przykładął wagę do dokładnego odwzorowania rzeczywistości, zapisu – także w literaturze – realiów, konkretów. Tego szukał nawet w tomikach poetyckich. Bo jeśli wiersze nie niosły ze sobą wielkich problemów, nie miały cech arcydzieła, to istotne, uważał, żeby twórca zawarł w nich prawdziwy zapis rzeczywistości. Opis mówił bowiem nie tylko o niej samej, ale i o świadomości artysty. Badając tego rodzaju prace można było powiedzieć coś istotnego o epoce, znaleźć odbicie myślenia całego społeczeństwa.

Kurzawa tak na koniec ocenił AKW: „[...] był postacią wybitną! Życie przyjmował ze stoickim spokojem, z dystansem”. O utrzymywaniu silnych, długoletnich związków Waśkiewicza z lubuskim środowiskiem pisarskim, mimo jego fizycznej nieobecności w nim, pisała była dyrektor zielonogórskiej biblioteki M. Wasik: „Znał świetnie polski rynek wydawniczy. Śledził uważnie to, co ukazywało się w naszym województwie. Cieszyły go nowe książki tutejszych autorów. Lubił o nich mówić [...]”.

To zielonogórska księżnica wespół z miejscowym oddziałem Związku Literatów Polskich organizowała od 1994 roku Lubuski Wawrzyn Literacki, w kapitule oceniającej publikacje lubuskich pisarzy przez szereg lat zasiadał właśnie

Waśkiewicz. W ten sposób lokalne środowisko dało wyraz uznania dla jego ogromnej, fachowej, literaturoznawczej wiedzy i edytorskiej kompetencji oraz – co istotne – jego bezkompromisowości, niezależności i obiektywizmowi. Oddział ZLP po śmierci Waśkiewicza przemianował swoją Lubuską Nagrodę Literacką na Nagrodę jego imienia w 2015, a rok później biblioteczny klub Pro Libris otrzymał też jego imię.

Z okresu działalności warszawskiej Waśkiewicza, gdzie udzielał się najpierw w „Hybrydach”, a potem w Zarządzie Głównym Związku Literatów Polskich, gdzie był przewodniczącym Komisji Kwalifikacyjnej, czy w pracach redakcyjnych ogólnopolskich antologii i poetyckich serii wydawniczych, m.in. Młodej Agencji Wydawniczej („Pokolenie, Które Wstępuje” i cykl „Debiuty Poetyckie”) lub w pracach recenzenckich w redakcjach ogólnopolskich pism literackich – „Młodej Sztuce”, „Orientacji” i „Integracjach”, wspominało go szerokie grono znajomych, jak: Jerzy Leszin-Koperski, Leszek Żuliński, Marek Wawrzekiewicz, Stefan Jurkowski, Krzysztof Gąsiorowski, Krystyna Konecka, Jan Stępień, Barbara Wrona i prof. Marek M. Dziekan. O pracy redakcyjnej i krytycznoliterackiej AKW z tego okresu wypowiedział się m.in. prezes Zarządu Głównego ZLP M. Wawrzekiewicz, który ocenił: „Był w swoich sądach o literaturze i życiu społecznym racjonalny i suwerenny. Nigdy nie płynął w modnych prądach. Wiedział swoje, a wiedział bardzo dużo”, L. Żuliński zaś dopowiedział: „On był jednym z tych nielicznych, którzy dogłębnie rozumieli, co się stało z literaturą polską w XX wieku i jakie były konteksty pozaliterackie jej rozwoju”. J. Stępień natomiast zauważył: „Andrzej był uczciwym krytykiem literackim, nie godzącym się na tzw. układy”, a B. Wrona dodała uwagę: „Miał niespotykaną obecnie umiejętność słuchania (i słyszenia) rozmówcy oraz wychwytywania rzeczy pozornie mało ważnych”.

Żuliński ponadto stwierdził, że Waśkiewicz był

wybitnym edytorem, redaktorem i kronikarzem. Szlify w rzemiośle edytorskim otrzymał jako zielonogórski bibliotekarz, z czasem osiągnął w arkanach tej sztuki chyba najwyższe wtajem-

niczenie [...] był historykiem literatury XX wieku. W najpełniejszym tego słowa znaczeniu [...] AKW stał się chyba najwybitniejszym w Polsce znawcą Peipera i Przybosa oraz wszelkiej awangardy post-XIX-wiecznej.

Profesor Zbigniew Chojnowski z kolei napisał o AKW, że „był chodzącą encyklopedią literatury okresu powojennego. Jej twórców znał z autopsji. Reprezentował chyba ostatnie pokolenie pisarskie, które znało się osobiście, komentowało między sobą książki, życiorysy, zdarzenia”.

Z ostatniego okresu, gdańskiego (Waśkiewicz wraz z rodziną przeprowadził się do Gdańska w 1979 roku po otrzymaniu większego mieszkania i szybko stał się tam ikoną środowiska literackiego oraz animatorem lokalnego życia kulturalnego), jego postać i zasługi przypomnieli m.in.: Ariana Nagórska, Eugeniusz Kupper, Aleksander Jurewicz, Tadeusz Dąbrowski, Zbigniew Joachimiak, Władysław Zawistowski, Kazimierz Radowicz, Henryka Dobosz-Kinaszewska, prof. Franciszek Apanowicz, prof. Józef Bachórz, Wojciech Boros, Ludwik F. Czech, Artur Tomaszewski, Lidia Ziurkowska-Michalewska i Wojśław Brydak. Z tego grona W. Boros tak określił AKW: „Człowiek wielkiej życzliwości, zawsze przyjazny młodym twórcom [...]”, L. Zurkowska-Michalewska dodała z kolei: „Mistrz uformował kilka pokoleń ludzi pióra”, a T. Dąbrowski dopowiedział: „Waśkiewicz to instytucja życia literackiego. Właściwie wyprzedził on – o kilkadziesiąt lat co najmniej – politykę kulturalną, realizowaną w tej chwili w krajach Zachodniej Europy”. Natomiast prof. Bachórz trafnie skwitował szeroką działalność AKW z okresu gdańskiego: „[...] za każdym razem utwierdzałem się w przekonaniu, że w trójmiejskim środowisku kulturowym odgrywa on rolę niebagatelną i zajmuje pozycję specyficznie niepodległą...”.

Na Pomorzu Waśkiewicz został członkiem Zarządu Oddziału gdańskiego ZLP, od 1984 roku był redaktorem naczelnym „Gdańskiego Rocznika Kulturalnego”, a cztery lata później redaktorem naczelnym dwumiesięcznika „Autograf”, był też publicystą, felietonistą i recenzentem literackim w „Gazecie Gdańskiej” i „Głosie Wybrzeża”. Za swoją pracę artystyczną otrzymał liczne nagrody – Gdańskiego

Towarzystwa Przyjaciół Sztuki, redakcji „Faktów”, redakcji „Pióra” i aż czterokrotnie Nagrodę Prezydenta Miasta Gdańska w dziedzinie kultury.

W publikacji A. Sobeckiej *Andrzej* swoje zapiski wspomnieniowe zamieściły też dzieci Waśkiewicza, jego synowie i zięć oraz teściowa i szwagier, a także znani krajowi pisarze, krytycy, literaturoznawcy i naukowcy, jak choćby: Marian Kisiel, Zbigniew Domino, Stanisław Nyczaj, Daniel Odija, a wiersze dedykowali: Janusz Żernicki, Jan K. Adamkiewicz, Bogusław Kierc, prof. Janusz Kryszak, Elżbieta Musiał i Bohdan Wrocławski. Profesor Kryszak z Torunia napisał o Waśkiewiczu: „[...] zawsze był on nie tylko subtelnym analitykiem struktur poetyckich, ale i baczny obserwator życia literackiego, sposobów uczestnictwa w nim kolejnych pokoleń artystycznych”.

Gdańska dziennikarka Alina Kietrys również celnie podsumowała postawę życiową AKW i recepcję jego formalistycznej, metafizyczno-symbolicznej czy wręcz głęboko moralno-etycznej poezji, twierdząc: „Ceniłam Andrzeja za prawość, uczciwość i jednoznaczność, za pracowitość i encyklopedyczną wiedzę literacką [...]. Był wymagający wobec siebie i innych. Był trudny w przekazie. Wymagał od czytelnika uwagi i śledzenia frazy: poetyckiej i intelektualnej”.

Lubelski poeta Waldemar Michalski zawarł zaś wspomnienie o AKW w jego piątą rocznicę śmierci słowami: „Andrzej jako dokumentalista i bibliograf współczesnego życia literackiego nie miał sobie równych. Potrafił »z ręki« korygować błędne daty, fakty, tytuły”, a z kolei poeta z Krakowa, Wojciech Kawiński stwierdził: „Znał polską poezję współczesną – jak mało kto. I nikt Go nie zdoła zastąpić”. W bardzo osobistym i wzruszającym wierszu poświęconym pamięci Waśkiewicza, jego rówieśnik, poznański poeta i aktor Edmund Pietryk napisał:

Tak się zrywa jedna strona świata tych
którzy umarli wiedząc wszystko o śmierci
Uczył się jej na pamięć jak uczył się
życia [...]
On nie umarł tylko przypaść mu
w udziale dzień nieprzeżyty
W swych najlepszych wierszach

zgadywał sny Boga i szukał
w nich zbawienia [...]

Powiadom Andrzeju na której mieszkaś chmurze
Byłeś na ziemi wiecznie i na chwilę
z wierszami jak podniebne loty motyle

Można rzec, że Andrzej K. Waśkiewicz, jego życie, praca i twórczość pozostaną na zawsze otwartą

księgą niemieszczącą się w jakichkolwiek kanonach, a wspomnieniowa książka przygotowana przez Annę Sobecką – zapewne jedną z pierwszych o tym wielkim człowieku pióra, które będą w przyszłości starały się przybliżyć i zrozumieć przesłanie jego poetyckiego trwania i sens ludzkiego, ziemskiego przemijania.

Robert Rudiak

Księga Waśkiewicz

Andrzej. Andrzej K. Waśkiewicz we wspomnieniach, zebrali i oprac. Anna Sobecka, Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna im. Josepha Conrada Korzeniowskiego, Gdańsk 2017, 428 s.

Ukazała się niedawno pokaźnej objętości publikacja pt. *Andrzej*, którą bez wahania można nazwać „Księgą Waśkiewicz”. Jej zielonogórska promocja, a zapewne były, są lub będą takowe jeszcze w innych miastach, miała miejsce w Bibliotece Norwida 18 stycznia tego roku. Obecna była Anna Sobecka, która to dzieło opracowała od strony redakcyjnej. Do druku przygotował je, czyli zrobił skład i projekt okładki, Kazimierz Sobecki. Autorzy lubuscy, których wspomnienia w tym wielkim zbiorze się znajdują, otrzymali z rąk wdowy po Waśkiewiczu egzemplarze autorskie. Bo oczywiście, obok wielu (wręcz armii twórców) z całej Polski, wspominają Waśkiewicza i Lubuszanie. Także znalazły się wiersze miejscowych poetów, dedykowane AKW, np. Mieczysława Warszawskiego, Czesława Markiewicza, Mirosławy Szott. Tu przecież były Andrzeja początki literackie i zawodowe. W Zielonej Górze tworzył, pracował i mieszkał do 1979 roku. Uczestniczył w lokalnym życiu literackim. Po latach odwiedzał to miasto, a zwłaszcza Ogród sztuk w Wilkanowie. Więc teraz można przeczytać, jak w pamięci np. Koniusza, Kurzawy i innych autor Mirbada ocalał, czyli jak ci autorzy go ocalili od zapomnienia. Czasami przytaczając żartobliwe anegdoty. Miałem być na tym promocyjnym spotkaniu. Prowadziła je Małgorzata Mikołajczak. Tego dnia zrobiła się wyjątkowo

nieprzychylna pogoda, śnieżycą, chlapa i nie dałem rady dotrzeć.

Ta książka robi wrażenie rozmachem treściowym, pietyzmem redaktorskim i edytorskim, poszukiwawczym, za który wypada Annie Sobeckiej wyrazić duże uznanie. W ogóle uznanie, że dla całej jej rodziny zrobienie tej książki stało się oczywistością. Po śmierci pisarza to ważne, że ktoś zadba o pamięć. To jest z pewnością rodzaj pomnika postawionego bliskiemu człowiekowi, poecie, wyrazistemu krytykowi literackiemu, autorowi licznych antologii etc. Pomnika ważniejszego, niż gdyby wykonać go z kamienia lub spizu. Teraz otrzymaliśmy świadectwa pamięci licznej gromady poetów (rówieśników pokolenia „Orientacji”, jak i młodszych pokoleń), pisarzy, pracowników uniwersyteckich, zwyczajnych czytelników, osób zaprzyjaźnionych, bliskich znajomych, które, gdy się je czyta, tchną rozpoznaniem w Andrzeja K. Waśkiewicza człowieka, który budził podziw oraz uznanie swoją postawą literacką, życiową, pracowitością, gorliwością dociekań, wielką erudycją i cechami osobowymi. Wszystkie te rzeczy wspominający, czasem nie ukrywając dalej trwającej fascynacji i wzruszenia, wdzięczności i przyjaźni czy nawet dramatycznego wyrazu, postarali się zapisać. Krytycznych wspomnień lub opinii odnośnie różnych kwestii nie ma, w myśl zasady, że chodzi o jasną

stronę osoby. Mnie się jednak wydaje, że warto byłoby z Waśkiewiczem polemizować, a nawet nie zgadzać, oczywiście w sprawach artystycznych bądź metafizycznych. Jest ta publikacja w jakimś sensie monografią życia pisarza. Bardzo żywą. Swoistym portretem nakreślonym z wielu stron. Za każdym razem we wspomnieniu odnajduje się coś innego biograficznie. A ponadto wyczytać można ogrom faktów, kameralnych rozmów, telefonicznych rozmów, opisów sytuacji, ową podszewkę życia literackiego, która jest obrazem minionego już czasu. Jego historią. Zatrzymaną właśnie w tych wspomnieniach.

Część początkowa *Świat literatury* składa się z tekstów krytycznoliterackich Leszka Żulińskiego, Mariana Kisiela, Janusza Kryszaka, Pawła Majerskiego, Elżbiety Musioł. Mamy do czynienia z dogłębną analizą twórczego dorobku. To jest trzon, bardzo analityczny i intelektualny. W jakimś dużym zakresie czytelnik znajdzie odpowiedź na rozmaite dylematy duchowe Waśkiewicza, które w swoim dziele podejmował. Waśkiewicz zostawił poetyckie świadectwo epoki, dramatycznego czasu, w którym żyjemy. Andrzej był na te przemiany (i katastrofy) współczesnego świata szczególnie wyczulony. W jego podświadomości ruiny Warszawy odcisnęły

nie tylko mentalne, ale i intelektualne piętno. Cechał go w coraz większym stopniu, w miarę upływu lat, sceptycyzm. Jedno tylko w jego postawie miało stałą niegasnącą żywotność – wiara w poezję, jej misję, która najpełniej wyrazić jest w stanie wnętrza człowieka. Także ogromne znaczenie upatrywał w zapisaniu człowieczego losu. Może tu tkwi sekret, co pokazuje część końcowa. W niej zamieszczone są wiersze i poematy dedykowane Andrzejowi K. Waśkiewiczowi. Jakże ich dużo! Jego wiedza literacka mogła imponować, erudycja zadziwiać w połączeniu z umiejętnością obiektywnej klasyfikacji i umiejscowienia każdego utworu w polskiej tradycji literackiej. Ale akcentowanie uniwersalnej wartości poezji zapewne wielu młodych poetów do niego zbliżało. Czuli w nim sojusznika swoich spraw. Przez jego ręce przechodziło mnóstwo tekstów (zresztą nie tylko poetyckich), które wprowadzał do młodoliterackiej świadomości. Był akuszerem debiutów i talentów. W tym względzie bardzo można było na niego liczyć. Tej książki oczywiście nie da się szybko przeczytać. Jest nie tylko portretem człowieka, ale i po części współczesnej literatury polskiej.

Czesław Sobkowiak

KSIAŻKI NADESŁANE

Agnieszka Ankudowicz, *Zmysły i limeryki*, AArt, Żary 2017, 192 s.

Andrzej. Andrzej K. Waśkiewicz *we wspomnieniach*, zebr. i oprac. Anna Sobecka, Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna im. Josepha Conrada-Korzeniowskiego w Gdańsku, Gdańsk 2017, 427 s.

Maria Dolczewska, *Izery: moja rowerowa przestrzeń*, Sorus, Poznań 2017, 140 s.

Agnieszka Ginko, *Kruche*, Lubuska Agencja ELBLASK sp. z o.o., Zielona Góra 2017, 46 s.

Ferdynand Głodzik, *Księga imion*, Robotnicze Stowarzyszenie Twórców Kultury, Gorzów Wlkp. 2017, 74 s.

Małgorzata Gołębiewicz, *Pamięć obecności*, Astrum, Wrocław 2017, 106 s.

Anna Jelak-Bogusz, *Zegarowa kukółka wiersze dzieciom kuka*, Muzeum Regionalne w Świebodzinie, Świebodzin 2017, 122 s.

Janusz Koniusz, *Wiersze ostatnie*, ZLP Oddział Zielona Góra, Zielona Góra 2017, 94 s.

Anna Konstanty, *To był maj*, Novae Res, Gdynia 2017, 288 s.

Maria Kuleszyńska Kozak, *Po drugiej stronie*, Organon, Zielona Góra 2017, 60 s.

Aleksandra Kurzawa, *Rzeczy oczywiste*, Związek Literatów Polskich Oddział w Zielonej Górze, Zielona Góra 2017, 63 s.

Tadeusz Leszczyszyn, *Serce na dłoni*, Tadeusz Leszczyszyn, Świebodzin 2017, 187 s.

Agnieszka Leśniewska, *Wyprawa w częstochowskie*, Towarzystwo Miłośników Zielonej Góry Winnica, Zielona Góra 2017, 190 s.

Marek Lobo Wojciechowski, *Krwiobieg*, Wojewódzka Biblioteka Publiczna i Centrum Animacji Kultury w Poznaniu, Poznań 2017, 54 s.

Władysław Łazuka, *Z zapomnianego ogrodu*, WiMBP im. Zbigniewa Herberta w Gorzowie Wlkp., Gorzów Wlkp. 2017, 128 s.

Katarzyna Mak, *Dwadzieścia minut do szczęścia*, Novae Res, Gdynia 2017, 188 s.

Zofia Mąkosa, *Wendyjska winnica. Cierpkie grona*, Książnica – Oddział Publicat, Wrocław – Poznań cop. 2017, 496 s.

Nadieżda Myszlenik, *Rabunek i maska*, Novae Res, Gdynia 2017, 140 s.

Przemysław Piotrowski, *Radykalni. Terror*, Videograf, Chorzów 2017, 416 s.

Marcin Radwański, *Danie główne*, Wydawnictwo CM, Warszawa 2017, 264 s.

Robert Rudiak, *Gehenna*, Sowell, Reszów 2017, 176 s.

Beata Sadzenica, *Jak powietrze: nieopowiedziana historia nr 1/3*, Poligraf, Brzezia Łąka 2017, 63 s.

Alfred Siatecki, *Pomsta*, Oficyna, Gdańsk 2017, 508 s.

Alfred Siatecki, *Pozaduszki*, Towarzystwo Miłośników Zielonej Góry Winnica, Zielona Góra 2017, 250 s.

Jarosław Skorulski, *Kroniki księżnej Dino – zapiski z Zatonia z lat 1840-1861*, Zielonogórski Ośrodek Kultury, Zatonie 2017, 144 s.

Czesław Sobkowiak, *Jedno miejsce*, sumptem autora, Zielona Góra – Zawada 2017, 72 s.

Tadeusz Szyfer, *Pikantne (z)dania do wyśmiewania*, WiMBP im. Zbigniewa Herberta w Gorzowie Wlkp., Gorzów Wlkp. 2017, 608 s.

Magda Turska, *Wodne granice*, WiMBP im. Zbigniewa Herberta w Gorzowie Wlkp., Gorzów Wlkp. 2017

Jacek Uglik, *Trzeba by jakoś umrzeć*, Zaulek Wydawniczy Pomyłka, Szczecin 2017, 49 s.

Krystyna Woźniak, *Życiopis*, Robotnicze Stowarzyszenie Twórców Kultury, Gorzów Wlkp. 2017, 72 s.

Irena Zielińska, *Córka wiatrów*, Wydawnictwo Adam Marszałek, Toruń 2017, 91 s.



AUTORZY NUMERU

Agata Buchalik-Drzyzga (1940-2013)

Absolwentka wrocławskiej PWSSP/ASP (dyplom w Pracowni Grafiki u prof. S. Dawskiego). Zajmowała się grafiką warsztatową i użytkową, tkaniną artystyczną, malarstwem sztalugowym, sztuką papieru oraz ekslibrisem. Autorka kilkudziesięciu wystaw indywidualnych i zbiorowych. Laureatka szeregu prestiżowych nagród, wyróżnień, odznaczeń i medali. Także pedagog, w latach 90. dyrektor zielonogórskiego BWA. Całe życie zawodowe związana z Zieloną Górą.

Katarzyna Balon

Urodziła się w 1996 r. w Żarach. Studentka III roku filologii polskiej o specjalności nauczycielskiej Uniwersytetu Zielonogórskiego. Zamierza kontynuować naukę na studiach polonistycznych, rozwijając swoje zainteresowania z zakresu literaturoznawstwa. Pasjonuje się sztuką, teatrem, literaturą współczesną, a także tematem baśni tradycyjnej i jej przemian w literaturze i kulturze. Obecnie finalizuje pracę licencjacką, dotyczącą elementów baśniowych w polskiej literaturze fantasy.

Uriel Cassiani Pérez

Urodził się w 1971 r. w Palenque de San Basilio, w Kolumbii. Poeta, pisarz i felietonista tworzący po hiszpańsku i w języku *palenquero*, aktywista społeczny. Dyrektor Społeczno-Kulturalnego Stowarzyszenia Osób Pochodzenia Afrykańskiego (Corporación Sociocultural de Afrodescendientes) Ataole, zajmującego się organizacją projektów pedagogicznych i kulturalnych w Regionie Karaibskim Kolumbii. Gość licznych festiwali literackich, regularnie współpracuje z lokalnymi mediami, współtworzył warsztaty poezji dziecięcej dla dzieci z niepełnosprawnościami intelektualnymi.

Barbara Curzytek

Urodziła się w 1993 r. w Zielonej Górze. Doktorantka na Wydziale Neofilologii Uniwersytetu Adama Mickiewicza w Poznaniu, gdzie obecnie wykłada język kataloński. Do jej zainteresowań naukowych należą: współczesna literatura oraz społeczeństwo Kolumbii, wpływy afrykańskie na Karaibach, animal studies, a także praktyka przekładu literackiego z języków hiszpańskiego i katalońskiego. W swojej pracy doktoranckiej bada znaczenie obecności światopoglądu magicznego-mitycznego we współczesnej poezji kolumbijskiej.

Renata Diaków

Filolog, nauczycielka, scenarzystka, pisarka. Prowadzi Rodzinny Teatr Lalek „Pinokio”. Mieszkanka Nowogrodu Bobrzańskiego. Laureatka 7. edycji konkursu „Lubuski Laur Oświaty” zorganizowanego przez Sejmik Województwa Lubuskiego. Finalistka konkursu na książkę roku 2014 – nominacja powieści *Artysta zmarłych chwstały* do Lubuskiego Wawrzynu Literackiego 2015. Zainteresowania: literatura, filozofia, teatr.

Małgorzata Domagała

Absolwentka bibliotekoznawstwa i informacji naukowej Uniwersytetu Wrocławskiego. Pracuje w Dziale Badań, Analiz i Metodyki WiMBP im. Cypriana Norwida w Zielonej Górze. Zajmuje się sporządzaniem zestawień statystycznych dotyczących funkcjonowania bibliotek publicznych województwa lubuskiego. Opracowuje informator statystyczny „Biblioteki Publiczne Województwa Lubuskiego”. Od 2012 r. pełni funkcję sekretarza Lubuskiego Wawrzynu Literackiego.

Karol Graczyk

Urodził się w 1984 r. w Gorzowie Wlkp. Laureat najważniejszych konkursów poetyckich w Polsce. Teksty publikował m.in. w „Twórczości”, „Arteriach”, „Tyglu Kultury”, „Odrze”, „Lampie” i „Toposie”. Opublikował książki – *Oko i oko, Osiemdziesiąt cztery* oraz *Łowy*. Dwukrotny stypendysta Prezydenta Gorzowa Wlkp. Współorganizator Gorzowskiego Festiwalu Poetyckiego Wartal, prowadzący warsztaty literackie, spotkania autorskie i turnieje jednego wiersza. Jego wiersze były tłumaczone na język angielski.

Halina Jerulank

Rusycystka, wieloletnia nauczycielka. Od paru lat zajmuje się pisaniem wierszy, rysowaniem. Publikuje w „Gazecie Lubuskiej”.

Paweł Kalisz

Absolwent Uniwersytetu Zielonogórskiego na kierunku historia. Ukończył podyplomowe studia w zakresie ekspertyzy dokumentów na Wydziale Prawa, Administracji i Ekonomii Uniwersytetu Wrocławskiego. W 2012 r. obronił pracę doktorską pt. *Ewolucja pisma neogotyckiego na terytorium Nowej Marchii od XVI do XX wieku* na Uniwersytecie Zielonogórskim. Pracownik Działu Informacji Regionalnej i Bibliograficznej Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki Publicznej im. C. Norwida w Zielonej Górze.

Joanna Kapica-Curzytek

Anglistka i pedagog, adiunkt na Uniwersytecie Zielonogórskim. Autorka recenzji książek („Twój Styl”, „Twoja Muza”, „Forum Akademickie”), recenzji teatralnych i wywiadów (www.e-teatr.pl). W latach 2000-2007 współpracowała z Akademickim Radiem Index. Wyróżniona nagrodą specjalną Studia Reportażu i Dokumentu Polskiego Radia na konkursie „Polska i Świat 2000” za reportaż radiowy (współautorstwo). Obecnie stała recenzentka (wolontariuszka) e-magazynu kultury „Esensja” (www.esensja.pl). Oprócz literatury jej pasją są języki obce, muzyka klasyczna oraz próby naukowego ujęcia globalnych problemów współczesnego świata. Od kilku lat uczy się śpiewu.

Władysław Kłępka

Urodzony w 1942 r. w Krężnicy Małej koło Lublina. Ukończył Państwowe Liceum Sztuk Plastycznych w Lublinie, potem studiował kulturoznawstwo na Uniwersytecie Marii Curie-Skłodowskiej. Pracował jako instruktor plastyki w instytucjach kultury. Debiutował przekładami z języka gruzińskiego na łamach „Poezji” w 1985 r. Publikował na łamach „Akantu”, „Autografu”, „Metafory” i czasopism regionalnych. Laureat ogólnopolskich konkursów literackich. Jego wiersze tłumaczono na język niemiecki. Przekłada z języka czeskiego. Uprawia również malarstwo w technice papieru barwnego ręcznie czerpanego. Mieszka i pracuje w Zielonej Górze.

Elżbieta B. Kościucha-Wieczorek

Poetka, prozatk, biblioterapeutka, członkini Stowarzyszenia Jeszcze Żywych Poetów. Z zawodu nauczycielka polonistka.

Barbara Krzeszewska-Zmyślony

Specjalistka w Centrum Kultury i Języka Niemieckiego UZ, animatorka polsko-niemieckich przedsięwzięć kulturalnych, tłumacz, rzeczniczka dobrosąsiedzkich stosunków z Niemcami.

Mirosław Kuleba

Urodzony w Kołobrzegu w 1958 r. Prozaik, reporter, tłumacz z języka rosyjskiego. Współpracuje z czasopismami w całym kraju. Zasłynął szczególnie ze swoich relacji z ogarniętej wojną Czeczenii (w latach 90. wydano całą serię jego książek oraz wiele reportaży). Autor monografii zielonogórskiego winiarstwa *Enographia Thalloris*. Właściciel winnicy, zajmuje się produkcją wina, poprzez co wraca do tradycji zielonogórskiego regionu. Podejmuje również aktywne działania zmierzające do wskrzeszenia zabytków związanych z winiarską przeszłością tamtejszych obszarów.

Eugeniusz Kurzawa

Urodził się w 1954 r. Absolwent WSP w Zielonej Górze, poeta, dziennikarz, redaktor książek i wydawnictw, animator kultury, prasoznawca. Wieloletni pracownik „Gazety Lubuskiej”, członek Związku Literatów Polskich (prezes oddziału zielonogórskiego). Uprawia głównie publicystykę, felietonistykę, wywiad, pisze eseje, szkice i recenzje literackie. Mieszka w Wilkanowie pod Zieloną Górą.

Alicja Leśniewska

Uczennica Liceum Ogólnokształcącego w Świebodzinie. Poetka aktywnie uczestnicząca w działaniach kulturalnych.

Janusz Łastowiecki

Rocznik '87. Krytyk radiowy i teatralny. Pracuje nad doktoratem z zakresu odbioru słuchowiska radiowego. Na Uniwersytecie Zielonogórskim prowadzi zajęcia z zakresu filmu współczesnego, analizy tekstów literackich i reportażu. Publikuje prace naukowe i krytyczne w czasopismach: „Twórczość”, „Konteksty Kultury”, „Teatr”, „Pro Libris”, „Muzyka”, „Tekstualia”, „Fraza”. Na bieżąco komentuje wydarzenia teatralne i słuchowiskowe na portalach: „E-teatr”, „Dziennik Teatralny”. Współpracuje z Teatrem Polskiego Radia. Współprowadzi na antenie Radia Zachód „Niedzielę z Muzami”. Działa w Towarzystwie Miłośników Zielonej Góry „Winnica”. Od 2018 kierownik literacki Lubuskiego Teatru. Uwielbia rejestrować głosy (autor „Mapy Głosów”) i śledzić poczynania polskiej muzyki alternatywnej.

Zofia Mąkosa

Urodziła się w Kargowej. Jest emerytowaną nauczycielką historii i wiedzy o społeczeństwie. Publikuje w lokalnej prasie. Debiutowała literacko powieścią *Cierpkie grona*. Jej kontynuacją jest *Wendyjska winnica*.

Ewa Mielczarek

Redaktorka, szefowa Działu Wydawnictw WiMBP w Zielonej Górze. Prowadzi Oficynę Wydawniczą Pro Libris; jest sekretarzem redakcji kwartalnika „Pro Libris”. Jurorka konkursów literackich.

Mateusz Mikłaszewicz

Urodził się w 1995 r. w Żaganiu. Student literatury popularnej i kreacji światów gier na Uniwersytecie Zielonogórskim. Zainteresowania: literatura fantasy i kryminalna, gry komputerowe i planszowe oraz sport.

Małgorzata Mikołajczak

Literaturoznawczyni, profesor nauk humanistycznych. Kieruje Zakładem Teorii Literatury i Krytyki Literackiej oraz Pracownią Badań nad Literaturą Regionalną w Instytucie Filologii Polskiej Uniwersytetu Zielonogórskiego. Autorka książek: *Podjąć przerwany dialog. O poezji Urszuli Koziół* (2000), *„W cieniu heksa-*

*metru". Interpretacje wierszy Zbigniewa Herberta (2004), Pomiędzy końcem a apokalipsą. O wyobraźni poetyckiej Zbigniewa Herberta (2007), Zbliżenia: studia i szkice poświęcone literaturze lubuskiej (2011), Światy z marzenia. Echa romantyczne w poezji Zbigniewa Herberta (JMR Transatlantyk 2013). Profesor Mikołajczak od roku 2005 jest członkiem Rady Naukowej Warsztatów Herbertowskich oraz Biblioteki Pana Cogito, w której opublikowała kilkanaście artykułów; redagowała także tom *Bór nici. Wątki klasyczne i romantyczne w twórczości Zbigniewa Herberta*.*

Alina Polak-Woźniak

Dr historii, specjalizuje się w odczytywaniu starych dokumentów, rękopisów i pamiętników. Do jej zainteresowań naukowych należą historia i archeologia słowiańszczyzny oraz średniowiecza, a także kultura materialna dwudziestolecia międzywojennego w Polsce i Europie. Jej hobby to nauki kryminalistyczne, detektywistyka, a w wolnym czasie uczy się języka japońskiego.

Marcin Radwański

Urodzony w Zielonej Górze, gdzie nadal zamieszkuje. Wielbiciel kryminałów, literatury obyczajowej i poezji. Autor wielu opowiadań, których większość ukazała się drukiem w magazynach literackich. Publikuje również na łamach portali internetowych („wZielonej” przy Uniwersytecie Zielonogórskim, „Szafa”, „Mroczna Środkowo-Wschodnia Europa”, „Ośrodek Postaw Twórczych – Helikopter”, „Nowa Gazeta Literacka”, „Cegła”, „Liternet”, „2Miesięcznik. Pismo ludzi przełomowych”). W 2014 r. wydał w formie e-booka zbiór opowiadań pt. *Skok w przepaść* i powieść kryminalną *Nieprzypadkowa ofiara* (w 2015 r. wydał wersje papierowe obu książek). Jest autorem tomiku poezji pt. *Czekając na...* Stypendysta Prezydenta Zielonej Góry w dziedzinie literatury za rok 2013.

Robert Rudiak

Poeta, prozaik, publicysta, krytyk i historyk literatury, doktor nauk humanistycznych, autor kilkunastu książek. Wiceprezes Oddziału Związku Literatów Polskich w Zielonej Górze i prezes Lubuskiego Stowarzyszenia Miłośników Działań Kulturalnych „Debiut”. Otrzymał m.in. Nagrodę Kulturalną Prezydenta Miasta Zielona Góra, Lubuską Nagrodę Literacką ZLP, Nagrodę Literacką im. A.K. Waśkiewiczza i Zielonogórską Nagrodę Literacką „Winiarka”. Pracuje w Wojewódzkiej i Miejskiej Bibliotece Publicznej im. C. Norwida.

Monika Simonjetz

Absolwentka filologii polskiej, starszy kustosz – instruktor w Dziale Badań, Analiz i Metodyki WiMBP w Zielonej Górze, członek redakcji „Bibliotekarza Lubuskiego”, koordynatorka Programu Rozwoju Bibliotek, wykładała literaturę piękną i wiedzę o czytelnictwie w Pomaturalnym Studium Bibliotekarskim Zaocznym w Zielonej Górze. Publikuje na łamach „Bibliotekarza”, „Bibliotekarza Lubuskiego”, „Poradnika Bibliotekarza”, „Biblioteki w Szkole”, „Polonistyki”, „Biblioteki Publicznej”. W 2018 r. rozpoczęła współpracę w radzie redakcyjnej czasopisma „Poradnik Bibliotekarza”.

Czesław Sobkowiak

Urodził się w 1950 r. w Jaromierzu; absolwent polonistyki na Uniwersytecie Wrocławskim; poeta, autor kilkunastu tomików poetyckich i tomu prozy *Rzeka powrotna*; krytyk literacki, współpracownik regionalnych i ogólnopolskich pism literackich. Mieszka w zielonogórskim sołectwie Zawada.

Witold Stankiewicz

Urodził się w 1954 r. w Zielonej Górze. Posiada wykształcenie wyższe pedagogiczne. Emerytowany polijant o duszy artystycznej: pisze, śpiewa, maluje, rzeźbi itp. Jest laureatem konkursów poetyckich.

Jerzy Szewczyk

Długoletni szef lubuskiej inspekcji pracy; miłośnik kultury śródziemnomorskiej, autor publikacji prasowych poświęconych Hiszpanii, Andorze i Malcie i książkowych; długoletni prezes Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Greckiej w Zielonej Górze, działacz TKKF i NOT; podróżnik, fotograf.

Mirosława Szott

Rocznik 1987, poetka, krytyczka literacka, autorka dwóch książek poetyckich (*pomiary Zamku*, 2013; *Anna*, 2015). Przygotowuje pracę doktorską o poezji lubuskiej w perspektywie geopoetyki. Kieruje działem Regionalia w roczniku „Filologia Polska”. Członkini Stowarzyszenia Jeszcze Żywych Poetów.

Malwina Wajda

Studentka studiów magisterskich Uniwersytetu Zielonogórskiego na kierunku filologia polska. Pracuje jako nauczycielka w szkole podstawowej w Świebodzinie. Interesuje się powieścią psychologiczną oraz psychoanalizą w badaniach literackich.

Joanna Wawryk

Adiunkt w Instytucie Filologii Polskiej Uniwersytetu Zielonogórskiego. Zajmuje się baśnią w literaturze i kulturze, książką dla dzieci oraz literaturą współczesną. Autorka monografii *Wokół Leśmianowskich baśni dla dzieci* (Wrocław 2013).

Adam Bolestaw Wierzbicki

Urodzony w 1972 r. w Krośnie Odrzańskim. Autor dwóch arkuszy poetyckich, *W pogoni za Słońcem* (1997) – wydanie autorskie i *Trzy słowa krwią pisane* (1998) – wydanie autorskie, oraz czterech zbiorów wierszy: *429/01* (2007) – wydanie autorskie, *Po przejściach* (2013) – wydanie autorskie, *Zapiski z wakacji* (2015) – TAWA Chełm, *Dziedzictwo* (2016) – Grupa Literyczna Na Krechę, Poznań. Publikował m.in. w „Autografie”, „Toposie”, „Akancie”, „Wiadomościach Literackich”, „Własnym Głosem”, „Lubuskim Nadodrzu”, „Pro Libris”, „Warszawskiej Gazecie”, „Dzienniku Polskim”, „Kronice Ziemi Żarskiej”, a także w antologiach i almanachach. Nagrodzony i wyróżniony w ponad 150 ogólnopolskich konkursach literackich. Od 1995 r. jako dziennikarz współpracuje z lubuską prasą lokalną i regionalną. Mieszka w Dłużku koło Lubka w województwie lubuskim.







Cena 10,50 zł (w tym 5% VAT)

ISSN 1642-5995

03



9 771642 599108

PRO
LIBRIS